



*„Błyskotliwa, wciągająca i niesamowita.  
Do samego końca trzymała mnie w niepewności”*

— JOSEPH DELANEY, autor *Kronik Wardstone*



# PSY

ALLAN STRATTON

Allan Stratton

**PSY**

Przełożył Janusz Maćczak



Tytuł oryginału: *The Dogs*

Copyright © Allan Stratton, 2015

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

# Spis treści

|                                |     |
|--------------------------------|-----|
| Dedykacja . . . . .            | 6   |
| Pierwszy . . . . .             | 7   |
| Drugi . . . . .                | 9   |
| Trzeci . . . . .               | 12  |
| Czwarty . . . . .              | 16  |
| Piąty . . . . .                | 21  |
| Szósty . . . . .               | 24  |
| Siódmy . . . . .               | 27  |
| Ósmy . . . . .                 | 29  |
| Dziewiąty . . . . .            | 33  |
| Dziesiąty . . . . .            | 36  |
| Jedenasty . . . . .            | 39  |
| Dwunasty . . . . .             | 42  |
| Trzynasty . . . . .            | 45  |
| Czternasty . . . . .           | 48  |
| Piętnasty . . . . .            | 52  |
| Szesnasty . . . . .            | 56  |
| Siedemnasty . . . . .          | 58  |
| Osiemnasty . . . . .           | 62  |
| Dziewiętnasty . . . . .        | 65  |
| Dwudziesty . . . . .           | 69  |
| Dwudziesty pierwszy . . . . .  | 72  |
| Dwudziesty drugi . . . . .     | 74  |
| Dwudziesty trzeci . . . . .    | 78  |
| Dwudziesty czwarty . . . . .   | 82  |
| Dwudziesty piąty . . . . .     | 88  |
| Dwudziesty szósty . . . . .    | 92  |
| Dwudziesty siódmy . . . . .    | 94  |
| Dwudziesty ósmy . . . . .      | 96  |
| Dwudziesty dziewiąty . . . . . | 99  |
| Trzydziesty . . . . .          | 102 |

|                                       |     |
|---------------------------------------|-----|
| Trzydziesty pierwszy . . . . .        | 106 |
| Trzydziesty drugi . . . . .           | 109 |
| Trzydziesty trzeci . . . . .          | 113 |
| Trzydziesty czwarty . . . . .         | 115 |
| Trzydziesty piąty . . . . .           | 119 |
| Trzydziesty szósty . . . . .          | 123 |
| Trzydziesty siódmy . . . . .          | 126 |
| Trzydziesty ósmy . . . . .            | 129 |
| Trzydziesty dziewiąty . . . . .       | 132 |
| Czterdziesty . . . . .                | 134 |
| Czterdziesty pierwszy . . . . .       | 138 |
| Czterdziesty drugi . . . . .          | 141 |
| Czterdziesty trzeci . . . . .         | 143 |
| Czterdziesty czwarty . . . . .        | 146 |
| Czterdziesty piąty . . . . .          | 149 |
| Czterdziesty szósty . . . . .         | 153 |
| Czterdziesty siódmy . . . . .         | 156 |
| Podziękowania . . . . .               | 159 |
| Wywiad z Allanem Strattonem . . . . . | 160 |
| Przypisy . . . . .                    | 162 |

*Dla mojego ojczyrna Alexa, najlepszego taty na świecie.*

Jest dziesiąta wieczorem. Mama już od godziny tkwi przy oknie w salonie, wpatrując się w samochód po drugiej stronie ulicy. Światła w naszym domu są zgaszone, więc nikt nie może jej dostrzec.

Ja na dole w pokoju rekreacyjnym gram na komputerze w „Atak zombi”. Wyłączyłem dźwięk, gdyż nie chcę, żeby mama się dowiedziała, chociaż jestem prawie pewien, że się domyśla. Im dłużej milczymy w ciemności, tym bardziej robi się niesamowicie.

„Mama tylko coś sobie roi”.

Ale co, jeśli nie? Skupiam się na grze. Cisza się przedłuża.

– To prawdopodobnie nic! – wołam do niej.

– Sza. Bądź cicho.

– Jestem w piwnicy. Myślisz, że ktoś na zewnątrz może mnie usłyszeć?

– Przestań, Cameron. Wyłącz tę grę i idź spać.

– Och, mammo...

– Cameron.

Zza drzewa wyskakuje zombi i odrywa mi głowę. Wielkie dzięki, mammo. Bardzo mi pomogłaś się skupić.

Wyłączam grę i idę na górę do salonu.

Mama ściska w rękę komórkę.

– Dzwonię na policję.

– Dlaczego? – pytam. Staram się, by mój głos brzmiał normalnie. – Przyjadą najwcześniej za kilka godzin. Do tego czasu, ktokolwiek tam jest, już zniknie.

– To nie jest „ktokolwiek”. To *on*. Wiem.

Wybiera numer.

– Mammo, ludzie po prostu parkują na ulicy.

– Nie w okolicy, w której nie mieszkają. Nie przez trzy noce z rzędu naprzeciwko tego samego domu. I nie siedzą wtedy w samochodzie. To tylko kwestia czasu, zanim on coś zrobi. Halo, policja?

Nie mogę oddychać. Idę na górę i myję zęby, a mama podaje swoje nazwisko i adres komuś, kto najwyraźniej jest głuchy. Im bardziej ten ktoś radzi jej, żeby się uspokoiła, tym bardziej robi się rozgniewana.

„Mamo, połóż się spać, wszystko w porządku”.

Pokój mamy jest od frontu domu. Podkradam się do jej okna i zerkam w dół na ten samochód. Stoi po drugiej stronie ulicy, poza kręgiem światła latarni, w cieniu drzew. Czy naprawdę ktoś w nim siedzi?

„Nawet jeśli tak, co z tego? Może po prostu czekać na znajomego”.

Przez całą noc?

„Siedzenie w samochodzie to nie przestępstwo”.

Nie o to chodzi.

„Przestań. Nie myśl tak jak ona”.

Samochód odjeżdża, tak jak zeszłej nocy i poprzedniej. Idę do mojego pokoju i włączę pod

kołdrę. Dwie godziny później przyjeżdżają gliniarze.

Mama jest wściekła.

– Dzwoniłam przed kilkoma godzinami. Mogliśmy już być martwi.

– Przepraszamy panią. Mamy tej nocy mnóstwo wezwań. Czy zapisała pani numer rejestracyjny?

– Nie, nie zapisałam numeru rejestracyjnego. On zaparkował w cieniu. Oczekujecie, że wyjdę na dwór i go sprawdzę, gdy tam się na mnie czai?

Gliniarze zadają kolejne głupie pytania. Zatykam uszy i modlę się, żeby to wszystko już się skończyło.

Gliny wychodzą. Mama zatrzaskuje za nimi drzwi. Potem siada na brzegu mojego łóżka i bierze mnie za rękę.

– Cameron, kochanie, musimy jechać. Zbierz swoje rzeczy.

– Jechać? Dokąd? Teraz?

– Nie wiem, ile czasu jeszcze mamy. – Wstaje i rusza do swojego pokoju. – On może być wszędzie, na najbliższej przecznicy, kto wie gdzie. Ale wróci, możesz być tego pewien. A policja przybędzie za późno.

– Mamo...

– Cameronie, są sprawy, których nie rozumiesz.

Czyżby? Rozumiem bardzo wiele, mamo. Choćby to, że się boję. Ale czego? Tego, że on nas wytropił? Czy tego, że jesteś szalona?

Ubrania mam już w walizce pod łóżkiem; mama przed dwoma dniami wymusiła na mnie, żebym się spakował, po prostu na wszelki wypadek. W samochodzie zmieszczą się nasze bagaże, kilka płaszczy, pudło z naczyniami stołowymi, pościel, kilka ręczników i mały odbiornik telewizyjny. Moi dziadkowie przechowają w piwnicy resztę naszych rzeczy. Nie jest tego dużo; wynajmujemy zawsze umeblowane mieszkania. Chciałbym, żebyśmy pojechali do babci i dziadka. Ale mama mówi, że nie możemy. Mówi, że przede wszystkim właśnie tam on by nas szukał.

On – ten facet w samochodzie: tata.

Mama wyjeżdża tyłem na ulicę. Spoglądam na dom. Po roku przyzwyczaiałem się do niego. I do miasta. Właściwie zacząłem nawet nawiązywać przyjaźnie w szkole. Ale teraz już po ptakach.

Odjeżdżamy wolno ze zgaszonymi reflektorami.



Mama opuściła tatę, kiedy miałem osiem lat. Mówi, że od zawsze dziwnie się zachowywał. Mam urywki wspomnień, ale nie jestem pewien, co z tego jest realne, co mi się przyśniło, a co podsłuchałem z rozmów mamy z moimi dziadkami.

W każdym razie oboje wyprowadziliśmy się z domu. Tata później widział się ze mną kilka razy; to były nadzorowane wizyty w jakimś rządowym budynku. Potem całkiem nieoczekiwanie znowu się przeprowadziliśmy. Według mamy powodem były postęпки taty, o których opowie mi, gdy będę starszy. A więc, mam, kiedy jest się starszym? To nasza piąta przeprowadzka i nic się nie zmieniło oprócz tego, że czuję się bardziej zdołowany niż kiedykolwiek.

Mama mówi, że zmiana jest czymś wspaniałym. „Ciesz się ze zmiany”. To jakby jej życiowe motto czy coś w tym rodzaju. Tylko że dla mamy zmiana oznacza planowanie, dokąd uciec następnym razem, jeszcze zanim w ogóle się rozpakujemy. Od samego początku wyszukuje drogi ewakuacji „na wypadek zagrożenia”. Tak więc nieszczerze mnie dziwi, że teraz wie, dokąd jedziemy.

Kiedy zatrzymujemy się, żeby zatankować benzynę i zjeść po pączku, pokazuje mi na swoim laptopie wirtualną trasę.

– To idealne miejsce. Tysiąc dwieście kilometrów stąd. Wystarczająco daleko, żeby nie mógł nas odnaleźć. Okazyjne warunki wynajmu i dom jest umeblowany. Co o tym myślisz?

– Sam nie wiem.

– Proszę, nie bądź taki.

– Mam, to wiejski dom.

Udaje, że mnie nie słyszy.

– Pracownik agencji handlu nieruchomościami mówi, że właściciel mieszka na sąsiedniej farmie i w razie jakichś problemów może służyć pomocą. Uprawia ziemię, ale nie zagląda do tego domu. Tak więc będziemy mieli spokój, a jednocześnie zapewnione bezpieczeństwo. Czyż to nie wspaniale? Pomyśl o świeżym powietrzu, o pięknym krajobrazie. Pomyśl o frajdzie penetrowania lasu rosnącego za tymi uprawnymi polami.

– Jak znajdę na tej farmie jakichkolwiek przyjaciół?

– W sąsiedztwie leży miasteczko, tuż nad jeziorem, a w nim są centrum rekreacyjne, nowa szkoła i...

– Słuchaj, nie mam prawa jazdy. Będę musiał tuż po lekcjach wracać autobusem do domu.

– Mnóstwo dzieci jeździ szkolnymi autobusami.

Odwracam się od niej.

– Cameron. Musisz się postarać.

– Dobrze, postaram się. Czy ten wiejski ćwok ma krowy? Zaprzyjaźnię się z nimi.

Mama zamyka laptop.

– Wiem, że to dla ciebie niełatwe. Ale mieszkanie na wsi oznacza mniejszą szansę natknięcia się na znajomych. Poza tym jemu trudniej będzie podkraść się tam niepostrzeżenie.

– W porządku, jak uważasz.

- Cameron, nie patrz tak na mnie. Proszę. Wiesz przecież, co on zrobił na Facebooku. Musimy być bardzo ostrożni.

Ociera oczy serwetką.

- Mamo, proszę, nie.

- Przepraszam, nie potrafię się powstrzymać.

Mama odświeża się w toalecie, bierze kawę na wynos i wjeżdżamy w następny dzień. Próbuję wyciągnąć się na tylnym siedzeniu, ale nie jest to tak łatwe, jak kiedy byłem małym dzieckiem, więc kończy się na tym, że gram w gry wideo. Mama mówi, że to mi psuje wzrok, zwłaszcza że samochód podskakuje na wybojach, ale mam w uszach słuchawki i udaję, że jej nie słyszę.

Zasypiam, sam nie wiem kiedy. Gdy się budzę, słońce już zachodzi. Wszędzie wokoło są tylko pola kukurydzy i cienie.

- Możemy się gdzieś zatrzymać? Muszę siku.

- Nie martw się. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Co takiego? Zamieszkamy w tej okolicy?

Po jeszcze dziesięciu minutach jazdy przez wiejski krajobraz mijamy na kompletnym pustkowiu liceum z boiskiem futbolowym. Kilkaset metrów dalej mama zajechała do starego motelu. Dach z dużych białych dachówek, z boku mała tania restauracja, w oknie biura czerwony neon informujący o wolnych miejscach.

Daleko z przodu widać prowadzący do miasteczka stary żelazny most nad kotliną rzeki i tablicę przy drodze z napisem: WITAMY W WOLF HOLLOW, a za mostem miasteczko.

Dostajemy tandetny pokój ze zniszczonymi beżowymi meblami, dwoma pojedynczymi łóżkami, telefonem, telewizorem i maszynką do kawy.

Mama dzwoni z komórki do dziadków i zawiadamia ich, że u nas wszystko w porządku. Nigdy nie korzystamy z telefonów w motelach ani w ogóle z żadnych obcych. To kolejna zasada: „Gdyby twój ojciec miał na podłuchu telefon dziadków, mógłby nas wytropić poprzez numer telefonu motelu”. Mama dopilnowała, żeby obie nasze komórki były zastrzeżone, tak aby ich numery nie pojawiały się na wyświetlaczach telefonów osób, do których dzwoniemy. Mówi, żebym zawsze miał moją przy sobie, bo to kwestia życia i śmierci. „Musisz móc wezwać pomoc, jeśli twój ojciec nieoczekiwanie cię zaatakuje”.

- Wszystko w porządku - mówi przez zestaw głośnomówiący do babci i dziadka. - Jesteśmy w naprawdę miłym motelu i mam już zamiar na wspaniały dom. Agent nieruchomości zabierze nas tam jutro.

- Och, to dobrze - odpowiada babcia. - A jak się czuje Cameron?

Podnoszę wzrok znad gry wideo.

- Cameron czuje się świetnie - mówię. - Nigdy nie czuł się lepiej.

Mama rzuca mi spojrzenie. Stale powtarza, że kiedy rozmawiamy z dziadkami, musimy zawsze sprawiać wrażenie pogodnych, gdyż inaczej będą się martwić. No cóż, na miejscu babci i dziadka martwiłbym się na przykład tym: Dlaczego oni są tacy szczęśliwi, skoro uciekają przed maniakiem?

- Serio, babciu, to fantastyczne miejsce - dodaję tonem typu: „Jestem taki szczęśliwy, jakbym był w raj”. - Musicie koniecznie nas kiedyś odwiedzić. Nie mogę się już doczekać.

- Może na Gwiazdkę? - pyta dziadek.

Jasne, akurat!

- Zobaczmy, co przyniesie jesień - mówi mama.

Nawet jeśli rozmawiamy przez Skype'a, te nasze kontakty sprawiają, że czuję się samotny, ponieważ mówimy do siebie kompletnie fałszywe rzeczy. Same kłamstwa i udawanie czegoś, czego w istocie nie czujemy. To znaczy rozumiem, że nie chcemy, by dziadkowie się martwili, i rozumiem, że oni nie chcą, abyśmy myśleli, że się martwią. Ale przez ten brak szczerości wszyscy tylko jeszcze bardziej się martwimy. Skoro wszystko utrzymuje się w tajemnicy, kto wie, co jest prawdą? W każdym razie my nie wiemy.

Dziadkowie, jakich pamiętam, byli żywymi ludźmi. Ci, z którymi teraz mówię, są sylwetkami wyciętymi z tektury. Im częściej rozmawiam z tymi tekturowymi, tym mniej pamiętam tamtych prawdziwych.

- Zadzwonimy znowu w przyszłą niedzielę – mówi mama.

Koniec, bez odbioru.

Mama siedzi w samochodzie na fotelu pasażera obok agenta nieruchomości. Pana „Cześć, Jestem Ken” Armstronga noszącego markowe dżinsy i kowbojki.

Ten facet Kowbojskie Buty przyjechał po nas po śniadaniu, żeby pokazać nam nasz „nowy dom”. Dopóki go nie zobaczymy, mama nie podejmuje żadnej wiążącej decyzji, ale mnie nie nabierze. Jestem tylko bagażem ciśniętym na tylne siedzenie, zastanawiającym się, jak daleko od miasteczka ten gość nas wywiezie.

K.B. rozprawia głośno i wesoło od samego rana, a potem oczywiście także w samochodzie. Przypomina gościa z telewizyjnej reklamy działu sprzedaży wielkiej hurtowni, tylko że zamiast dziesięciosekundowego spotu nawija cały czas i nie można zmienić kanału.

– Miasteczko nazywa się Wolf Hollow, Wilcza Jama – mówi – ale nie ma tu żadnych wilków, odkąd pionierzy oczyścili ten teren. Są kojoty, jednak zwykle trzymają się z dala od ludzi; mimo to dla bezpieczeństwa nie należy wypuszczać zwierząt domowych na dwór.

– W porządku, nie mamy żadnych – odpowiada mama.

– Za to jedno, co z pewnością będziecie mieć, to śnieg – ciągnie z uśmiechem K.B. – Zazwyczaj nie spada przed listopadem, ale niekiedy sadź pojawia się już pod koniec października. Świetne warunki do biegania na nartach. Art Sinclair, właściciel domu, zostawił w stodole stary skuter śnieżny.

Mama posyła mi zachęcający uśmiech.

– Jazda skuterem śnieżnym sprawi ci przyjemność, prawda?

Mówi to takim tonem, jakbym miał pięć latek, a ona zachęcałaby mnie do przejażdżki na karuzeli. Wyglądam przez okno.

– Jasne.

– Och, Cameronie, przyjemność sprawi ci też wiadomość, że w miasteczku są nowa szkoła i centrum rekreacyjne – mówi K.B. – Jest także jezioro. Dość zimne, ale w lecie wspaniale się w nim pływa.

Wzdycham – tak głośno, żeby mama to usłyszała, ale nie na tyle, by mogła mi zwrócić uwagę.

– Tak, słyszałem.

Jakby K.B. cokolwiek obchodziło, co ja myślę. Odezwał się do mnie tylko dlatego, żeby wydać się super mamie. Jasne, wygląda super w tych butach, dżinsach i z wybielonymi zębami.

– I oto jesteśmy na miejscu – oznajmia takim tonem, jakby zapowiadał Boże Narodzenie.

Skręcamy w wąską wiejską drogę. Po obu stronach rośnie wysoka kukurydza, więc niewiele widzę, dopóki nie wjeżdżamy na podwórze i nie wysiadamy z samochodu. A wtedy...

O rany! Ktoś powinien dobić ten dom, żeby skrócić mu cierpienia! Jest piętrowy, jak na zdjęciu, ale oprócz tego niewiele się zgadza z tym, co widzieliśmy w internecie. Choćby to, że cegły są fałszywe, wydrukowane na papie, która marszczy się pod rynną okapu. Poza tym na drzwiach i framugach okien łuszczy się farba. A podwórze to chaos wybojów, kamieni, ziemi i zielska. W stojącej za nim stodole brakuje kilku desek, a jej górna część przekrzywia się w lewo.

Rzucam мамie spojrzenie oznaczające: „Jasne, jakbyśmy naprawdę zamierzali tu zamieszkać”. Odpowiada mi gniewnym spojrzeniem: „Uspokój się, Cameronie”.

– On może wymagać trochę pracy – mówi mama uprzejmie. – Ale przecież go nie kupujemy.

– Art przeprowadzi niezbędne naprawy – odpowiada szybko K.B. – Jego farma znajduje się tuż obok. Kiedy był dzieckiem, jego ojciec przejął tę posiadłość, żeby podwoić obszar rancza Sinclairów. Wydaje mi się, że Art przez pewien czas mieszkał tutaj, ale jakieś dziesięć lat temu, po śmierci rodziców, przeprowadził się z powrotem do rodzinnego domu. Jak pani widzi, odtąd nie poświęcał tej posiadłości zbyt wiele uwagi. Nawet stodoła jest zaniedbana. – K.B. uśmiecha się szeroko. – Gdyby prowadził restaurację, podawałby grillowane balaski i nazywał je stekami.

Przechodzimy przez werandę i wkraczamy do ogromnej kuchni. Na ścianach tapety z wzorem w kwiaty, na podłodze brudne linoleum, a pośrodku stół i sześć krzeseł z plastikowymi pokryciami w szkocką kratę.

Po lewej wąskie schody prowadzące na piętro oraz drzwi do piwnicy. Po prawej łukowe przejście do salonu i drzwi do łazienki. Na wprost okno nad zlewem z widokiem na stodołę i drzwi do szopy na tyłach domu.

Czegoś brakuje. Zmywarki do naczyń. Poważnie, gdzie zmywarka?

– Bardzo tu przestronnie – mówi mama. – Lubię duże kuchnie.

– W zimie ludzie spędzają większość czasu w kuchni – oznajmia mi K.B., jakby cokolwiek mnie to obchodziło. – Jeżeli uważnie się przyjrzyysz, zobaczysz, gdzie pan Sinclair zagipsował otwór w suficie odprowadzający ciepło na górę do sypialni. – Spogląda na mamę. – Proszę za mną, pokażę pani resztę domu.

Pokoje na parterze tworzą okrąg. Przechodzimy na ukos przez kuchnię do łazienki w głębi po prawej. K.B. chwali żeliwną wannę na nogach w kształcie łap oraz pralkę z suszarką, dzięki której mama nie będzie musiała rozwieszać prania w piwnicy. Następnie prowadzi nas przez drzwi w przeciwległej ścianie do głównej sypialni.

– Co pani o tym myśli? – pyta, podnosząc żaluzję w oknie.

– Wspaniały widok – odpowiada mama. – Wszystkie te pola i las w oddali.

K.B. przytakuje.

– I jest tu też mnóstwo światła.

Za sypialnią po prawej są drzwi prowadzące do drugich wąskich schodów, a za nimi znajduje się salon. Mamie podoba się, że są te drugie schody.

– Dobrze mieć więcej niż jedną drogę ucieczki... na wypadek pożaru – dodaje, ale ja wiem, co naprawdę ma na myśli.

W salonie stoją olbrzymi fortepian i kupa starych mebli. Poduszki sofy wydzielają ostry zapach. Na końcu salonu jest łukowate przejście prowadzące z powrotem do kuchni. Zatoczyliśmy pełny krąg.

Mama i K.B. kończą zwiedzanie wizytą na piętrze, a ja zostaję w kuchni. Mama jest chyba zadowolona, że się odmeldowałem. Kiedy mam zły nastrój, to widać; albo jak mama lubi to ujmować: „Wprawiasz w zakłopotanie mnie i samego siebie”.

Wyglądam przez okno nad zlewem. Co innego mam do roboty?

„Może by tak obejrzeć piwnicę?”

Otwieram drzwi i pstrykam włącznik światła. Schody skrzypią, strop jest nisko, a gips na ścianach się kruszy. To jak schodzenie do grobowca. Wyobrażam sobie, że jakiś psychol

pogrzebał tu zwłoki.

Mama mawia, że straszę sam siebie, bo mam nadmiernie wybujałą wyobraźnię. Zgadnijcie, po kim ją odziedziczyłem. W każdym razie, jeżeli czai się tu psychopatyczny morderca, mogę zawołać na pomoc mamę i K.B.

Piwnica jest zimna, wilgotna i ciągnie się pod całym parterem. Zapalam gołą żarówkę zwisającą z sufitu. Belki wspornikowe, rury pieca, stosy gratów i chwiejne sterty kartonowych pudeł sięgające sufitu rzucają wszędzie cienie.

Wyobrażam sobie, że zmutowani śmieciarze, którzy zgromadzili to wszystko, zerkają na mnie zza pieca. Super. Teraz muszę obejść go wokoło, aby udowodnić, że nie jestem głupim cykorem.

Powoli wymijam zardzewiały wózek spacerowy i przeciskam się pod rurami na drugi koniec piwnicy. Widzę tam zaryglowane drzwi. Wyobrażam sobie, że za nimi sterczy z ziemi trupia czaszka i ręka szkieletu. Biorę głęboki wdech, przekraczam pudło pełne porcelanowych krasnali, skrzynkę z zabawkami i kładę dłoń na ryglu.

„No dalej, otwórz je”.

A co, jeśli tam rzeczywiście jest czaszka?

„Poważnie tak myślisz?”.

Gwałtownym pchnięciem otwieram drzwi. Za nimi znajduje się małe pomieszczenie, ciemne i brudne. Może to była komórka na węgiel.

Czuję na plecach ciarki. Ktoś za mną mnie obserwuje.

– Mamo?

Cisza.

Odwracam się powoli. Nikogo nie widzę. Ale ktoś tutaj jest. Wyczuwam to.

– Kto tu jest?

W komórcie rozlega się szelest. Odwracam się błyskawicznie, rygluję drzwi, pędzę do schodów, potykam się o trójkołowy rowerek i upadam na ziemię.

– Cameron? – woła mama z kuchni. – Cameron, co ty robisz tam na dole?

– Nic.

Nagle wszystko staje się znowu zwyczajne. Oczy wpatrujące się we mnie? Tylko to sobie uroiłem. Ten odgłos w komórcie na węgiel? Może mysz, a może w ogóle nic.

Mama i K.B. schodzą po schodach do piwnicy.

– Cameronie, co ci mówiłam o tym, żebyś nigdzie sam się nie oddalał? Powinieneś mieć więcej rozsądku.

Pięknie, mamó. I ty uważasz, że to ja wprawiam w zakłopotanie ciebie?!

– Przepraszam.

Mama zauważa całe to wysypisko śmieci.

– Ojej – mówi.

Widzę, że ma ochotę użyć jakiegoś środka do dezynfekcji rąk.

K.B. reaguje natychmiast:

– Powiem Artowi, żeby to usunął.

– To dobrze.

K.B. chichocze.

– Art to niezły numer. Zaprzysięgły stary kawaler. Przypuszczam, że niektóre z tych rzeczy leżą tu od czasu, gdy jego rodzina przejęła tę posiadłość.

Co takiego, od lat sześćdziesiątych? Wyobrażam sobie tę piwnicę jako tajemny gabinet

grozy.

- Cameronie - mówi mama - na piętrze są dwie sypialnie. Możesz pierwszy wybrać którąś dla siebie.

Przewracam oczami.

- Więc naprawdę tu zamieszkamy?

Mama przytakuje.

- Ten dom ma swój charakter.

Jasne. Charakter domu, w którym straszy.

Moje lekcje zaczynają się dzisiaj, w środę.

Nienawidzę pierwszego dnia w nowej szkole. To sytuacja jak we wszystkich tych nocnych koszmarach, kiedy spóźniasz się na egzamin i nie możesz znaleźć sali lekcyjnej. Tylko że pierwszego dnia w szkole te koszmary stają się rzeczywistością. Nie znam terenu. Nie znam tutaj nikogo. I w ogóle co ja tu robię? Co gorsza, jest październik; wszyscy już podobierali się w paczki. Właściwie założę się, że tutaj należą do tych paczek już od zerówki.

Jednak najtrudniejszą rzeczą w takich sytuacjach jest dla mnie kontrolowanie moich kłamstw. Nowym uczniom zadaje się tyle pytań, ale ja nie mogę szczerze na nie odpowiadać – choćby w kwestii paranoi mamy na punkcie tego, że tata nas wytropi. Moje nazwisko pozostaje prawdziwe, więc można przenosić moje oceny z poprzedniej szkoły. Mama mówi, że to nic nie szkodzi, ponieważ to powszechna praktyka, a tata nie ma dostępu do tych danych. Natomiast wszystko inne jest fałszywe.

Na przykład muszę pamiętać, co powiedziałem o tacie. Aby uprościć sprawę, oznajmiam zawsze na wstępie, że tata zmarł. Tylko że potem zaczynają się pytania. Na co umarł? Jak to zniosłem? Ile miałem wtedy lat? Jeżeli mówię, że zmarł już jakiś czas temu, chcą wiedzieć, czy mam ojczyma albo czy mama spotyka się z innymi facetami. Jeśli mówię, że umarł niedawno, muszę pamiętać, żeby przez kilka miesięcy nie uśmiechać się ani nie wyglądać na wesołego.

Dziwnie jest udawać, że tata nie żyje. Jeżeli rzeczywiście umrze, czy będę czuł się winny, że to przeze mnie?

W każdym razie teraz chodzę tam i z powrotem u wylotu naszej drogi dojazdowej, powtarzając sobie w myślach moją wersję, dopóki nie przyjeżdża szkolny autobus. Mama zaproponowała, że mnie podwiezie, ale stanowczo odmówiłem. Nie zamierzam zacząć od wyjścia na maminsynka.

Kiedy wsiadam do autobusu, wszyscy są zaciekawieni. Dziewczyny siedzące z przodu starają się na mnie nie gapić, ale słyszę, jak szepczą, gdy je mijam. Założę się, że chodzi o ten pryszcz na moim policzku. Chłopaki w tylnym rzędzie obrzucają mnie pogardliwymi spojrzeniami. Ten siedzący pośrodku nich wygląda na niezłego twardziela. Spuszczam głowę i ruszam w kierunku dwóch wolnych siedzeń przy oknie. Dzieciaki po obu stronach przejścia zachowują się, jakby mnie nie widziały; może trzymają te miejsca dla swoich przyjaciół. Łąduję samotnie kilka rzędów przed tamtym gangiem.

– Czy on jest z tej rudery Sinclaira? – pyta twardziel na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli.

– Tak, Cody – odpowiada jeden z jego koleżków. – Od psów. Może jest psim żarciem.

Cody się śmieje.

– Tak, psim żarciem, jasne.

Mama mawia, że najlepszym sposobem zachowania w takich sytuacjach jest ich ignorowanie. Ale to najgłupsza rada na świecie. Ignorowanie jedynie pogarsza sprawę. Czy właśnie nie to mówiła o tacie? W każdym razie, co innego mogę teraz zrobić? Nie będę przecież zadzierał z całą bandą.



Na następnym przystanku wsiada krępy chłopak. Czy wszystkie te wolne miejsca są zarezerwowane dla grupy przyjaciół? No cóż, on najwyraźniej też do niej nie należy. Kiedy idzie przejściem, Cody i jego banda chrząkają jak świnie i wołają:

– Kwik, kwik, prosiaku.

Chłopak osuwa się ciężko na fotel obok mnie. Śmierdzi zwierzętym potem i płatkami śniadaniowymi. Usiłuję dyskretnie zasłonić dłonią nos.

– Przynajmniej nikt w mojej rodzinie nie jest wariatem – mamrocze. Nie odzywam się. Zerka na mnie i mruga zaskoczony. – Hej, jesteś nowy.

Skądże, jeżdżę tym autobusem od zawsze, tylko potrafię magicznie stawać się niewidzialny!

– Aha.

– Jestem Benjie. Benjie Dalbert.

– Cameron Weaver.

Oglądam sobie paznokcie, mając nadzieję, że to już koniec naszej rozmowy. Cody i jego banda nadal kwiczą. Jeżeli zobaczą, że odnoszę się przyjaźnie do tego chłopaka, mogą znowu przyczepić się do mnie.

„Dlaczego jestem takim tchórzem?”.

Tchórzem? Nawet nie znam tego gościa. Dlaczego miałbym być dla niego miły? On śmierdzi. Poza tym mnie nazwano psim żarciem i nikt się za mną nie wstawił.

„Owszem. Ale czy dlatego mam się zachowywać jak wszyscy inni?”.

– Więc skąd jesteś, Cam? – zagaduje mnie Benjie.

– Mam na imię Cameron. Pochodzę z Calgary.

Wcale nie.

Benjie nachyla się ku mnie. Widzę, że między zębami ma okruchy płatków Cheerios.

– Mam w Calgary kuchynia. Więc w której części mieszkałeś?

Staram się nie oddychać nosem.

– Właściwie to raczej miasteczko na obrzeżu. Powiedziałem Calgary, bo ludzie znają to miasto.

„Przestań ze mną rozmawiać, Benjie. Proszę, przestań ze mną rozmawiać”.

– No tak, ale które? – Znowu mruga. – Cochrane? Chestermere? Mój kuzyn mieszka w Chestermere.

– Cochrane.

– Super – mówi. Wydmuchnięta z rurki przeżuta kulka papieru trafia go w głowę. Benjie się odwraca. – Przestańcie.

– Dlaczego, Prosiaku? – rzuca drwiąco Cody. – Zamierzasz coś z tym zrobić, Prosiaku?

Policzki Benjiego oblewa rumieniec.

– Dranie – szepcze. – Myślę, że mogą wszystkimi rządzić. Cody Murphy to największy drań. Zasłużył na wszystkie złe rzeczy, jakie kiedykolwiek mu się przytrafiły. Jego matka go porzuciła, wiesz. Ilekroć ciska czymś we mnie, przypominam sobie o tym i czuję się szczęśliwy.

– Co zrobiła jego matka?

– Porzuciła go. Super, co? – Benjie mruga jeszcze parę razy. – Kiedy miał jakieś osiem lat, umarł jego ojciec; matka powtórnie wyszła za mąż, a Cody’ego przywiozła z miasteczka do dziadków tutaj, na wsi.

– Kiepska sprawa.

– Nie dość kiepska jak dla niego. – Benjie uśmiecha się szeroko. – Ale co ty tu robisz? Chodzi mi o to, że nie urodziłeś się tutaj. I nawet żadna farma w okolicy Wolf Hollow nie jest na sprzedaż. Czy twoi starzy się rozeszli? Mieszkasz u krewnych?

– Mama wynajęła wiejski dom – wyjaśniam, wyglądając przez okno.

– Mieszkacie w starym domu pana Sinclaira?

– Sza! Mów ciszej. Tak. Skąd wiesz?

– Ponieważ mieszkam tu od zawsze, a to jedyny pusty dom wzdłuż całej trasy autobusu. Więc słuchaj, to nawiedzony dom.

Spoglądam znowu na niego.

– Nawiedzony?

– Powinien taki być – mówi Benjie. – Ten facet jest dziwny.

– Kto?

– A jak myślisz? Sinclair. Uważaj, żeby nigdy nie zostać z nim sam na sam.

– Dlaczego?

– Ma w stodole wielką maszynkę do mięsa. Mógłbyś skończyć jako gulasz.

– Daj spokój.

– Tak mówią tutaj dzieciaki. W każdym razie ostrzegłem cię.

Do autobusu wsiadają dwie dziewczyny i zajmują miejsca na przedzie obok przyjaciółek. Banda Cody'ego gwizdże i rzy. Przez resztę drogi przyglądam się mijanym polom, podczas gdy Benjie nawija bez końca o Klubie 4-H, którego nazwa oznacza, jak się zdaje, Głowę, Serce, Ręce i Zdrowie<sup>1</sup>. Ten klub organizuje jesienny jarmark z konkursami dla nastolatków, jest naprawdę fajny, powinienem do niego wstąpić, a lokalnym liderem był dziadek Benjiego, dopóki po udarze nie został sparaliżowany i nie trafił do miejskiego domu spokojnej starości. Bla, bla, bla. W każdym razie to lepsze, niż gdyby Benjie miał zadawać mi pytania typu kto?/kiedy?/gdzie?/dlaczego?

Autobus wjeżdża na szkolny parking. Benjie ze spuszczonym wzrokiem pozostaje w fotelu, czekając, aż najpierw wysiądzie załoga Cody'ego. Dwie torby sportowe „przypadkiem” uderzają w bok jego głowy. Benjie udaje, że tego nie zauważył.

Idziemy przejściem ostatni. Gdy wychodzimy z autobusu, gang Cody'ego kopci papierosy na poboczu autostrady.

– Może spotkamy się podczas lunchu? – proponuje Benjie, gdy zmierzamy do frontowych drzwi szkoły.

– Jasne, może.

Super, mam jeszcze jedną zagwozdkę: urazić jego uczucia albo już pierwszego dnia dołączyć do gromady nieudaczników. Właściwie już dołączyłem.

Niewiele zapamiętuję z poranka, który upływa mi na zgłoszeniu się w sekretariacie, pobraniu informatora i pierwszych dwóch lekcjach. W szkole jest o wiele więcej dzieciaków, niż się spodziewałem. Wolf Hollow to może zapadła dziura, ale uczniów przywozi się autobusami z całego okręgu i dlatego szkołę wybudowano po wiejskiej stronie mostu prowadzącego do miasteczka.

W porze lunchu idę do stołówki i studiuję informator, tak abym mógł udawać, że nie widzę Benjiego przywołującego mnie machaniem ręką do stołu, przy którym siedzi razem z kupą innych gości wyglądających, jakby też śmierdzieli. Siadam samotnie w kącie, plecami do wszystkich, i wyjmuję z plecaka torebkę z kanapką i colę.

W stołówce panuje spory hałas. Piszczą krzesła przesuwane po cementowych płytach podłogi. Z głośników dobiega mnóstwo rozmaitych ogłoszeń, które wszyscy przekrzykują. I ktoś śmieje się tak piskliwie, jakby oddychał helem. Jak długo będę musiał znosić to wszystko, zanim oboje z mamą znów się przeprowadzimy?

Nieoczekiwanie wokół mnie skupia się banda Cody'ego. On i jeden z jego kumpli siadają po obu stronach i wpatrują się we mnie, jakby prowokowali, żebym na nich spojrział. Robię to. Patrzą niedługo, ale wystarczająco, by pokazać, że się ich nie boję, co nie jest prawdą i oni to wiedzą.

– Cam – zagaduje Cody. – Tak masz na imię? Cam?

– Cameron.

– A więc, Cam, dlaczego nie jesteś ze swoim koleśkiem Prosiakiem?

„Nie wiem. A dlaczego ty nie jesteś ze swoją matką?”

– Dlaczego miałbym z nim siedzieć? – mówię.

Kumple Cody'ego rechoczą.

– On śmierdzi, co? – mówi Cody, testując mnie.

– Skąd mam wiedzieć?

– Usiadłeś obok niego.

– To on usiadł obok mnie.

– Wszystko jedno. Albo może ty nie czujesz smrodu? Co? W końcu przecież mieszkasz w cuchnącej norze Sinclaira. Zgadza się, Cam?

Siłą woli powstrzymuję się, żeby nie drzeć.

– Dlaczego to robisz?

– Co robię?

– Właśnie, co robi? – powtarza jak echo gość siedzący po prawej stronie Cody'ego.

– Wiesz co.

Cody obejmuje mnie ramieniem.

– Jesteś nowy. Zaznajamiamy się z tobą, to wszystko. Ja jestem Cody. Ci tutaj to Brandon, Mark, Stu, Dave. Informujemy cię, jak wygląda sytuacja.

– Tak, w porządku – przytakuję, jakby to miało jakikolwiek sens.

– W każdym razie, Cam – mówi Cody, teraz naprawdę cicho – chcemy się dowiedzieć, czy... późno w nocy słyszysz psy?

– Jakie psy?

– No wiesz. Te psy!

– Nie wiem. – Z wysiłkiem przełykam ślinę. – Powiedz mi.

– Dlaczego? Boisz się, Cam?

Jego kumple się śmieją, ale nie tak, jakby to było coś zabawnego.

– Nie – kłamię. – Czego miałbym się bać?

Cody mocno ściska mi ramię.

– Mieszkasz w ruderze Sinclaira. Dowiesz się.

Wstaje i niespiesznie wychodzi ze stołówki. Kumple podążają za nim, rechocząc i wrzeszcząc.

Wszyscy gapią się na mnie. Czy oni też się ze mnie śmieją? Wrzucam papierową torbę i puszkę po coli do kosza, zamykam się w kabinie toalety w głębi korytarza i opieram nogi o skraj klapy sedesu, żeby nikt nie odkrył, że tu jestem.

Cody. Banda. Czuję mdłości. Ale mniejsza o nich. Co to za sprawa z Sinclairem i psami?

„Nie ma żadnej sprawy. Cody po prostu chciał mnie przestraszyć, pokazać, kto tu rządzi. Właśnie tak robią tacy goście”.

Ale jednak...

Dzwoni moja komórka. To mama.

– Złapałam cię podczas lunchu?

– Tak. Mniej więcej.

– Jak twój pierwszy dzień?

– Świetnie. Słuchaj, jestem teraz trochę zajęty.

Mama się śmieje.

– W takim razie nie zatrzymuję cię. Chciałam ci tylko powiedzieć, że może mnie nie być w domu, kiedy wrócisz. Będę u pana Armstronga.

Co ona zamierza robić z tym facetem Kowbojskie Buty?

– Czy przeprowadzamy się w jakieś inne miejsce?

– Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu Ken zaofiarował się, że pokaże mi miasteczko.

– Ken? – Przewracam oczami. – Jest już twoim przyjacielem?

– Och, Cameron, na litość boską, on tylko okazuje się pomocny. Nigdy nie wiadomo, od kogo trzeba będzie znowu wynająć lokum ani kiedy. Nawiazywanie kontaktów bywa całkiem przydatne. Powinnam być w domu o piątej.

Oczywiście gdy wracam, samochodu mamy nadal nie ma. Wchodzę do domu, żeby pooglądać telewizję, ale wpadam na lepszy pomysł. Nieobecność mamy to doskonała okazja, by trochę pomyszkować. W naszym poprzednim domu węszyłem w jej pokoju, żeby sprawdzić, czy ma rewolwer albo jakieś rzeczy wiążące się z tatą, ale nie było tam niczego ciekawego oprócz jej pigułek antykoncepcyjnych. Tak więc zamiast grzebać w rzeczach mamy, postanawiam przejrzeć pudła w piwnicy. Dlaczego nie, skoro szukałem tam już psycholi i mutantów? Szperanie w pudłach nie potrwa długo, a może znajdę coś przydatnego.

Schodzę ostrożnie po schodach do Krainy Cieni. Panuje tu taki sam ziąb jak poprzednio. Pajęczyny są ciężkie od wilgoci. Jeśli wsłucham się w ciszę, umysł zacznie mi płatać figle, więc biorę się do roboty. Najpierw grzebię w pudłach z książkami. Są tam same romanse i roczniki „Almanachu Farmera”.

Następnie przeglądam pudła z ubraniami. Kilka par spodni i długich kalesonów, trochę ubranek niemowlęcych – chyba chłopięcych, bo są niebieskie – oraz kłęb wełnianych swetrów pełen brązowego ryżu. Nie, zaraz. To nie brązowy ryż, tylko mysie bobki. Wycieram dłonie o nogawki dżinsów i wyobrażam sobie, co by się stało, gdybym wsadził je w mysie gniazdo.

Przechodzę do skrzyni z zabawkami za piecem. Znajduję w niej więcej chłopięcych rzeczy – wyszczerbiony krążek hokejowy i podartą piłkę baseballową. Są też jo-jo, gumowa piłeczka przymocowana elastyczną linką do raketki pingpongowej, małe lustro, szkło powiększające i kilka szklanych kulek.

Wycieram szkło powiększające z kurzu i podsuwam je przed moją dłoń. A więc jednak mieszkał tu jakiś mały chłopiec, rozmyślam, przyglądając się moim liniom papilarnym. Dlaczego po sprzedaży farmy rodzina nie zabrała jego rzeczy? Ciekawe, co się z nim stało? Byłby teraz w wieku mojego dziadka. Dziwne.

– Co ty tu knujesz?

Odwracam się szybko. Przygląda mi się stary człowiek garbiący się pod rurami. Jest wychudły, z nozdrzy i uszu wyrastają mu kępki włosów.

– Mamo! – krzyczę i rzucam się do tyłu.

– Jej tu nie ma – mówi burkliwie starzec.

Zerkam na schody. Gdybym spróbował uciec, on zagrozi mi drogę.

– Kim pan jest? Co pan tu robi?

– Jestem właścicielem tego domu.

– Pan Sinclair?

Chrząka.

– Jesteś tym dzieciakiem?

Wyciąga rękę, jakby oczekiwał, że ją uścisknę. Jeśli to zrobię, będzie mógł mnie złapać. Jeśli tego nie zrobię, wyjdę na tchórza.

Ściskam mu dłoń. Jest wielka i szorstka. Przez chwilę nie puszcza mojej. Kiedy ją uwalnia, cofam się. Przypatruje mi się. Mamo, gdzie jesteś?

Próbuję przełknąć ślinę, ale mam zbyt suche gardło.

– Jak pan tu wszedł?

– Mam klucz. – Mruży oczy. – Pukałem.

– Nie słyszałem.

– Nie słyszałeś też, jak schodziłem po schodach. Jesteś głuchy czy co?

Wyjmuje z kieszeni chustkę do nosa. Wyobrażam sobie, jak usypia mnie eterem i wlecze do maszyny do mięsa w swojej stodole.

– Co zamierza pan zrobić?

Wycharkuje flegmę do chustki i chowa ją z powrotem do kieszeni.

– Uprzątnę trochę tych gratów, oto co zamierzam zrobić. Podobno twoja matka chce, żeby stąd zniknęły.

– A gdzie są pracownicy firmy transportowej?

– Po co mam płacić jakiemuś gościowi za coś, co mogę zrobić sam?

Pan Sinclair wychodzi spod rur pieca i dźwiga trzy pudła książek tak lekko, jakby nic nie ważyły.

– W tych pudłach mogą być myszy – mówię.

– Wcale bym się nie zdziwił – odpowiada, wnosząc je po schodach.

Czuję się trochę głupio, stojąc tam bezczynnie.

– Chce pan, żebym pomógł?

– Jeżeli potrafisz – rzuca opryskliwie, nie patrząc na mnie.

Przez następne pół godziny pomagam mu ładować graty na tył furgonetki. To dziwny facet, tak jak mówił K.B. Twarz ma opaloną i ogorzałą od wiatru, ale kiedy zdejmuje kapelusz, żeby się nim powachlować, okazuje się, że jego czaszka jest łysa i różowo-biała; do jej czubka przylegają długie siwe kosmyki wyrastające znad lewego ucha. Poza tym co chwila mlaska językiem.

– Czy są tu w okolicy jakieś psy? – pytam, gdy wnosimy po schodach kilka połamanych krzesełek ogrodowych.

– Psy? W większości domów trzymają psy.

– Wiem, ale mam na myśli... właściwie nie wiem, co mam na myśli. Chodzi o to, że w szkole powiedzieli mi, że tu są psy. Mówili to w taki sposób, że... no...

Pan Sinclair otwiera kopnięciem drzwi szopy na tyłach domu.

– Ludzie gadają kupę rzeczy.

Na podjazd wjeżdża samochód mamy. Pan Sinclair podchodzi i się przedstawia. Mama patrzy na mnie, a ja się orientuję, że pierwsze, co dostrzega, to smugi brudu na mojej koszuli.

– Pani chłopak pomaga mi uprzątnąć te graty z piwnicy – wyjaśnia pan Sinclair.

– Och... to dobrze – mówi mama.

Wykluczone, by mogła teraz wystąpić z jakąś pretensją.

– Sporo tam tego. Więcej, niż pamiętałem. Wrócę po resztę jutro albo pojutrze.

– Nie ma pośpiechu – mówi mama, ale jest jasne, że chciałyby, aby te rzeczy zniknęły już przedwczoraj. – Cameronie, pomożesz mi wnieść te zakupy ze sklepu spożywczego?

Wnoszę trzy z toreb. Mama zaczyna przygotowywać obiad, a ja wracam po pozostałe. Pan Sinclair zbiera się do odjazdu.

– Panie Sinclair, mogę zapytać o coś jeszcze?

– Zapytać możesz. To nie znaczy, że ci odpowiem.

Wsadzam rękę w kieszenie.

– Czy znał pan tego chłopca?

– Jakiego chłopca?

– Czy zanim pana ojciec kupił tę farmę, nie mieszkał tu jakiś chłopiec? Przypuszczam tak z powodu wszystkich tych dziecięcych rzeczy w piwnicy. Nie żeby to było ważne. Chodzi tylko o to, że często się przeprowadzam i musiałem zostawić mnóstwo swoich rzeczy. Ciekawi mnie więc, dlaczego jego rzeczy tu zostały, kim był i w ogóle.

Pan Sinclair skrobie się w nos.

– Jesteś zbyt ciekawski.

– Wszyscy mi to mówią. – Czerwienię się. – W każdym razie pomyślałem, że skoro dorastał pan na sąsiedniej farmie, może pan by wiedział.

– Ach tak?

– Tak. A więc wie pan?

– Niewątpliwie zadajesz wiele pytań – mówi pan Sinclair.

Parska szorstkim śmiechem, wsiada do furgonetki i odjeżdża.

Dlaczego pan Sinclair mi nie odpowiedział? Co to za wielka tajemnica?

„Kto mówi, że jest tu w ogóle jakaś tajemnica? Może pan Sinclair po prostu nie lubił tamtego chłopca i nie chce o nim rozmawiać. Albo może nie było żadnego chłopca; te rzeczy pochodzą z czasów dzieciństwa właściciela, a kiedy przeniósł się do domu spokojnej starości, po prostu je tu zostawił”.

Nie wiem, jak długo rozmyślam o tych „może” i „a co, jeśli”. W końcu wchodzę do domu.

– Zgubiłeś się? – pyta ze śmiechem mama. Smaży już hamburgery i gotuje mieszankę warzywną. – No, a co z resztą zakupów?

– Przepraszam.

Zawsze się tak dzieje, kiedy dumam o jakichś sprawach; mój umysł wtedy wylatuje przez okno. Wracam do samochodu i przynoszę kilka ostatnich toreb.

Mama nakłada jedzenie, a ja nakrywam do stołu.

– Więc jak ci minął pierwszy dzień w szkole?

– Wspaniale – kłamię.

– To cudownie. – Mama wnosi nasze talerze z jedzeniem. – Mógłbyś podać mi kilka przykładów tego, co uczyniło go takim wspaniałym?

Wzdycham.

– Wspaniałe lekcje. Wspaniałe szkolne szafki. Wspaniała stołówka.

– A koledzy z klasy?

– Wspaniali.

Mama czeka, żebym powiedział coś więcej, ale ja po prostu zaczynam jeść. Posyła mi rozbawiony uśmiech mówiący: „Jesteś zabawny, kiedy się tak zachowujesz”.

– A skoro o tym mowa, ja też miałam całkiem wspaniały dzień.

– Nawiązałaś wiele kontaktów?

– Jeszcze lepiej. Dostałam pracę.

Niemal się dławię.

– Co takiego?

– Przynajmniej tymczasową. – Mama się rozpromienia. – Recepcjonistka Kena wkrótce urodzi dziecko. Miała pracować, dopóki on nie zdoła znaleźć kogoś na jej miejsce. Powiedziałam, że mam doświadczenie w pracy biurowej, i tak oto do końca tygodnia będę się przy niej przyuczać do obowiązków, a od poniedziałku ją zastąpię.

– Będiesz pracować u tego faceta od nieruchomości?

– Nie chmurz się tak, bo dostaniesz zmarszczek.

Osuwam się na krzesło. Kowbojskie Buty. Teraz codziennie będę wysłuchiwał opowieści o Kowbojskich Butach.

Mama czyta w moich myślach.

– To tylko praca, Cameron. I on nie żądał referencji.

Kwestia referencji to dla mamy śmiertelne zagrożenie. Boi się, że jeżeli jakaś firma sprawdzi jej zawodową przeszłość, ludzie w jej dawnym miejscu pracy dowiedzą się, gdzie teraz pracuje, a wtedy odkryje to też tata. Poza tym kto zechce przyjąć osobę, której historia



zatrudnienia nagle się urywa?

– Więc to fantastycznie – mówię. – Gratulacje.

– Dziękuję. – Uśmiech mamy wchodzi na najwyższy bieg. – Nie chcę „zrujnować ci reputacji”, ale moja propozycja odwożenia cię do szkoły jest nadal aktualna. Mogę podrzucić cię w drodze do pracy, a później odbierać po piątej, wracając do domu. Miałybyś czas, żeby wstąpić do jakiegoś szkolnego klubu, odrobić lekcje w bibliotece.

O piątej? Jeżeli wrócę po szkole autobusem, to oznacza, że będę tutaj sam – a pan Sinclair ma klucz do domu. Ale jeśli mama mnie odwiezie, gang w autobusie uzna, że się ich boję. Wyobrażam sobie, jak osaczają mnie przy mojej szafce: „Hej, Cammy, boisz się? Gdzie twoja mamusia, Cammy?”.

– Autobus jest w porządku – mówię.

Żuję i przełykam, ale w ogóle nie czuję smaku jedzenia. Mam wrażenie, jakbym był pod wodą; ledwie słyszę, jak mama pyta, co się stało. Przestaję jeść i wbijam wzrok w talerz. Mama powtarza pytanie.

– Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Jest świetnie.

Mama przechyla głowę na bok.

– Cameron, widzę, że nie. Co się dzieje?

Wzruszam ramionami.

– Nic, na co mogłabyś coś poradzić.

– Mogę cię wysłuchać.

– Tak, ale nie mam nic do powiedzenia.

– Czy chodzi o moją nową pracę?

– Nie. Cieszę się, że ją dostałaś. Naprawdę.

Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu, a potem mama zabiera ze stołu mój talerz i przynosi mi na deser salaterkę lodów.

– Nie martw się – mówi cicho. – Będzie lepiej. Pierwszy dzień w nowej szkole zawsze jest trudny. Pamiętam, kiedy ja...

Wyłączam się, podczas gdy mama opowiada mi o tym, jak w jej dzieciństwie moi dziadkowie się przeprowadzili i w szkole była ta dziewczynka, która stale okropnie jej dokuczała, ale pod koniec roku zostały najlepszymi przyjaciółkami. Ta historia ma mnie przekonać, że mama rozumie, przez co przechodzę, ale tak się nie dzieje. Sprawia tylko, że wpadam w dezorientację, ponieważ najwidoczniej nie wiem, co właściwie czuję. Poza tym – halo, mam! – banda, która może mnie pobić, kiedy tylko zechce, to chyba nie to samo co jakaś dziewczynka, która wyśmiewała się z twojego swetra.

Zresztą, nawet nie myślę o szkole. Myślę o panu Sinclairze i o tym, czy powinienem powiedzieć mamie, że on ma klucz i wchodzi samowolnie do tego domu. Czyli mógłby wejść też w środku nocy, kiedy śpimy. Wyobrażam sobie, jak stoi w nogach łóżka i wpatruje się we mnie.

„Przestań, to zwariowane”.

Czyżby? W każdym razie, jeśli jej powiem, co z tego? Mama się zdenerwuje, ale potem oświadczy: „Każdy właściciel domu ma klucze, a ja przecież poprosiłam go, żeby sprzątnął tamte rzeczy, więc to moja wina. Nie martw się, porozmawiam z nim i ustalę zasady”. A pan Sinclair przeprosi i mama będzie się zachowywała, jakby wszystko było w porządku. Tylko że nie będzie w porządku. Pan Sinclair dowie się, że się boję, i nadal będzie miał klucz.

– ...a pod koniec roku Marcia i ja byłyśmy już najlepszymi przyjaciółkami. – Mama sięga

przez stół i kładzie dłoń na mojej. – Uwierz mi, kochanie, sprawy się poprawią. Sprawy zawsze się poprawiają.

– Ach tak? – Gwałtownie cofam rękę; jestem tak wściekły, że nie potrafię myśleć. – Sprawy zawsze się poprawiają? Tak jak z tatą? – Mama blednie. – Przepraszam, nie chciałem.

Mama wstaje i zanosz talerze do zlewu. Opiera się o blat.

– Mamo, przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam.

– Nieważne. Idź odrobić lekcje.

– Mamo...

Unosi rękę, nie gniewnie ani nic takiego, tylko jakby ta ręka była poruszana sznurkiem. A ja wiem jedno: nic, co powiem, nie zdoła tego naprawić.

Idę na górę do mojej sypialni, która znajduje się obok małej łazienki, w pobliżu dużego pokoju nad kuchnią. Mama sądziła, że go wybiorę, i wybrałbym, gdyby nie kłapa w suficie, zabita gwoździami i zamalowana. Kiedy ją zobaczyłem, zapytałem mamę, jak myśli, co jest tam na górze.

– Strych.

– Tak, ale co w nim jest?

Wyobraziłem sobie wyschnięte zwłoki, na wpół zjedzone przez myszy. No bo kto zabija gwoździami pusty strych? W każdym razie właśnie dlatego nie wybrałem tego dużego pokoju. Jeśli nie widzę tej kłapy, łatwiej mi nie rozmyślać, co jest po drugiej stronie.

W sypialni, którą wybrałem, są dębowe biurko, drewniane krzesło, nocny stolik z lampką i łóżko z żelazną ramą. Materac jest nowy, w przeciwieństwie do tapety – poplamionej i odłóżającej wzdłuż łączeń koło okna. Pod spodem są warstwy starszych tapet, jedna z wzorem w małe pomarańczowe kanarki.

Jedyną zaletą mojego pokoju jest okno nad biurkiem. Wyglądając przez nie, widzę stodołę otoczoną zewsząd polami, a w oddali las. W nocy blask gwiazd i światło zewnętrznej lampy domu oświetlają fragmenty stodoły i pierwszy rząd łodyg kukurydzy.

Biorę się do odrabiania lekcji. Wkrótce jednak zaczynam wyglądać przez okno, obserwuję gwiazdy pojawiające się na niebie i usiłuję zapomnieć o moim życiu. Zastanawiam się, kto jeszcze wpatruje się teraz w księżyc. Czy rozmyśla o tym samym co ja?

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch przy stodole. Kiedy tam patrzę, to coś znika. Chwileczkę. Pojawia się znowu, tym razem przy polu kukurydzy. Ten sam ruch, to samo coś.

Liczę do dwudziestu. Nic się nie dzieje. Odprężam się. Wtem... czy tamta łodyga się poruszyła? Gaszę światło w sypialni, żeby, cokolwiek tam jest, nie mogło mnie zobaczyć.

„To prawdopodobnie tylko wietrzyk”.

Albo pan Sinclair. Albo Cody i jego banda.

„Nie wariuj. Jeżeli tam w ogóle coś jest, to kojot albo pies”.

Psy. Zaciągam zasłony. Jeżeli nie będę wyglądał przez okno, cokolwiek tam jest, odejdzie. Ale nie mogę nie spojrzeć. Zerkam ukradkiem. Nic. Zaraz. Coś przy stodole. Czy to jakiś chłopiec?

Mrugam. Chłopiec znika.

Przyglądam się uważnie stodole. W górnej części, na wysokości stryszku brakuje deski. Im dłużej się wpatruję, tym bardziej jestem przekonany, że widzę chłopca patrzącego na mnie z cieni za otworem po desce. Ma jakieś dziesięć lat, jest bardzo blady, piegowaty i nosi jedną z tych starych futrzanych czapek w stylu Davy’ego Crocketta, z ogonem szopa z tyłu. Dziadek miał taką. Pokazywał mi zdjęcia z okresu, kiedy był dzieckiem.

„Nie bądź wariatem. Stodoła jest za daleko, żebyś mógł dostrzec takie szczegóły”.

Twarz znika. Wpatruję się tak intensywnie, aż zaczyna mi się dwoić w oczach. Twarz z wolna znowu się pojawia.

To zbyt dziwaczne. Zamykam oczy i usiłuję oczyścić umysł, rozmyślając o autobusie i okruchach płatków Cheerios między zębami Benjiego. Kiedy otwieram oczy, wszystko jest

zwyczajne. Nie ma żadnej twarzy. Niczego. Tylko noc.

I już tak zostaje.

Znowu zaciągam zasłony, szykuję się do snu i wślizguję się pod kołdrę. Nienawidzę tego, jak potrafię sam siebie nastraszyć. Zawsze ta sama głupia historia. A im bardziej się boję, tym więcej mówię do siebie, co jest jeszcze głupsze.

Poza tym, nawet jeśli w stodole był jakiś chłopiec, co w tym straszego? Może po prostu tak jak ja lubi penetrować różne miejsca. Niemniej jednak to dziwne, że przebywa na naszym terenie, zwłaszcza o tak późnej porze. Ciekawe, gdzie mieszka?

„Kto powiedział, że w ogóle gdzieś mieszka? Kto powiedział, że on jest rzeczywisty? Jacy rodzice pozwoliliby takiemu małemu dziecku wałęsać się po nocy?”.

Mama puka do moich drzwi.

- Cameronie?

- Tak?

- Mogę wejść?

- Jasne.

Wiem, że pragnie uściskać mnie na dobranoc, ale kiedy miałem dwanaście lat, powiedziałem jej, żeby przestała, więc tylko stoi w progu.

- Wiem, że nie chciałeś powiedzieć niczego złego. Miałeś ciężki dzień. Przepraszam, że przesadnie zareagowałam.

Nie znoszę, kiedy tak wszystko rozumie. Czuję się wtedy jeszcze gorszym draniem.

- W porządku, mamó. To ja cię przepraszam. Bardzo mi przykro.

- Wiem. - Milczy chwilę. - A więc dobranoc. Kocham cię.

Chcę odpowiedzieć to samo, ale czuję się otepiały, więc mówię tylko:

- Ja ciebie też.

Mama zamyka drzwi. Idę zgasić lampę, a przez głowę przemykają mi ulotne obrazy pana Sinclaira, psów i tego dzieciaka, którego być może widziałem w stodole. Co krąży na dworze w ciemnościach wokół domu, kiedy my śpimy? Co tam może być?

Zostawiam lampę zapaloną.

Czwartek wygląda bardzo podobnie do środy. Wsiadam do autobusu i zajmuję miejsce w pobliżu końca. Banda Cody'ego wrzeszczy na mnie, kiedy idę przejściem. Kilka minut później wsiada Benjie i zaczynają się kwiki. Proponuję mu tic taca na jego cuchnący oddech, ale nie chwyta aluzji. W porze lunchu zaszywam się w kiblu i zamartwiam się wszystkim. Po lekcjach znowu jadę autobusem. Wsiadam przy mojej drodze dojazdowej.

Jest zimno i pochmurno. Pola kukurydzy zdają się szeptać na wietrze. Kopię kamyk wzdłuż drogi. Mijając łodygi kukurydzy, widzę wystającą zza domu furgonetkę pana Sinclaira. Widocznie on uprząta resztę śmieci.

Wcale nie mam ochoty zostać z nim znowu sam na sam, więc wślizguję się w pole kukurydzy i idę zagonami wzdłuż podwórza i boku domu, aż docieram do płotu sztachetowego przy stodole. Jestem całkowicie ukryty, ale mogę zerkać między sztachetami jak szpieg.

Otwierają się drzwi szopy na tyłach domu. Wychodzi pan Sinclair, dźwigając kilka pudeł. Niesie je do furgonetki, ciska na platformę i wraca do wnętrza domu.

Wąsy kukurydzy łaskoczą mnie w nos; liście łopoczą przed twarzą. Potrzebuję lepszego punktu obserwacyjnego. Rzucam okiem na stodołę. Ten otwór w górnej części, w którym chyba widziałem tamtego chłopca, byłby idealny. Wybiegam z pola kukurydzy, przeskakuję przez płot i gnam do stodoły. Wewnątrz jest ciemno, z wyjątkiem kilku promieni światła wpadającego przez szpary między deskami. Przede mną są drewniane schody wsparte na betonowej podstawie wbudowanej w klepisko. Dostrzegam też kilka boksów dla krów.

Wchodzę na stryszek, sprawdzając stopą każdy schodek, na wypadek gdyby był obluzowany czy zbutwiały. Stryszek jest pusty, z wyjątkiem przewróconego wiadra i ptaków siedzących rzędami na krokwiach. Gdzie są ptaki, są też ptasie odchody. Chyba nie będę tu siadał.

Kucam przy otworze po desce. Nie widać ani śladu pana Sinclaira. Widocznie nadal jest wewnątrz domu. Rzucam okiem na okno mojej sypialni. Gdyby zasłony były odsunięte, mógłbym zajrzeć do środka. Wyobrażam sobie nocnych prześladowców, którzy czają się tu na górze i mnie obserwują. Zasłony się poruszają. W domu jest tylko pan Sinclair. Co on robi w moim pokoju?

W tym momencie pan Sinclair wychodzi z szopy, niosąc dwa kartonowe pudła. To niemożliwe. Nie może być jednocześnie na dworze i w mojej sypialni. Więc kto tam jest? Pan Sinclair kładzie pudła na platformę furgonetki, wsiada do kabiny i uruchamia silnik.

– Panie Sinclair! Proszę zaczekać! Niech pan nie odjeżdża! Ktoś jest w moim pokoju!

Nie słyszy mnie; jedzie w kierunku drogi dojazdowej. Zbiegam po schodach, gnam do drzwi. Za późno. Już go nie ma. Co teraz zrobię? Wyjmuję komórkę, żeby zadzwonić do mamy.

„Chwileczkę. Jeżeli jej powiem, że w domu jest ktoś obcy, wezwie policję. A jeśli się mylę? Może zobaczyłem tylko cień chmury przemykający przez szybę okna?”.

A jeśli się nie mylę?

„Spokojnie. Straszę siebie bez powodu. Kto miałby być wewnątrz domu? Złodziejowi

wystarczyłoby jedno spojrzenie na tę rudere, aby wiedzieć, że nie ma tu niczego do ukradzenia. A jaki przypadkowy przechodzień włamywałby się do domu na takim pustkowi?”.

A jeśli to nie jest przypadkowy przechodzień? Jeśli to tata? Mógł zaparkować samochód na najbliższym skrzyżowaniu dróg i z łatwością przyjść tu pieszo.

„Przestań myśleć jak mama”.

Dlaczego? Co rusz słyszy się w wiadomościach o jakimś facecie, któremu odbiło i zamordował swoją rodzinę.

„Tata by tego nie zrobił. Czyżby?”.

Usiłuję myśleć o czymkolwiek innym oprócz tamtej ostatniej nocy, kiedy jeszcze mieszkaliśmy wszyscy razem. Na próżno.

Miałem wtedy osiem lat. To było po kolacji. Nie pamiętam, jak się zaczęło, ale mama i tata znowu się kłócili. Ich kłótnie miały być trzymane w tajemnicy. Było wiele sekretów dotyczących taty. Na przykład sekret o tym, jak uczył mnie pływać i trzymał mi głowę pod wodą, aż zacząłem myśleć, że tonę. „To trening, stary”.

Podczas tej kłótni tata zaczął rozbijać różne przedmioty.

– Nie przy Cameronie – powiedziała mama.

Pobiegłem na górę, schowałem się pod kołdrę, zatkałem palcami uszy i modliłem się, żebym nie zmoczył w nocy łóżka, jak dawniej, kiedy rodzice się kłócili. Potem zawsze okropnie się tego wstydzilem. „Nie mów tacie”, prosiłem, a mama obejmowała mnie i przyrzekała, że nie powie.

W każdym razie ta kłótnia była tak głośna i burzliwa, że nadal ją słyszałem. Tata wrzeszczał to co zawsze:

– Kim on jest? Jak się nazywa?

– Nie ma żadnego „niego”! Nie ma nikogo! – odkrzykiwała mama.

– Masz mnie za głupca? To ten facet z drogerii, tak? Nie okłamuj mnie. Widziałem, jak na siebie patrzycie. Znam prawdę.

Krzyki ciągnęły się bez końca. Żeby je zagłuszyć, śpiewałem do siebie piosenki. A potem zjawiała się policja. Zawieźli mnie do schroniska, gdzie jakaś kobieta umieściła mnie w pokoju i dała mi pluszowego misia. Byłem na to o wiele za duży, ale nie obchodziło mnie to.

– Gdzie mama? – pytałem. – Gdzie tata?

Odpowiadali mi tylko:

– Twojej mamie nic się nie stało.

Ktoś stale do mnie zaglądał, dopóki następnego dnia nie przyjechali babcia i dziadek.

– Nie martw się – powiedziała babcia. – Kochamy cię. Wszystko jest dobrze.

Powiedzieli, że mama miała wypadek i jest w szpitalu, a tata wyjechał w interesach. Potem zabrali mnie do jakiegoś mieszkania, w którym pozostaliśmy przez miesiąc, dopóki mama nie poczuła się lepiej. Przez cały ten czas nie pozwalali mi się z nią zobaczyć. Kiedy pytałem dlaczego, babcia zrywała się i wybiegała z pokoju.

– Kiedy wróci tata? – pytałem, a gdy byłem śmielszy: – Dlaczego przyjechała do nas policja?

– Nie myślmy o tym – odpowiadał dziadek. – Pomyślmy o weselszych rzeczach.

Ale pewnej nocy, kiedy myśleli, że śpię, usłyszałem, jak babcia powiedziała:

– To potwór. Ona nie może do niego wrócić. Następnym razem mógłby ją zabić.

Następnym razem? Czy były wcześniej inne razy? Kiedy? Czy w tych dniach, kiedy mama

pozostawała w łóżku w sypialni ze zgaszonymi światłami? Mówiła, że boli ją głowa albo że ma grypę. W takich dniach tata zachowywał się zawsze miło. Przynosił do domu kwiaty i zabawki i zamawiał pizzę albo chińskie potrawy na wynos, i oglądaliśmy razem telewizję.

Po tamtej nocy już nigdy więcej nie widziałem taty z wyjątkiem tamtych nadzorowanych wizyt w budynku rządowym. Pamiętam niebieskie ściany, talerz ciasteczek, kamery i pracownika opieki społecznej siedzącego w kącie pokoju.

Z początku bałem się tych spotkań z tatą. Domyślałem się, że musi być jakiś powód, dla którego nie możemy być sami. Ale zachowywał się zawsze łagodnie, a kiedy odwracałem się od niego, na jego twarzy pojawiał się bolesny grymas i czułem się podły. Pamiętam, jak w końcu pozwoliłem, żeby wziął mnie na kolana. Objął mnie ramieniem, a ja płakałem mu w rękaw, nie obchodziło mnie, czy ktoś zobaczy.

Tata mnie huśtał.

– W porządku, stary. Nie bój się. Czasami ludzie mówią o innych ludziach rzeczy, które nie są prawdziwe. Chcę po prostu, abyś wiedział, że kocham ciebie i twoją mamę i nigdy nie skrzywdziłbym żadnego z was.

– Ale co się stało tamtej nocy?

– Czasami twoja mama robi coś za moimi plecami i złościmy się na siebie nawzajem. Tamtej nocy była taka wściekła, że wbiegła po schodach, potknęła się i spadła. Zraniła się przypadkiem, daję ci słowo.

– Więc dlaczego nie jesteśmy razem?

Tata milczy, a potem mówi bardzo cicho:

– Twoi babcia i dziadek mnie nie lubią. Mówią ci różne rzeczy, prawda, stary? Wiesz, jak ludzie potrafią wmawiać coś innym?

Kiwam głową.

Mierzwi mi włosy.

– Jest coś jeszcze. Od tamtej nocy nie wypilem ani kieliszka. Ani jednego. Możesz powiedzieć to mamie. Może mi nie uwierzy, ale to prawda.

Pamiętam ostatnie spotkanie z tatą, zanim mama i ja zaczęliśmy uciekać. Tata miał ten dziwny wyraz w oczach. Zaczekał, aż pracownik opieki społecznej odwrócił się plecami, a wtedy wsunął mi do ręki zdjęcie nas dwóch na plaży.

– Nie pokazuj go nikomu – szepnął. – Mama by ci je odebrała. Ona nie chce, żebyś pamiętał o jakichkolwiek dobrych czasach, jakie przeżyliśmy. Ale ty i ja je zapamiętamy, prawda, stary?

– Jasne.

– Ciii... Na odwrocie są mój nowy adres i numer telefonu komórkowego. To będzie nasz sekret? Do grobowej deski?

Kiwnąłem głową i wsunąłem zdjęcie do kieszeni. Bałem się tego, że muszę je ukryć, ale tata miał rację – mama wpadłaby w furję, gdyby je zobaczyła. Po powrocie do domu umieściłem je za fotografią w ramce na moim nocnym stoliku przedstawiającą mamę i mnie z dziadkami.

Dziwne, ale od tamtego dnia nigdy nie spojrzałem na to zdjęcie. Obawiam się, że jeśli je wyjmę i zobaczę numer komórki taty, ogarnie mnie nieodparte pragnienie, by do niego zadzwonić. A tego nie mogę zrobić. Nigdy. Rozważałem pozbycie się tego zdjęcia, żeby mnie nie kusiło, jednak na to też nie potrafię się zdobyć. A co, jeśli pewnego dnia będę chciał sobie przypomnieć, jak wyglądał tata? Tak więc mam obok łóżka to sekretne zdjęcie: tata,

niewidoczny, lecz stale obecny w moich myślach. Tak jak w życiu.

Kiedy schowałem zdjęcie do kieszeni, tata ostatni raz mnie uściskał.

- Kocham cię. I kocham też twoją mamę. Gdybym tak bardzo jej nie kochał, nie wprawiałoby mnie w taki gniew to, co mi robiła. Uwierz mi, są sprawy, o których dowiesz się, kiedy dorośniesz.

Dokładnie to samo mówi mama: „Są sprawy, o których dowiesz się, kiedy dorośniesz”. Ale wiecie co? Nie mogę czekać, aż dorosnę. Są sprawy, które muszę poznać już teraz.



Zerkam ukradkiem przez otwór w ścianie stodoły na dom. Tata przecież nie mógł tak szybko nas tu wytropić.

„Och, czyżby? Po rozstaniu mógł siedzieć w samochodzie zaparkowanym za rogiem ulicy. Albo wynająć prywatnego detektywa. Albo przyczepić czip z GPS-em pod samochód mamy, kiedy była w centrum handlowym czy w pracy”.

Nie, tylko sam siebie straszę. Tata jest daleko, samotny, tęskni za mną i nie zna miejsca mojego pobytu. Chyba. Muszę jedynie wejść do domu i tego dowieść.

„Nie bądź głupi. Pamiętasz te filmy, w których opiekunka do dziecka słyszy jakiś hałas na poddaszu i idzie sprawdzić? Każdy widz zawsze wtedy mówi: »To wariactwo, nikt nigdy tak by się nie zachował«”.

Ale teraz sytuacja jest inna. Jeżeli w domu nikogo nie ma, nie nastraszę niepotrzebnie mamy. A jeśli rzeczywiście jest tam tata... no cóż, wtedy będę mógł ją ostrzec. Przecież mam komórkę. Poza tym nic mi nie grozi. On nigdy nie wyrządził mi krzywdy.

„Owszem, wyrządził”.

To nie było nic wielkiego, jeśli w ogóle; może tylko mi się przyśniło. Tak czy owak, muszę to zrobić. Dla mamy.

Podchodzę śmiało do domu, jakbym wcale się nie bał. Otwieram tylne drzwi i wchodzę do środka.

– Halo! – wołam bardzo głośno. – Jest tu kto?

Cisza.

– Jeśli ktoś tu jest, niech wie, że ja tutaj mieszkam, jasne? Więc teraz przejdę przez cały dom. Jeżeli jesteś złodziejem czy kimś takim, informuję cię, że wejdę schodami z salonu, więc możesz zbiec po schodach z dużego pokoju i uciec przez kuchnię, tak że w ogóle cię nie zobaczę. W porządku?

No, wspaniale. Mówię jak idiota.

Idę z kuchni przez łazienkę na parterze do pokoju mamy. Zaglądam pod łóżko – nikogo – i do szafy – nikogo. Wsadzam głowę do salonu – nikogo – i staję u stóp schodów.

– To twoja ostatnia szansa! – krzyczę. – Jeśli teraz nie wyjdiesz, lada moment zjawi się mama, a ja mam komórkę, więc lepiej niczego nie próbuj. Mówię serio. Jasne? Świetnie. Nie mów, że cię nie ostrzegłem. Ruszam!

Wchodzę po schodach, zaglądam do małej łazienki – nikogo – i sprawdzam moją sypialnię – nikogo. Przystaję przy drzwiach do dużego pokoju nad kuchnią, a potem otwieram je mocnym pchnięciem. Pokój jest pusty, kłapa na strych nadal zabita gwoździami. Do sprawdzenia została tylko piwnica.

Schodzę z powrotem do kuchni. Drzwi do piwnicy są otwarte. Czy były otwarte, kiedy tu wszedłem? Nie pamiętam. Ale słuchajcie, kto zostawia otwarte drzwi, jeśli chce się ukryć?

„Jedyny sposób, by się tego dowiedzieć, to zejść tam”.

Wydaję latarkę z szuflady z narzędziami po prawej od zlewu. To kiepska broń, ale zawsze coś, jeśli ktoś spróbuje się na mnie rzucić. Poza tym przyda się, jeżeli zgaśnie górne światło, jak we wszystkich tych horrorach.

Zapalam światło w piwnicy, pstrykając włącznik przy drzwiach.

– Tato? Tato, jesteś tam na dole? Jeżeli tak, proszę, powiedz mi, bo mnie straszysz. I dlatego, że chcę się z tobą zobaczyć. Tęsknię za tobą.

Cisza.

Pamiętam, że kiedy miałem dwa czy trzy latka, tata wywiózł mnie na odludzie, do lasu lub czegoś podobnego. Wokoło nie było nikogo, a on schował się za drzewo. Pomyślałem, że mnie zostawił, porzucił na tym kompletnym pustkowiu. Nie wiedziałem, co robić. Krzyczałem i płakałem. Tata przez cały czas mnie obserwował. Uważał to za zabawne.

Schody bardziej niż kiedykolwiek przypominają zejście do grobowca. Staram się zachować spokój, licząc wciąż od nowa do dziesięciu. Po chwili jestem już na dole.

Piwnicę opróżniono ze wszystkiego z wyjątkiem pieca. Kiedy go okrążę, przekonam się, że wszystko jest w porządku. Daję nura pod rury naprawdę szybko. Jeżeli ktoś się tam ukrywa, nie będzie miał czasu, żeby obieć piec i zejść mnie od tyłu.

Nikogo tam nie ma.

„A w komórce na węgiel?”.

Patrzę na jej małe drzwi.

– Tato?

Cisza.

Zapalam latarkę, gwałtownie pcham drzwi komórki i odskakuję do tyłu, jakbym się spodziewał, że coś stamtąd wyprysnie. Nic takiego się nie dzieje. Świecę latarką do środka. Komórka jest pusta, z wyjątkiem kilku bryłek węgla w kątach. Misja zakończona. Dom jest bezpieczny. Armia widm rozbita.

Już mam zamknąć drzwi, gdy dostrzegam coś wydrapanego na lewej ścianie. Nachylam się, żeby się lepiej przyjrzeć. Są tam trzy grupy czterech krótkich linii przekreślonych ukośnie piątą oraz jeszcze dwie linie.

„Czy ktoś był tu zamknięty i rachował dni?”.

Ocieram czoło grzbietem dłoni. Promień latarki natrafia na zakurzoną kartonową teczkę opartą o wewnętrzną ścianę na lewo od drzwi. Nic dziwnego, że wcześniej jej nie zauważyłem. Kto by zauważył? Mogła tkwić tu od bardzo dawna i nadal pozostać ukryta.

Podnoszę ją; cuchnie pleśnią. Przebiega mnie zimny dreszcz. Wyobrażam sobie palce trupa zaciśnięte na moich ramionach. Wbiegam po schodach do kuchni i wszystko jest znowu dobrze – z wyjątkiem tego, że dłonie mam powalane sadzą z teczki. Kiedy mama widzi choćby najmniejszą drobinę ziemi na moich butach, dostaje szału. „Roznosisz błoto po całym domu!”. Jeżeli rozniosę pył węglowy, chyba mnie zabije.

Wyjmuję spod zlewu plastikową torbę, wkładam do niej teczkę i myję ręce. Potem biorę kilka papierowych ręczników i zanoszę torbę na górę do mojego pokoju. Przykrywam biurko ręcznikami, otwieram teczkę i wyjmuję jej zawartość – stertę dziecięcych rysunków, kilka ogryzków kredek i ołówków oraz czarno-białą ślubną fotografię w kartonowej ramce.

Pan młody i panna młoda mają dziwne, martwe oczy. Na odwrocie fotografii jest tekst napisany ozdobnym charakterem pisma:

Panu Frankowi i Pani Frankowej McTavish. Niech Bóg chroni Was i błogosławi. Niech Bóg Was wesprze. Niech Bóg ześle na Was światło Swojej łaski i obdarzy Was spokojem.

1 sierpnia 1948

Ktoś inny narysował strzałkę przy słowie „Pani” i dopisał: „Evelyn z domu Catwright”.

Na dole jakieś dziecko napisało starannie: „Matka i ojciec”. To z pewnością chłopiec, którego rzeczy były w piwnicy, autor tych rysunków. W dolnym prawym rogu każdego napisał równie starannie swoje imię: „Jacky”. A więc nazywał się Jacky McTavish.

Rysunki z góry sterty przedstawiają przeważnie Jacky’ego z matką i ojcem na farmie. Ojciec jest wielki – wyższy nawet od stodoły. Ma ogromne czarne oczy bez białek, a usta pełne pożółkłych zębów. Poza tym niemal na każdym rysunku trzyma widły, młot albo piłę. Jacky i jego matka są o wiele mniejsi, zazwyczaj stoją z boku, trzymając się za ręce. Jej oczy to puste kółka; czasami nie ma ust.

Ale o ciarki przyprowadzają mnie rysunki przedstawiające tylko Jacky’ego. Nosi na nich tę futrzaną czapkę Davy’ego Crocketta.

„To tego chłopca widziałem zeszłej nocy w stodole”.

Nie. Tamtej nocy w stodole nie było żadnego chłopca. A nawet jeśli był, tylko uroiłem sobie tę czapkę. Było zbyt ciemno, żebym mógł ją widzieć.

„Naprawdę?”.

Naprawdę. Zresztą, nawet jeśli ubiegłej nocy jakiś dzieciak wszedł na nasz teren, to nie był ten chłopiec. Obecnie byłby już starym człowiekiem.

Skupiam uwagę na rysunkach. Pośród tych przedstawiających rodzinę jest kilka innych, na których dwaj chłopcy wspinają się na drzewa albo bawią się na głazach pośrodku leśnej polany. Założę się, że to pobliski las za polem kukurydzy. Rozpoznaję Jacky’ego po czapce, ale kim jest ten drugi?

„Pan Sinclair?”.

To by miało sens. On mieszka na sąsiedniej farmie.

„Ale jeżeli pan Sinclair w dzieciństwie bawił się z Jackym, dlaczego nie chce o nim rozmawiać?”.

Pytania, pytania. Jeśli nie będę ostrożny, wpadnę w taką samą paranoję jak mama.

Przeoglądam resztę sterty rysunków. Matka Jacky’ego zniknęła, ale wciąż jest na nich ojciec. Na kilku rysunkach z jego głowy strzelają błyskawice, jak w komiksach, kiedy jakiś szalony superzbrodniarz wpada w kompletny obłąd. Na innych trzyma Jacky’ego nad głową jedną ręką jak lalkę, a chłopiec podnosi ręce. Trudno się zorientować, czy do kogoś macha, czy wzywa pomocy.

W końcu docieram do rysunków na spodzie sterty. Są odmienne. Każdy nabazgrany fioletem, czernią i czerwienią.

Wpatruję się w nie intensywnie. Im dłużej się im przyglądam, tym lepiej dostrzegam kształty i stają się wyraźniejsze. Ogony. Kły. Kałuże krwi.

Serce mi zamiera. Psy. To stado dzikich psów rozszarpujących coś na kawałki.

Mama przynosi do domu jedzenie z KFC. Przy obiedzie pytam ją, jak jej poszło w biurze K.B., i bardzo się staram skupić uwagę na jej odpowiedziach. Głównie jednak rozmyślam o rysunkach Jacky'ego.

Psy. Co się z nimi stało? Dlaczego Cody pytał mnie, czy słyszałem w nocy psy? Nie mógł mieć na myśli tych psów, prawda? Te rysunki mają pięćdziesiąt lat.

A co z Jackym? Dlaczego przestał rysować matkę? Czy coś jej się stało? I co z widłami ojca, z młotem, z jego oczami? Myślę o tym, jak trzymał Jacky'ego w górze jedną ręką – i nagle przypominam sobie, jak tata okręca mną wokoło, kiedy byłem mały. Mama krzyczy na niego, żeby postawił mnie na ziemi. Teraz inne wspomnienie. Jesteśmy na balkonie i tata zwiesza mnie za nogę poza balustradę. „Zamknij się. Chcesz zobaczyć, jak on leci?”.

Po kolacji idę do mojego pokoju i znowu oglądam te rysunki. W bazgrołach wokół psów zaczynam tu i ówdzie dostrzegać ręce, nogi, głowy. Kładę się do łóżka i gaszę światło.

Mija wieczność, zanim w końcu zasypiam...

Jestem na polu kukurydzy; noc; biegnę. Gonią mnie psy. Słyszę tupot ich łap, głośnie szczekanie. Zbliżają się. Upadam, wstaję, znowu upadam. Za sobą słyszę trzask łamanych łodyg kukurydzy. Te psy mnie dopadną. Pomocy!

„One nie zrobią ci krzywdy. Nie pozwolę im”. To mówi chłopiec. Gdzie?

Mrugam i jestem w moim pokoju pod kołdrą, w ciemności. Pocę się, serce mi wali.

Coś jest w pokoju. Ktoś.

– Mama?

Cisza. Próbuję się poruszyć. Nie mogę.

– Kto to?

„To ja, Jacky”.

Nie słyszałem tego. Po prostu mówiłem do siebie.

„Nie bój się”.

– Nie boję się. Jesteś tylko głosem w mojej głowie. Niczym więcej.

„Nie. Jestem Jacky. Cieszę się, że tu jesteś. Od odejścia matki i ojca byłem samotny”.

– Przestań. Zostaw mnie w spokoju. Jestem Cameron. Cameron Weaver. A ty, kimkolwiek jesteś, nie jesteś rzeczywisty.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – Głos Jacky'ego rozbrzmiewa już nie w mojej głowie, lecz w pokoju.

Wpadam w panikę.

– Wciąż śnię. Właśnie. Przyśniło mi się, że obudziłem się z koszmaru, ale wszedłem w następny koszmarny sen, właśnie ten. A teraz zamierzam naprawdę się obudzić.

– O czym ty mówisz?

– Obudź się! – wrzeszczę do siebie. – Obudź się!

– Nie krzycz – mówi Jacky. – Zaniepokoisz swoją matkę.

Och, nie, wciąż tu jestem – gdziekolwiek to się znajduje. Jak mam się obudzić?

– Myślałem, że mnie polubisz. Myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Pomocy!  
– Nie lubisz mnie?  
– Obudź się! Ratunku! – Usiłuję sięgnąć do lampki na nocnym stoliku, ale jestem zaplątany w pościel, owinięty cały jak mumia. – Obudź się! Pomocy!

Mama zapala światło.

– Cameron?

Nie mogę wydobyć ani słowa. Dyszę, lodowacieję z zimna, oblewam się żarem. Patrzę w kierunku biurka. Nic tam nie ma. Patrzę na szafę. Zamknięta. Czy on jest w środku? Nie, niewątpliwie jest pusta. To mi się tylko przyśniło. Ale jeżeli śniłem, dlaczego nie poczułem, że się budzę?

Mama siada na brzegu łóżka.

– Jesteś cały mokry od potu. – Dotyka dłonią mojego czoła. – Masz gorączkę. Dam ci coś na nią, dobrze?

– Nie. Nie odchodź.

– Wszystko jest dobrze.

– Nie.

– Będzie. – Odgarnia mi włosy z czoła. – Zaraz wrócę.

– Mamo...

Otwiera szafę.

– Nic w niej nie ma – mówi łagodnie. – Ani pod łóżkiem.

– Tak, wiem. Nie jestem małym dzieckiem.

– Wiem. – Wraca do mojego łóżka. – Cameronie, te lęki nie są twoją winą. To przez ojca. Ilekroć się przeprowadzamy, wracają te koszmary. Ale znikają. Zawsze znikają. Tym razem też znikną. Pamiętaj o tym.

Całuje mnie w czoło i idzie po coś do łazienki.

Mama ma rację. To zawsze tak się zaczyna w nowym miejscu. Pojawiają się koszmary, ale najgorsze w tym jest to, że nigdy nie sprawiają wrażenia koszmarnych snów; wydają się rzeczywiste. Widzę coś, na przykład rzeczy jakiegoś dzieciaka w piwnicy, zaczynam coś sobie roić, a po chwili odlatuję już na planetę Szpital Dla Czubków.

Mama po chwili wraca, wkłada mi do ust termometr i delikatnie ociera mi twarz zimną szmatką. Wyjmuje termometr i sprawdza temperaturę.

– Tak jak sądziłam, masz gorączkę.

Daje mi jakieś lekarstwo i poleca, żebym opatulił się w szlafrok i koc, a w tym czasie zmienia moją pościel. Pomógłbym jej, ale za bardzo trzęsą mną dreszcze.

– No, gotowe – mówi mama. – Wracaj do łóżka. – Okrywa mnie kołdrą aż po brodę. – Jutro nie pójdziesz do szkoły.

Co? Będę tutaj sam przez cały dzień? Z Sinclairem tuż obok i koszmarami, które tylko czekają, żebym przymknął oczy?

Mama czyta mi w myślach.

– Nie martw się. Ja też zostanę w domu. Powiem Kenowi, że zachorowałeś.

– Nie, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie. Poradzę sobie!

– Jesteś pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien.

Nie jestem.

Rzuca mi baczne spojrzenie.

- A więc dobrze. Ale zrób coś dla mnie: nie graj w żadne gry z zombi. To ci nie pomaga.

Budzę się w piątek; czuję się tak zimno i beznadziejnie szaro jak pogoda na dworze. Mama przynosi mi na tacy owsiankę i tost i zostawia dla mnie na lunch kanapkę i jabłko, a także dzbanek wody. Odnosi się do mnie naprawdę miło, kiedy jestem chory.

– Zadzwoń, jeśli będziesz miał jakiś problem. Wrócę najpóźniej o piątej.

Chorowanie jest nudne. Zawsze myślę, że fajnie będzie oglądać telewizję i grać w gry komputerowe, ale już po paru godzinach mam dość leżenia w łóżku. Czasami wstaję potajemnie, ale nie dzisiaj. Nie mam mdłości ani niczego takiego, ale ilekroć się poruszam, dostaję dreszczy.

Po śniadaniu biorę tablet i sprawdzam na Facebooku, co u moich dawnych przyjaciół. Jestem superostrożny; mama poinformowała mnie o zabezpieczeniach prywatności w internecie, kiedy pierwszy raz uciekliśmy. Powiedziała, że nie chce, abym miał konto na Facebooku, ale wie, że prędzej czy później je założę, więc mówi mi już teraz o tych zabezpieczeniach, tak jak moi dziadkowie mówili jej o antykoncepcji: „Powinieneś wiedzieć, jak się chronić, żeby być gotowym, kiedy nadejdzie pora”. Chyba słuchałem jej nieuważnie, bo złapała mnie za ramiona i powiedziała: „To ważne, Cameronie. Jeśli nie będziesz uważał, twój ojciec może dostać się na twoje konto, odkryje miejsce naszego pobytu i możemy zginąć. Rozumiesz?”.

Kiedy skończyłem dziesięć lat, skłamałem co do mojego wieku i założyłem sobie konto, używając na profilu fałszywego nazwiska i wizerunku mutanta z filmu science fiction. Dopilnowałem, żeby moją stronę mogli zobaczyć tylko przyjaciele, których zaaprobuję, a później poszukałem dzieciaków, z którymi dawniej się bawiłem. Kilkoro miało potajemne konta, takie jak moje, kilkoro innych kont nadzorowane przez rodziców. Wysłałem im wiadomość o tym, dlaczego wyjechałem, i poprosiłem, żeby w internecie nazywali mnie „Rob Booker”. Ponieważ miałem nick, uznałem, że mogę korespondować na każdy temat.

Tylko że ktoś – zwany Tatą – zaczął mnie prześladować w sieci. Utworzył fałszywe konto „Cameron Weaver” i wysłał prośby o dołączenie go do listy przyjaciół do dzieciaków, o których wiedział, że dawniej się z nimi bawiłem. Ten idiota Tommy Gee kliknął „Akceptuję” i wysłał wiadomość: „Rob, znowu używasz swojego prawdziwego nazwiska?”. A „Cameron Weaver” odpowiedział: „Tak LOL”. Tommy zapytał: „Wracasz z Wellington?”. Kiedy się o tym dowiedziałem, powiadomiłem mamę i znowu uciekliśmy.

Przez jakiś czas moi przyjaciele zamieszczali posty „Powodzenia, Rob”, a w mojej skrzynce mejlowej gromadziła się sarta wiadomości, ale zanadto się bałem, żeby odpisywać. Napisałem tylko do Tommy’ego, że zrujnował mi życie.

Przyrzekłem mamie, że już nigdy więcej nie użyję Facebooka. I nie używam, z wyjątkiem sprawdzania, co porabiają moi dawni przyjaciele. Na przykład Tony gra w juniorskiej drużynie futbolowej, co jest zabawne, bo kiedyś był najdrobniejszy ze wszystkich. A Laurie, która była „moją dziewczyną”, ponieważ może przez sekundę trzymaliśmy się za ręce, chodzi z jakimś gościem, o którym nigdy nie słyszałem. Żadne z nich już o mnie nie wspomina. Może się boją, że znowu wpakują mnie w kłopoty. Albo może po prostu uznali, że to już przeszłość. Tak czy inaczej, kiepsko się z tym czuję. Jakbym nie istniał. Jakbym był duchem.

Właśnie dlatego rzadko zaglądam na ich konta. Poza tym czytanie ich wiadomości sprawia, że czuję się, jakbym potajemnie śledził ich w sieci, a to nasuwa mi myśl o tacie. Czy stają się taki jak on? Powinienem raz na zawsze z tym skończyć. Zresztą, komu są potrzebni przyjaciele? Pamiętam, jak mama oznajmiła mi, że już nigdy nie wrócimy do domu. „Ale co z Tommym, Tonym i wszystkimi innymi?”, spytałem z płaczem. „Poznasz nowych przyjaciół”, odpowiedziała. Racja. Tylko że ilekroć się z kimś zaprzyjaźnię, znowu się przeprowadzamy i tylko jeszcze bardziej cierpię. Lepiej w ogóle nie mieć przyjaciół. Jeśli mam ochotę z kimś porozmawiać, powinienem po prostu porozmawiać sam ze sobą. To przynajmniej coś, co naprawdę potrafię.

Usypiam tablet, zamykam oczy i ulatuję do tego miejsca, w którym wiem, że śnię, ale wiem też, że to dzień i że jestem bezpieczny w moim pokoju. Dlatego nie boję się, kiedy słyszę szept Jacky'ego:

– Przepraszam, że ubiegłej nocy cię przestraszyłem.

Jego głos brzmi dość słabo.

– W porządku.

Nie jestem pewien, czy to mamroczę, czy tylko myślę.

– Bycie samotnym nie jest zabawne.

– Ani trochę – przyznaję.

– Jestem samotny, odkąd odszedł ojciec – mówi Jacky.

Wyobrażam go sobie siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na moim biurku. Wygląda jak tamten chłopiec, którego – jak mi się zdaje – widziałem w stodole: bardzo drobny i blady, z jasnymi piegami na nosie. I nosi tę czapkę z ogonem szopa i ubranie jak w starych filmach.

Moje powieki trzepoczą. Kiedy otwieram oczy, Jacky'ego nie ma; kiedy je zamykam, znowu tu jest. Więc po prostu drzemię. To dobrze. Znowu zanurzam się w senny nurt. Jacky skubie ogon czapki.

– Kiedy odszedł twój ojciec? – pytam nieco znudzony.

Jacky spuszcza wzrok na swoje buty.

– Nie wiem. On był z psami. A gdzie jest twój ojciec?

– Prawdopodobnie tam, gdzie go zostawiliśmy.

Jacky marszczy brwi.

– Czy płakał, kiedy odjeżdżałeś?

– Być może. Nie wiem.

– Mój ojciec nigdy nie płakał.

– Dlaczego nazywasz go ojcem, a nie tatą albo tatusiem?

– Ponieważ jest ojcem, po prostu. Zadajesz dziwne pytania. – Jacky ściska palcami nos. – Cameron... czy twoja matka ma przyjaciela?

– Ma mnóstwo przyjaciół. A raczej miała mnóstwo przyjaciół.

– Nie mam na myśli po prostu przyjaciół. Mam na myśli szczególnego przyjaciela.

– Faceta?

Jacky przytakuje.

Przypominam sobie kłótnie mamy z tatą i rzeczy, które on wtedy mówił.

– Nie wiem. Chyba nie.

I jestem pewien, że nie chcę o tym myśleć.

– Moja ma – szepcze Jacky. – Ojciec powiedział, że gdyby nie on, nadal byłaby z nami. Po jej odejściu zaczął trzymać psy. Żeby odstraszyć złych ludzi; ludzi, którzy mogliby mnie



zabrać.

– Te psy z twoich rysunków?

– One są wszędzie. Nawet kiedy nie możesz ich zobaczyć. Jeśli nie będziesz ostrożny, dostaną się do tego domu.

Siadam w łóżku, całkiem obudzony. Od okna wieje przeciąg. Owijam się kocem i wyglądam na zewnątrz. Po niebie szybko przemykają chmury. Słyszę psy wyjące na wietrze. Poprawka: Słyszę dźwięk, jakby psy wyły na wietrze. Ponieważ nie ma żadnych psów, to tylko umysł płata mi figle. Psy Jacky'ego od dawna nie żyją. A prawdziwy Jacky nie jest już dzieckiem; jest w wieku pana Sinclaira.

„Jeśli żyje”.

Dlaczego miałby nie żyć?

„Ludzie umierają. Może Jacky to duch”.

Bądź rozsądny.

„Posłuchaj, gdyby Jacky zmarł w dzieciństwie, wyglądałby tak, jak go widziałem: drobny, blady, w tym staromodnym ubraniu i śmiesznej czapce. Prawda?”.

Nieprawda. Nie wiem, jak wyglądał Jacky. Widziałem go tylko na tych kredkowych rysunkach.

„Chyba że ujrzałem jego ducha”.

Przestań tak myśleć.

„Dobrze, już przestaję. Ale...”.

Biorę tablet i włączam grę „Atak zombi”. Jacky duch? To jeszcze idiotyczniejsze niż wyobrażanie sobie zmutowanych śmieciarzy w piwnicy czy taty w moim pokoju.

Na ekranie pojawiają się hordy żywych trupów. Wyskakują ze studzienek włazowych i wyłażą chwajnie z alejek szybciej, niż udaje mi się likwidować je miotaczem płomieni. W ciągu dwóch minut tracę trzy życia i muszę zacząć od nowa. W następnej partii docieram do opuszczonej farmy, ale zapominam o zombi ukrywającym się w zamrażarce i o tych za kanapą. Co się ze mną dzieje? Zwykle jestem dobry w tę grę.

Odkładam tablet. Jacky nie może być duchem. Nie wygląda nawet na chorego.

„A jeśli miał jakiś wypadek? Powiedzmy, wypadł z tej dziury w ścianie stodoły i skręcił kark”.

Wtedy widziałbym go z głową przekręconą do tyłu.

„Albo przejechał go kombajn żniwny”.

Wtedy miałby mnóstwo dziur.

„Albo zagryzły go psy”.

Miałby ślady po zębach.

„A więc dobrze: A jeśli został zamordowany?”.

Zamordowany?

„Tak. A jeśli zamordował go ojciec? Nietrudno to sobie wyobrazić. Pamiętasz te rysunki? Młot, widły, to, jak ojciec go trzymał?”.

Nie. Jacky powiedział w moim śnie, że jego ojciec odszedł. To oznacza, że żył po odejściu ojca.

„Nie, jeśli go zamordowano. Widziałby odejście ojca, ale jego duch by tu pozostał”.

Lepiej się zamknę, bo doprowadzę sam siebie do obłądu.

„A co, jeśli już jestem obłąkany?”.

Mama mawia, że najlepszym sposobem zachowania spokoju jest bycie przygotowanym, a najlepszym sposobem, aby być przygotowanym, jest znajomość faktów. Toteż spędzam resztę dnia na googlowaniu.

Wbicie „Wolf Hollow + psy” powoduje wyświetlenie wielu informacji, lecz wszystkie dotyczą usług weterynaryjnych albo szczeniąt na sprzedaż. Słowa „Wolf Hollow + morderstwo” przynoszą historie o miejscowej parze zamordowanej na urlopie w Meksyku w 2005 roku. Próbuję mnóstwa rozmaitych kombinacji, w tym także wyszukiwania innych słów, takich jak „McTavish”, „Sinclair” i „lata 60.”. Nie znajduję niczego podejrzanego. Co za ulga.

Do czasu powrotu mamy już się uspokajam. Stale tak się dzieje. Doprowadzam sam siebie do szaleństwa bez powodu, a potem nagle napięcie pęka jak bańka i jestem spokojny, póki coś innego nie wpadnie mi do głowy, bo wtedy napięcie znów zaczyna rosnać. Zazwyczaj to zdarza się momentalnie, jak teraz, kiedy schodzę na dół na obiad.

„Nieważne, że wyszukiwanie Google’em niczego nie przyniosło. Czasopisma z dużych miast umieszczają swoje dawne artykuły w internecie, ale lokalne gazety w małych miasteczkach? Może niedawne doniesienia – ale materiały z odleglejszej przeszłości nie są nigdzie gromadzone”.

Jedynym sposobem dla mnie, żebym przestał myśleć jak wariat, jest zdobycie niezbitej wiedzy o tym, co stało się z Jackym. Ale jak? Już sobie wyobrażam, jak podchodzę do recepcjonistki tutejszego tygodnika „Weekly Bugle”:

Ja: Witam. Czy wasze czasopismo kiedykolwiek opublikowało jakieś artykuły o zabójstwie dziecka na farmie, na której mieszkam?

Recepcjonistka: Zabójstwie? Kiedy?

Ja: Nie wiem. Może pół wieku temu.

Recepcjonistka: [przewracając oczami] Mógłbyś podać jakieś szczegóły?

Ja: Właściwie nie.

Recepcjonistka: Kto został zamordowany?

Ja: Chłopiec, Jacky McTavish, ale właściwie nie jestem pewien, czy go zamordowano.

Recepcjonistka: [wybałuszając oczy tak, że wypadają jej na biurko] Pozwól, że powiem wprost. Chcesz, żeby redakcja „Weekly Bugle” grzebała w archiwach w poszukiwaniu artykułów opublikowanych może ponad pół wieku temu, dotyczących zabójstwa, którego być może w ogóle nie popełniono?

Ja: Tak, poproszę.

Recepcjonistka: A jeśli wolno spytać, dlaczego sądzisz, że mogło dojść do jakiegoś zabójstwa?

Ja: Ponieważ to by wyjaśniało obecność ducha.

Recepcjonistka: Ducha?

Ja: Tak, widziałem ducha. Albo może mi się tylko przyśnił. A tak przy okazji, czy moglibyście też poszukać historii o dzikich psach?

Recepcjonistka: Młody człowieku, czy twoja matka wie, że tu jesteś?

Siadam przy stole. Mama przygotowała omlet oraz purée ziemniaczane z groszkiem.

- Wyglądasz o wiele lepiej - zauważa.

- Dzięki. I czuję się lepiej.

Nie mam apetytu, ale nie chcę, aby mama pomyślała, że nadal jestem chory, i kazała mi jutro też zostać w domu, bo znów będę sam siebie straszył, więc gryzę kęs. Nagle wpadam nieoczekiwanie na pomysł, w jaki sposób dowiedzieć się o tym zabójstwie!

- Mamo - zagaduję - czy to biuro handlu nieruchomościami ma informacje o okolicznych farmach? Na przykład kto od samego początku sprzedawał je i kupował?

- Nie, ale łatwo można by się tego dowiedzieć. Akta nieruchomości są przechowywane w urzędzie stanu cywilnego obok miejskiego ratusza.

- Dobrze. Czy udzieliliby informacji o czymś niezwykłym dotyczącym którejs z farm?

- Nie jestem pewna. Być może gdyby chodziło o termity. Albo o azbest w izolacji.

- A o innych sprawach?

- Na przykład jakich?

Gmeram widelcem w moim purée.

- Och, jakichkolwiek. Gdyby, powiedzmy, kogoś zamordowano?

Mama przygląda mi się uważnie.

- Nie wiem. Nie jestem agentką nieruchomości. Może.

- Świetnie. Więc czy mogę cię prosić o przysługę? Czy znalazłabyś jutro czas, żeby sprawdzić, czy na tej farmie wydarzyło się coś niezwykłego?

Mama żuje powoli.

- Dlaczego?

- Ponieważ pracownicy urzędu stanu cywilnego nie będą chcieli, żeby zawracał im głowę jakiś dzieciak.

- Cameronie, czy twoja wyobraźnia znowu się rozszalała i sprawia ci kłopoty?

- Nie - odpowiadam. Chciałbym, żeby mama się tym zadowoliła, ale ona nie jest głupia. - To zadanie z historii. Nasz nauczyciel chce, żebyśmy zebrali informacje o jakichś lokalnych wydarzeniach i napisali, co one znaczą dla nas. Ponieważ jestem tu nowy, powiedział, że mógłbym opisać powody, które sprowadziły mnie tutaj.

Mama zaniepokojona odkłada nóż i widelec.

- Nie martw się - dodaję szybko. - Wiem, że nie chciałybyś, żebym opisał, co działo się z tatą i tak dalej. Zaproponowałem więc, że zamiast tego napiszę o historii tej farmy. Powiedziałem nauczycielowi, że to dla mnie ważne, ponieważ odkąd tu mieszkam, jestem częścią tej historii. Jakbym był jej kolejnym rozdziałem.

Mama się uśmiecha.

- Założę się, że to mu się spodobało.

- A-ha - przytakuję z powagą, jakby zależało mi na szóstce. - I pomyślałem, że gdybym natrafił na coś wystrzałowego, takiego jak morderstwo czy samobójstwo, moja rozprawka byłaby o wiele bardziej interesująca. Wiem, prawdopodobnie nic takiego się nie zdarzyło, niemniej jednak mam odrobinę nadziei.

Mama wygląda na rozbawioną.

- Dobrze, dowiem się, ile zdołam. Może nie jutro, ale w ciągu kilku najbliższych dni. Ale nie bądź rozczarowany, jeśli nie odkryję niczego niezwykłego.

Nie cierpię używać podstępów, ale muszę wyznać, że jestem w tym całkiem dobry. Napycham sobie usta dużą porcją purée ziemniaczanego.

– Nie oczekuj też, że odrobinę za ciebie tę pracę domową – dodaje mama. – Jeżeli znajde nazwiska właścicieli farmy, daty kupna i sprzedaży oraz coś niezwykłego, co mogłoby wyjść na jaw, na przykład morderstwo czy samobójstwo, musisz obiecać, że sam też zbierzesz trochę informacji. Przeprowadź wywiad z panem Sinclairem. Jestem pewna, że wie bardzo wiele o tym, co działo się tutaj i w okolicy.

Purée utyka mi w gardle.

– A co, jeśli nie będzie chciał mówić?

– Nie bądź śmieszny. Co miałby do ukrycia?

„Och, może coś o morderstwie”.

– Kto wie? To znaczy właściwie już go zapytałem o kilka spraw, kiedy opróżniał piwnicę, i zareagował dziwnie.

Mama się śmieje.

– Jest trochę szorstki, nieprawdaż? Nie bierz tego do siebie. Prawdopodobnie po prostu spieszył się, żeby ukończyć pracę. Jeśli to wprawiło cię w zakłopotanie, zadzwonię do niego w twoim imieniu.

Zanim mogę ją powstrzymać, podchodzi do telefonu i wybiera numer.

– Pan Sinclair? Mówi Katherine Weaver... Nie, nie chodzi o żadne problemy, wszystko jest świetnie. Po prostu uczniowie w szkole Camerona dostali zadanie dotyczące lokalnej historii. Syn zastanawiał się, czy mógłby któregoś dnia porozmawiać z panem o tej farmie. O tym, jak ludzie wykarczowali grunt, zbierali plony, współpracowali ze sobą, tego rodzaju kwestie. Obecnie ma lekką grypę, więc ten weekend nie byłby dobrym terminem, ale może na początku przyszłego tygodnia.

„Proszę, odmów”.

– Dziękuję. Powiem mu. A na razie do widzenia. – Rozpromieniona odkłada słuchawkę. – Możesz wpaść do pana Sinclaira w poniedziałek wieczorem, po kolacji.

Trzeba było trzymać język za zębami.

W niedzielę po południu odbywam moją cotygodniową sztucznie radosną rozmowę telefoniczną z babcią i dziadkiem, ale w poniedziałek rano jestem naprawdę w dobrym nastroju. Jacky – czy kimkolwiek była ta zjawia – nie pokazał się ponownie, więc zapewne tylko uroiłem to sobie wskutek gorączki. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Na dworze jest lekki mróz. Czekaając na autobus, tupię w miejscu, żeby nie zmarznąć, i przyglądam się, jak farmer po drugiej stronie szosy zbiera z pola kukurydzę. Nie mogę się doczekać, kiedy pan Sinclair zrobi to samo; gdy pola zostaną oczyszczone, będę mógł przestać wyobrażać sobie, że pośród łodyg kukurydzy kryją się przebiegli prześladowcy, zbiry i psy.

Przyjeżdża autobus. Biorę głęboki wdech i wsiadam, przygotowany na to, że gang Cody'ego zacznie szczeukać. Zamiast tego rozmawiają o mnie tak głośno, że słyszę ich na przedzie autobusu.

– Spójrzcie, kto wrócił. Psie Żarcie – mówi Dave. – Popatrzcie, jednak psy go nie zjadły.

Ha, ha, bardzo śmieszne.

– Psie Żarcie? – Cody uśmiecha się szeroko. – Raczej Kurza Karma.

Jego banda gdacze.

– Byłem chory! – odkrzykuję.

– Ojej. Cammy był chory.

Mam ochotę usiąść z dala od nich, ale dowiódłbym tylko, że jestem tchórzem. Poza tym dzieciaki w przejściu rezerwujące miejsca przy oknach nie chcą, żebym usiadł przy nich, tak jak ja nie chciałem, żeby przy mnie siedział Benjie.

Gdakanie towarzyszy mi przez całą drogę do mojego miejsca. Siadam, zamykam oczy i czekam, aż przyjdzie kolej na Benjiego. Kiedy osuwa się na fotel obok mnie, pyta, gdzie byłem w piątek. Mówię mu, a on mruga kilkakrotnie.

– Hej, nie oddychaj na mnie. Nie chcę złapać od ciebie zarazków.

„Martw się o swój oddech. Mógłbyś nim uśmiercić całą szkołę”.

Kiedy autobus wjeżdża na parking, zdobywam się na odwagę i mówię:

– Benjie, coś nie daje mi spokoju. Mojego pierwszego dnia w autobusie zapytałeś, czy w moim domu straszy. Dlaczego? Czy kogoś tam zamordowano?

– Nie. – Śmieje się. – Zapytałem z powodu psów.

– Jakich psów?

– No wiesz, *tych* psów. To dlatego Cody na ciebie szczeuka.

– O czym ty mówisz?

Benjie znowu mruga.

– Przed wieloma laty farmer w twoim domu został zabity przez swoje psy.

– Serio?

Benjie uśmiecha się szeroko.

– Super, co? Rozszarpany na kawałki i pożarty! Spytaj kogokolwiek. To słynna historia w tych stronach.

Drzwi autobusu się otwierają. Gang Cody'ego przepycha się przejściem. Benjie kuli się,

póki nas nie miną.

– Powiadają, że kiedy zrywa się wiatr, można je usłyszeć – mówi, gdy bierzemy swoje plecaki i ostatni wychodzimy z autobusu. – Niektórzy rodzice mówią swoim dzieciom, że jeśli będą niegrzeczne, dopadną je te psy. Ale każdy wie, że jeżeli cokolwiek słyhać, to tylko kojoty.

Odprężam się.

– Więc zapytałeś z powodu psów, nie morderstwa.

– Żartujesz? W tej okolicy nikogo nie zamordowano. To nudne miasteczko. – Patrzy w dal na bandę Cody'ego na poboczu drogi. – Ale nie mów tego Cody'emu.

– Czego mam nie mówić? Że miasteczko jest nudne?

– Nie, tego, że na twojej farmie nie było morderstwa.

– Dlaczego?

– Po prostu nie mów.

Cody patrzy w naszym kierunku. Benjie szybko odchodzi.

Szkoda, że Benjie nie dokończył swojej opowieści. Dlaczego Cody uważa, że na naszej farmie wydarzyło się zabójstwo? Jak mogę z nim o tym porozmawiać, żeby nie wściekł się na mnie?

Rozmyślałam o tym przez cały dzień. Przy obiedzie ledwie słyszę, co mama mówi, z wyjątkiem tego:

– Pora już, żebyś udał się do pana Sinclaira.

Wkładam ocieplaną kurtkę.

– Gdzie masz rękawiczki? I czapkę?

– Mamo!

– Już prawie listopad. Jest zimno, a ty byłeś chory.

– Nie jest jeszcze tak późno.

– Cameronie, już robi się ciemno. To mi o czymś przypomina: zadzwoń do mnie, kiedy skończysz, a przyjadę cię odebrać.

– Co takiego? Przecież będę na sąsiedniej farmie.

– Przy drodze nie ma latarni. Nie będziesz nic widział.

– Mamo, przestań!

Mama wzdycha.

– No dobrze. Ale przynajmniej weź tę latarkę. – Wygrzebuje latarkę z szuflady z narzędziami, a ja wkładam ją do kieszeni. – I nie zapomnij iść lewą stroną szosy, w kierunku przeciwnym do ruchu.

– Jasne, jakbym był na tyle głupi, żeby o tym nie wiedzieć – mówię z oburzeniem, chociaż rzeczywiście zapomnielibym o tym.

Przed wyjściem mama opatula mnie jak na jakąś arktyczną wyprawę. Gdy tylko wchodzę na drogę, zdejmuję czapkę i rękawiczki, jednak jest naprawdę zimno. Wkładam je z powrotem i maszeruję szybko, żeby nie zmarznąć. Sąsiad po drugiej stronie szosy zebrał kukurydzę już z połowy pola, które wygląda, jakby zostało częściowo ostrzyżone na jeża. Widać na nim wszystko na przestrzał. Staram się nie myśleć o tym, co może się kryć na polach Sinclaira po prawej, i jeszcze bardziej przyspieszam kroku.

Farma pana Sinclaira jest ładniejsza od naszej. Wyboje na podjeździe wypełniono żwirem, a ściany domu są z żółtych cegieł, nie z papy. Jednak jest w nim coś dziwnego. Wszystkie zasłony są zaciągnięte i nigdzie nie palą się światła, z wyjątkiem lampy na werandzie i latarni

przed stodołą.

Brukowaną dróżką podchodzę do frontowych drzwi. Zastanawiam się, jak mam skłonić pana Sinclaira, żeby opowiedział o Jackym i jego rodzinie. Jak mam go zapytać, czy Jacky'ego zamordowano?

Uderzam trzy razy ciężką mosiężną kołatką. Cisza.

„Pamiętasz, co mówił Benjie o maszynie do mięsa Sinclaira i że skończysz jako gulasz?”.

Nie bądź głupi. Mama wie, gdzie jestem. Sinclair nie może mi zrobić niczego złego, bo natychmiast zostałby złapany.

„Chyba że później zabije mamę”.

Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Znowu walę w drzwi. Żadnej reakcji.

Niebo jest już ciemne, nie licząc ciemnofioletowej poświaty na zachodzie. Wyjmuję latarkę i okrążam dom, żeby zajść od tyłu. Przyciskam twarz do szyb okiennych i świecę latarką przez przeświaty między zasłonami. Wewnątrz widzę zbieraninę sof i bibelotów.

No więc gdzie jest pan Sinclair? Przecież wie, że miałem przyjść.

„A jeśli miał atak serca? Jeśli leży tam martwy?”.

Pukam mocno w tylne drzwi.

– Panie Sinclair?

„Może nie jest martwy. Może kona”.

Wyjmuję komórkę, żeby zadzwonić do mamy, a potem przypominam sobie latarnię przy stodole. Dlaczego sam siebie straszę? On prawdopodobnie po prostu kończy jakieś prace gospodarskie.

Wbiegam do stodoły. Jest inna niż nasza. Cementowa podłoga zamiast klepiska i nie ma tu boksów dla krów. Widzę światło wydobywające się z pomieszczenia na tyłach i słyszę warkot jakby silnika.

– Panie Sinclair?

Żadnej odpowiedzi. Może mnie nie usłyszał. Wchodzę do pomieszczenia. Pana Sinclaira tu nie ma... ale, o Boże! Po prawej stoi kupa zamrażarek. Po lewej stół wzdłuż ściany, na której wiszą noże, tasaki rzeźnicze, drewniane młotki i piły. A na wprost mnie duża żeliwna wanna, do której wpada zmielone mięso z wielkiej silnikowej maszynki do mięsa.

Muszę natychmiast stąd spadać. Odwracam się szybko. Drogę zagraża mi pan Sinclair.

Podchodzi do mnie.

– Zastanawiałem się, ile czasu zajmie ci dotarcie tutaj.

– Panie Sinclair, ja... ja...

– Wyduś to wreszcie.

Cofam się w głąb pomieszczenia.

– Moja matka wie, że tu jestem.

– Oczywiście, że wie. Dzwoniła do mnie kilka dni temu. Znudziło mnie czekanie na ciebie w domu i pomyślałem, że dokończę mielenie wołowego mięsa.

Odwraca się gwałtownie, podchodzi do zamrażarki, wyjmuje z niej kwadratowe plastikowe wiadro i zanosi je koło wanny. Potem bierze ze stołu płaską metalową łopatkę i zaczyna wrzucać zmielone mięso do wiadra.

Oddycham trochę lżej.

– Nie widziałem pana, kiedy tu wszedłem.

– Ani ja ciebie. Byłem tuż obok, w suszarni. – Chyba mam zdeorientowaną minę, bo wyjaśnia: – To tam wieszam tusze.

– Och, rozumiem.

Prycha.

– Jesteś jednym z tych dzieciaków, które myślą, że hamburger pojawia się ot tak, znikąd, w sklepie spożywczym? Myślisz, że jajka rosną na drzewach?

– Nie, proszę pana.

– Założę się, że nigdy nie widziałeś takiej maszyny do mielenia mięsa.

– Ma pan rację.

Pan Sinclair odgarnia przedramieniem z czoła tłusty kosmyk włosów.

– Jest stara, to na pewno. Mój ojciec kupił ją jeszcze w latach pięćdziesiątych. Dawniej mielił nią dla faceta, który mieszkał tam, gdzie teraz ty, McTavisha. Franka McTavisha.

Ojca Jacky'ego. Serce zaczyna mi bić szybko.

– Co nią mielił?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Mam nadzieję, że żartuje.

Pan Sinclair zagarnia do wiadra ostatnią porcję zmielonej wołowiny.

– W czasach mojego dzieciństwa jedzenie pochodziło z okolicy, w której się mieszka, zwłaszcza na wsi. Na każdej farmie było kilka upraw, kurnik, czasami kilka tuczników albo mlecznych krów. Mój ojciec zarzynał dla sąsiadów ich krowy w zamian za mięso. Z resztek robił kiełbasy.

Zamyka szczelnie wiadro i wstawia do zamrażarki.

– Gospodarstwa hodowlano-uprawne już dawno stały się przeżytkiem. Ale wciąż jest paru ludzi, którzy lubią wiedzieć, co jedzą. No bo, do diabła, co innego miałbym do roboty pomiędzy sianem i żniwami oprócz przyglądania się, jak rośnie kukurydza, i martwienia się o pogodę?

Spogląda na mnie. Bezradnie wzruszam ramionami, że niby też nie wiem, co innego mógłby robić.

– Wejdzmy do domu – mówi. – Wyjąłem stary album z fotografiami. Jest tam kilka, które



mogłyby cię zainteresować. Pytałeś o tego chłopca.

- Zapamiętał pan to?

- A dlaczego miałbym nie zapamiętać? Myślisz, że już odebrało mi rozum?

- Nie, proszę pana.

- Mam nadzieję, że masz rację. - Rzuca na mnie spojrzenie. - To był żart. Możesz się roześmiać.

- Tak, proszę pana - mówię i uśmiecham się, jakbym rzeczywiście uważał to za zabawne.

Kręci głową i wchodzimy do domu. Pełno w nim kurzu, a także zapachu, jaki wydzielają starzy ludzie. Nad kuchennym stołem wisi lep na muchy wyglądający, jakby był tam od zeszłego lata.

Pan Sinclair siada obok mnie i otwiera album. Kartkuje go, mlaskając językiem, aż znajduje stronę, której szukał. Puka placem w zdjęcie.

- Po kolei. Rozpoznajesz tu coś?

- O rany. Nasza farma przed wieloma laty.

Kiedy nie była taką ruiną. Po obu stronach kuchennego okna są treliże z powojami, a trawa jest przystrzyżona. Przy ogrodowym stole siedzi troje dorosłych patrzących w obiektyw. Rozpoznaję rodziców Jacky'ego z tamtej ślubnej fotografii; żadne z nich się nie uśmiecha.

- Ten w słomkowym kapeluszu to McTavish, facet, o którym ci mówiłem - wyjaśnia pan Sinclair. - A obok jego żona w sukience w kropki.

Wskazuję trzecią osobę na zdjęciu, pulchną kobietę z niemowlęciem na ręku.

- Kto to?

- Moja matka.

- Czy to pana trzyma na rękach?

- No przecież nie papieża.

Dziwnie jest widzieć dorosłych jako niemowlęta. Lubię sobie wyobrażać, że rodzą się z głowami dorosłych, ale w przypadku pana Sinclaira byłoby to już zbyt dziwaczne.

- A pana ojciec? - pytam. - Czy on robił to zdjęcie?

- Prawdziwy z ciebie Sherlock Holmes.

Czerwienię się.

- Więc pana rodzice przyjaźnili się z McTavishami?

- Mój ojciec był drużbą na ich ślubie, jeśli o to ci chodzi. Jak przypuszczam dlatego, że byli sąsiadami, a McTavish nie miał nikogo innego, kogo mógłby o to poprosić. Dziwny był z niego typ. Moja matka nigdy go nie lubiła.

Rodzice Jacky'ego spoglądają na mnie ze zdjęcia. Co myślą? Przez głowę przemyka mi myśl o mamie i tacie. Oni też mieli przyjaciół, którzy byli na ich ślubie, przychodzili do nich na obiad, robili im zdjęcia. Czy ci przyjaciele wiedzieli o ich kłótniach? Czy coś o tym mówili albo jakoś zareagowali? A co z Sinclairami? Czy wiedzieli, że rodzina McTavishów ma problemy, które znalazły odbicie w rysunkach Jacky'ego?

Myślę też o czymś jeszcze. Cody uważa, że wydarzyło się tu zabójstwo. Sądziłem, że zabito Jacky'ego, ale co, jeśli chodziło o jego matkę? Jacky mówi, że ona „odeszła”, ale czy jakakolwiek matka uciekłaby z domu bez swojego dziecka?

- Nagle zamilkłeś - zauważa pan Sinclair. - O czym tak dumasz?

- O niczym. Zastanawiałem się tylko... gdzie jest Jacky?

- Jacky?

– Czy nie tak miał na imię ich syn?

– Jak widzę, dobrze się przygotowałeś. – Pan Sinclair rozpiera się na krześle. – Co jeszcze wiesz?

Przechodzą mnie ciarki. A jeśli jego rodzina była wmieszana w to zabójstwo? Sądziłem, że zgodził się ze mną spotkać, żeby opowiedzieć mi o przeszłości farmy. A jeżeli chciał po prostu wy badać, ile wiem?

– Niewiele – odpowiadam. – Znam tylko jego imię.

– Na pewno?

– Słowo.

Pan Sinclair przechyla głowę na bok; nie wierzy mi.

– Jacky był o rok młodszy ode mnie. Urodził się rok po tym, jak zrobiono to zdjęcie.

Odwraca poprzednią stronę albumu. Te fotografie były niegdyś kolorowe, ale wyblakły. Widzę zdjęcie dwóch bawiących się chłopców. Na bladożółtym tle wyglądają jak duchy. Jeden z nich nosi czapkę Davy’ego Crocketta. Jacky. Czy to tę twarz widziałem, kiedy zamykałem oczy?

Bez tchu wskazuję na niego.

– To on?

– Dlaczego tak myślisz?

– Z powodu tej czapki z futra szopa.

– Dlaczego myślisz, że Jacky miał czapkę z futra szopa?

– Nie wiem. Po prostu zgaduję.

– No więc nie zgadłeś – mówi pan Sinclair. – To ja jestem w tej czapce. Kiedy byłem mały, każdy chłopiec chciał mieć czapkę Davy’ego Crocketta. On był bohaterem filmów w telewizji. Ale Frank McTavish nie miał czasu na takie fanaberie. Jacky był pewnie jedynym dzieciakiem w okolicy bez takiej czapki.

Co takiego? Jeżeli Jacky nie miał czapki, tylko uroiłem sobie to wszystko. Nie istnieje żaden duch.

– Ale ta historia ma szczęśliwe zakończenie – ciągnie pan Sinclair. – Kiedy miałem mniej więcej dwanaście lat, ta moda zaczęła mijać, więc dałem moją czapkę Jacky’emu. Nosił ją bez przerwy. Nie posiadał się z radości.

– Więc często pan się z nim bawił?

– Dość często. W tamtych czasach nie miało się wielkiego wyboru co do tego, z kim się bawić. Głównie były to dzieciaki z paru sąsiednich farm. Nie istniał internet i był tylko jeden telefon linii naziemnej, którego używano w wyjątkowych sytuacjach. – Kartkuje jeszcze kilka stron albumu. – Widzisz to? Każdego roku mój ojciec wylewał na podwórzu ślizgawkę. Jacky i ja podawaliśmy sobie nawzajem krążek; Jacky ślizgał się w butach, nie miał łyżew. W lecie rzucaliśmy piłką baseballową albo wdrapywaliśmy się na stertę siana na stryszku w jego stodole. Był dziwnym dzieciakiem. Chyba sobie przypominam, że lubił rysować.

– Co się z nim stało? – pytam niewinnym tonem.

– Nie wiem. Jego matka uciekła i zabrała go ze sobą. Nieczęsto o nim myślałem, póki nie zapytałeś kilka dni temu. Nie mam czasu na wspomnienia, jestem zbyt zajęty ich tworzeniem... To też żart.

– Przepraszam. – Jestem zbyt pochłonięty myślami, by się uśmiechnąć. – A co stało się z panem McTavishem?

– Och, to była okropna historia. – Pan Sinclair kręci głową. – Bez żony i syna stał się

jeszcze bardziej zbzikowany niż dotychczas. Sprowadził kilkanaście psów stróżujących. Dzikie bestie. Mój ojciec przykazał mi, żebym nigdy nawet nie zbliżył się do tamtej farmy. – Przewraca stronę albumu i puka palcem w zdjęcie pola leżącego między jego domem a naszym. Po gołej ziemi biegnie stado psów. – Po kilku miesiącach te psy dostały szału i rozerwały go na strzępy.

Przyglądam się psom.

– Kiedy to się zdarzyło?

Pan Sinclair wzrusza ramionami.

– Kto wie? Nikt tego nie widział.

– Chodzi mi o datę.

Mając datę, mógłbym pójść do redakcji „Weekly Bugle”, odszukać nekrolog pana McTavisha i sprawdzić, czy w okresie kilku miesięcy przed jego śmiercią podejrzewano jakieś morderstwo.

– Datę? – Pan Sinclair rzuca mi przebiegły uśmiech. – Mógłbym niemal pomyśleć, że próbujesz ustalić mój wiek. Powiedzmy po prostu, że to się wydarzyło na początku lat sześćdziesiątych.

Zmienia temat i opowiada o wznoszeniu stodoły, jesiennych jarmarkach i wiosennych piknikach. Mówi mi o zabawach na strychu, dziewczynie, która z niego spadła, opuszczonej studni, człowieku, który poszedł wydoić swoje krowy podczas zamieci i zamarznął na śmierć.

Kiwam głową, ale prawie nie słucham. Potrafię myśleć tylko o Jackym. O Jackym, jego ojcu i psach.

Mówię „dobranoc” i ruszam w drogę powrotną. Dobrze, że mam latarkę. Kukurydza pana Sinclaira wyrasta ponad moją głowę niczym mroczny las. Jedynym dźwiękiem jest tupot moich kroków na kamienistym poboczu szosy.

W głowie krążą mi myśli. „Gdzie psy zagryzły pana McTavisha? Gdzie był wtedy Jacky? Uciekł z matką czy został już zamordowany i pogrzebany?”.

Słyszę na polu trzask łodyg kukurydzy. Przystaję. Cokolwiek usłyszałem, też się zatrzymało. Omiatam pole promieniem latarki. Czy coś się tam kryje?

„Kto by się tym przejmował? To pewnie królik albo kojot; jedno i drugie boją się ludzi”.

Ruszam szybciej. Od strony pola znowu dobiega mnie chrzęst. Cokolwiek tam jest, nie boi się. Podąża za mną. Słyszę odgłosy dyszenia. Psy. Te psy. Puszczam się biegiem. One też. Biegają pośród łodyg kukurydzy równoległe do mnie.

„Nie, niczego tam nie ma, to wszystko mi się roi – to tylko szelest rękawów ocierających się o moją kurtkę, chrzęst stóp na żwirze, mój oddech”.

Słyszę Jacky’ego:

– Powiedziałem ci, wszystko w porządku. One nie zrobią ci krzywdy. Nie pozwolę im.

– Zostaw mnie w spokoju!

– Ale przecież jesteś moim przyjacielem.

– Przestań! Denerwujesz mnie. Odejdź!

Biegnę drogą dojazdową do naszej farmy, po obu stronach rośnie kukurydza. Widzę nad jej wąsami blask świateł domu – docieram na podwórze – gnam do drzwi – wpadam do środka.

Mama podnosi wzrok znad zlewu.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, zdejmując kurtkę.

– Może kiedy następnym razem wyjdiesz w nocy na dwór, będziesz jednak chciał, żeby cię podwieźć.

– Nie, nie będę chciał i nie wiem, o czym mówisz.

– Cameronie, tylko się z tobą droczę. Oboje wiemy, jaką masz wybujałą wyobraźnię.

– Racja.

Czy musi mi przypominać, że jestem szurnięty?

– Więc jak przebiegła pogawędka z panem Sinclairem?

– W porządku.

Biorę z lodówki colę i ruszam schodami na górę.

– Czy opowiedział ci wiele rzeczy przydatnych do twojej rozprawki? – woła za mną mama.

– Aha.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy ją przeczytam.

Czyli muszę rzeczywiście coś napisać? Naprawdę? Czy wszystkie matki są takie?

Siadam przy biurku i wyglądam przez okno na otwór w ścianie stodoły, w którym jak mi się zdawało, pierwszy raz zobaczyłem Jacky’ego. Pan Sinclair powiedział, że zanim Jacky zniknął, nosił czapkę z futra szopa. To pasuje do tego, co widziałem, ale wiele dzieciaków

miało takie czapki, więc to może nic nie znaczyć. Mówił też, że Jacky wyjechał razem z mamą. Więc co jest prawdą? Czy Jacky'ego zabił ojciec, czy chłopiec po prostu się wyprowadził?

– Jacky? – szepczę. – Jacky?

Cisza. A czego się spodziewałem?

Muszę porozmawiać z Codym. O tym, co on wie albo wydaje mu się, że wie. Serce zaczyna mi bić szybciej. Jak mam porozmawiać z Codym, żeby go nie rozwścieczyć?

Budzę się i mam odpowiedź. Jeżeli dopadnę Cody'ego sam na sam, nie będzie musiał odgrywać twardziela przed swoją bandą. A jeśli powiem mu, że wierzę w to zabójstwo, nie poczuje się zakłopotany; uzna, że jestem po jego stronie. Kto wie, może nawet zacznie mnie lubić. A przynajmniej przestanie się mnie czepiać.

W porze lunchu gang Cody'ego udaje się w kierunku autostrady na dymka. Czekałem w budynku przy drzwiach, pocąc się ze zdenerwowania. Kiedy ruszają dumnym krokiem z powrotem, wychodzę na zewnątrz, żeby ich zatrzymać. Paru z nich zaczyna szczekać, widząc, że się zbliżam.

Wsadzam ręce w kieszenie spodni, żeby nie zobaczyli, jak drżą.

– Tak, tak, psy, wielka rzecz – mówię, jakbym miał to gdzieś. – Słyszałem tę historię. I słyszałem też, że w tej okolicy są kojoty. Przez chwilę udało się wam mnie nabrać. Ale macie rację co do tego domu. Chcę się wyprowadzić. Tylko świr chciałby tam mieszkać.

– Bez żartów – rzuca Cody z poważną miną.

On i jego kumple idą dalej, nie zatrzymując się.

– Zaczekaj.

Cody odwraca się, jakby dostał rozkaz przez elektroniczną pluskwę.

– Czego chcesz?

Patrzę mu prosto w oczy i staram się nie narobić w gacie ze strachu.

– Proszę, czy mógłbym z tobą porozmawiać?

Od strony bandy dobiega ironiczne: „Oooch!”.

Cody przekrzywia głowę.

– O czym?

– To poufna sprawa.

Odgania kumpli machnięciem ręki. Odsuwają się na sporą odległość.

– Dobra, co za poufna sprawa?

– Chodzi o zabójstwo na mojej farmie – szepczę.

– Jakie zabójstwo? – pyta Cody śmiertelnie lodowatym tonem.

– No wiesz, to zabójstwo z lat sześćdziesiątych. Uważasz, że na mojej farmie kogoś zamordowano, prawda?

– Kto tak mówi?

– Nie wiem. Po prostu gdzieś usłyszałem.

Zaciska pięści.

– Od kogo? Co powiedzieli?

– Od nikogo. Nic.

– Mówią o mojej prababce?

– Co takiego? Nie!

– Nie okłamuj mnie. Jeżeli gadają o zabójstwie, to o niej.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kłamiesz. – Cody pcha mnie mocno w pierś. Cofam się kilka kroków. – Kto ci powiedział? Co mówili?

– Nikt. Nic. Nie wiem, o czym mówisz – powtarzam. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że myślę, że to prawda.

– To o mojej babce?

– Nie, o morderstwie. Myślę, że się wydarzyło.

– Założę się, że tak myślisz. – Znowu mnie pcha. Upadam. Rzuca się i siada na mnie. – Nigdy nie wyśmiewaj się z mojej prababki. Nigdy nie rozmawiaj o mojej rodzinie, ty nędzny śmieciu. Zrozumiałeś?

– Nie rozmawiałem. Ani o twojej prababce, ani o twojej mamie, o nikim.

Przygwaźdża mi rękę do ziemi.

– Dlaczego miałbyś mówić o mojej mamie?

– Nie mówiłem.

– Więc dlaczego powiedziałaś „o twojej mamie”?

– Nie zamierzałem. Przepraszam.

– Nic nie wiesz!

Uderza mnie pięścią w twarz. Bez namysłu oddaję cios. Zaczyna okładać mnie pięściami. Z budynku wybiega gromada dzieciaków, żeby zobaczyć przedstawienie.

– Dość, chłopcy.

To pan Abbott, nauczyciel matematyki.

Kumple Cody'ego odciągają go ode mnie.

– Do gabinetu. Obydwaj. Natychmiast.

– Dlaczego? – pyta Cody, rozcierając kłykcie. – To on zaczął.

Pan Abbott prowadzi nas do gabinetu wicedyrektora. Informuje go, że bił głównie Cody, ale widział, że ja też uderzyłem pięścią.

– Kto zaczął? – pyta wicedyrektor.

– On mówił o mojej rodzinie – odzywa się Cody. – Wyśmiewał się z mojej prababki. Gadał o mojej mamie.

– Czy to prawda, Cameronie?

– Niezupełnie.

Cody piorunuje mnie wzrokiem.

– Mam świadków.

Wicedyrektor rzuca mu ostre spojrzenie.

– Cody! – Spogląda na mnie znad okularów. – Co masz na myśli, mówiąc: „Niezupełnie”?

Jak mogę to wyjaśnić, nie wspominając o Benjiem ani o morderstwie i nie wychodząc na czubka? Spuszczam wzrok na moje dłonie.

– Nie jestem pewien. Wyszło nie tak, jak chciałem.

W szkole obowiązuje polityka zerowej tolerancji dla bójek. Obydwaj zostajemy zawieszeni do końca tygodnia, czyli na trzy dni. Z sekretariatu dzwonią do mamy, żeby po mnie przyjechała.

Jazda do domu dłuży się w nieskończoność. Próbuję wyjaśnić mamie, że wszystko to było nieporozumieniem, ale nie chce słuchać.

– Nie zawieszono cię bez powodu.

Chcę powiedzieć, że mi dokuczano, ale to zbyt zawstydzające, a jeżeli mama mi uwierzy, uzna, że musi coś z tym zrobić, i w ten sposób jeszcze pogorszy sytuację.

Poza tym, jak mam jej wyjaśnić, co usłyszałem od Cody'ego? Nawet dla mnie to nie ma sensu. Co prababka Cody'ego miałyby wspólnego z morderstwem, co do którego nikt nie myśli, że w ogóle je popełniono? I dlaczego na wzmiankę o tym Cody tak się wściekł?

- Bójka na pięści - mówi mama cicho. - Właśnie tak to się zaczyna.

Czuję w żołądku mdłości. Ona myśli, że staję się taki jak tata.

Po kolacji idę do mojego pokoju i szukam w internecie numeru telefonu Benjiego. W tej okolicy jest tylko trzech Dalbertów; pozostali dwaj mieszkają w miasteczku. Dzwonię do niego.

– Powiedziałem ci, żebyś nie pytał Cody’ego o to zabójstwo – mówi Benjie.

– Wcale nie. Powiedziałeś tylko: „Nie mów mu, że nie było zabójstwa”.

– No racja. Powinienem być wyrazić się jaśniej.

– Och, czyżby?

– Przepraszam.

– Tak czy owak, zachowałem się, jakby to była prawda. I w rezultacie zostałem pobity i zawieszony. Więc co tu jest grane?

– No cóż, przede wszystkim powinieneś wiedzieć: prababka Cody’ego ma dziewięćdziesiąt lat i jest stuknięta. Kompletna wariatka.

– Skąd wiesz?

– To nie jest wielkie miasto. Wszyscy tu o wszystkich wiedzą. I każdy wie, że pani Murphy wjechała samochodem do prezbiteriańskiego kościoła. No, to znaczy nie do samego kościoła, ale na frontowe schody. Właśnie wtedy straciła prawo jazdy, dwa lata temu. Mama mówi, że mniej więcej w tym czasie zaparkowała samochód na środku autostrady i po prostu sobie poszła; totalnie szurnięta.

– Bez jaj.

– Zaczekaj, będzie jeszcze ciekawiej. W zeszłym roku chciała spalić dom.

– Co takiego?!

– No dobrze, może nie chciała. Ale dziadkowie Cody’ego obudzili się z popołudniowej drzemki i zobaczyli w kuchni wielki pożar. Jego prababka postanowiła coś usmażyć, a potem powędrowała do stodoły. Przyjechały wozy strażackie i tak dalej. Po tym zdarzeniu umieszczono ją w domu spokojnej starości. Ma pokój na tym samym korytarzu co mój dziadek. Widuję ją w każdą niedzielę i po szkole w środy, kiedy moi starzy zabierają mnie w odwiedziny do niego.

– Co to wszystko ma wspólnego z morderstwem na mojej farmie?

– Och. Racja. To morderstwo. – Benjie jest takim tępym młotem, że można by nim wbijać gwoździe. – No dobra. Więc czy powiedziałem ci już wszystko o prababce Cody’ego? Dzieciaki się z niej wyśmiewają. Cody wdał się w mnóstwo bójek. Widzisz, ona jedna w jego rodzinie potrafi go znieść.

– Mam już ogólne wyobrażenie, Benjie. Skup się na rzeczy.

– W porządku. No więc kiedy dziadkowie Cody’ego przywieźli ją do tego domu spokojnej starości, ona wpadła we wściekłość. Naprawdę dostała szału. Wymachiwała laską i wrzeszczała, że oni wszyscy chcą ją zamknąć, bo za dużo wie o tym morderstwie. Mama mi powiedziała, że dawno temu, w latach sześćdziesiątych, oskarżała ówczesnego właściciela farmy, w której mieszkasz, o zamordowanie kilku osób.

– Masz na myśli tego zwariowanego gościa, który sprowadził sobie psy?

– Właśnie. Tylko że policja przeprowadziła śledztwo i okazało się, że nikt nikogo nie zabił.



Ona wszystko to sobie uroiła. Wtedy ucichła o tym na wiele lat. Ale teraz jest stara i pomyłona, więc nic nie powstrzyma jej przed wygadywaniem różnych rzeczy.

– Nadal mówi o morderstwie?

– Kto wie? Ja trzymam się od niej z daleka. Czasami widuję ją w świetlicy tego pensjonatu. Stale mówi do siebie.

W głowie wirują mi myśli: „Policja przeprowadziła śledztwo. Nikt nikogo nie zabił. Powtórz. Uwierz w to”. Ale muszę się dowiedzieć jeszcze jednej rzeczy.

– Benjie, czy pamiętasz, kogo według niej zamordował ten zbzikowany facet?

– Niech się zastanowię. Chyba swoją żonę i jej przyjaciela.

– Kogoś jeszcze?

– Och. Tak – mówi Benjie. – Swojego syna.

Jak mogę usnąć po czymś takim?

W końcu jednak zasypiam i wpadam w świat nocnych koszmarów. Ojciec Jacky'ego wpycha ludzi do maszynki do mielenia mięsa należącej do pana Sinclaira. Potem ma tułów psa i ściga mnie przez pola kukurydzy. Później chowam się w jednym z boksów dla krów, a mój tata skrada się z piłą łańcuchową i krzyczy: „Hej, stary! Nie możesz wiecznie przede mną uciekać!”.

„Jacky – szepczę, gdy tata staje w przejściu – pomóż mi”.

„Dlaczego miałbym ci pomóc? Chciałeś, żebym odszedł”.

„Przepraszam”.

„Nawet nie wierzysz w moje istnienie. Jesteś podły”.

Tata stoi nade mną. „Wreszcie cię dopadłem, stary”. Zwiększa obroty piły łańcuchowej.

„Jacky! Wierzę w ciebie! Ratunku!”.

Dzwoni budzik. Jestem w swoim pokoju. Serce wali mi tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi. Biorę prysznic, myję zęby, ubieram się i schodzę na dół.

Dzisiaj rano mama jest spokojniejsza, ale przez całe śniadanie trzymam buzię na kłódkę.

– Bądź grzeczny – mówi, wychodząc do pracy.

Normalnie odpowiedziałbym: „Zawsze jestem”. Ale dzisiaj ograniczam się do:

– Jasne.

Gram w „Atak zombi” i surfuję po kanałach telewizyjnych, a potem wracam do mojego pokoju i oglądam rysunki Jacky'ego. Wodzę palcem po tych kartkach. Pół wieku temu Jacky dotykał papieru, którego ja dotykam teraz. Narysował to, co teraz widzę.

A jeśli prababka Cody'ego ma rację? Jeżeli ojciec go zamordował, to czy Jacky wiedział, co się dzieje, czy to się stało, kiedy spał? Ciekawe, czy tata kiedykolwiek myślał o zabiciu mamy i mnie? Co by zrobił, gdyby się dowiedział, że mama pracuje u K.B.?

„Przestań tak myśleć”.

Spoglądam przez okno na otwór w ścianie stodoły. Właściwie byłoby super, gdyby rzeczywiście był tu jakiś duch. Przynajmniej miałbym z kim pogadać. A Jacky czy ktokolwiek, z kim rozmawiałem, wydawał się zawsze całkiem miły. Może dziwny, ale kto nie stałby się dziwny, gdyby dorastał na kompletnym odludziu z obłąkanym ojcem i wszystkimi tymi psami? A zresztą, co jest złego w byciu dziwnym? Wielu ludzi uważa mnie za dziwnego. Jacky jest po prostu samotny. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

Zastanawiam się przez chwilę, a potem szepczę:

– Jacky? Jesteś tu?

Po części się wygłupiam, ale po części mam nadzieję – jak wtedy, gdy w szóstej klasie bawiliśmy się z kolegami planszą do wywoływania duchów; część mnie cieszyła się, że nie wydarzyło się nic niesamowitego, ale druga część była rozczarowana.

– Jacky? – szepczę ponownie. – Jacky?

Cisza. Och, a czego się spodziewałem? Przecież nie wierzę w duchy. A nawet gdybym wierzył, teraz jest dzień.

– Cameron? – dobiega od progu głos Jacky'ego. – Na pewno chcesz, żebym tu był? Bo mogę

odejść. Nie chcę cię straszyć. Chcę się tylko z kimś zaprzyjaźnić.

Staram się zachowywać normalnie.

– Nie boję się, Jacky. Naprawdę. Cieszę się, że tu jesteś. Przepraszam za to, co powiedziałem.

– Świetnie.

Odwracam się powoli. W proggu nikogo nie ma, ale kiedy zamykam oczy, widzę go, bardzo nieśmiałego i zakłopotanego. To wydaje się całkiem realne – jak czasami we śnie; tylko że ja wcale nie śpię. To najdziwniejsza, najbardziej zdumiewająca rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła.

– A więc, chcesz coś robić? – pyta Jacky.

– Na przykład co?

– No nie wiem. Pójść się pobawić w stodołę? Tam jest fajnie.

– Jasne.

– Więc chodź.

Otwieram oczy i słyszę, jak Jacky woła do mnie z kuchni:

– Czego się tak guzdrzesz?

Schodzę po schodach, wkładam kurtkę i wychodzę na dwór.

Wyobrażam sobie Jacky'ego wbiegającego w podskokach do stodoły. Wchodzę za nim do środka. Wyobrażam sobie, jak siedzi w cieniu na przegrodzie krowiego boksu.

– Nadałem tym krowom imiona – mówi Jacky. – Tu mieszkała Pieprz. Była biała w czarne plamki. Czarną w białe plamki nazwałem Sól. Innym krowom dałem imiona postaci z moich komiksów. Każdej jesieni ojciec prowadził kilka z nich na farmę Arty'ego i jego ojciec zarzynał je na mięso dla nas do jedzenia albo do sprzedania w miasteczku. Płakałem, kiedy zabierał Pieprz, ale uderzył mnie w tył głowy i powiedział, że bym nie był beksą. Mama mówiła, że nie powinienem myśleć o tych krowach jak o ulubionych zwierzętach domowych.

– To okropne. Czy kiedykolwiek miałeś jakieś prawdziwe domowe zwierzę?

– Właściwie nie. – Jacky wzdycha. – Trzymaliśmy w stodołę koty, ale nie mogłem przyprowadzać ich do domu. Zresztą i tak jeśli chciało się je pogłaskać, prychały i uciekały. Właśnie dlatego lubiłem krowy. Pozwalały się gładzić po bokach. Ale nie można było na nich jeździć. Spróbowałem kiedyś wsiąść na Pieprz, ale jej się to nie spodobało. Prawie mnie stratowała.

– A co z psami?

– Żartujesz? – Jacky rozgląda się, jakby ktoś mógł podsłuchiwać. – Bałem się tych psów. Robiły różne rzeczy. Straszne rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład z królikami. Widziałem z mojego okna. – Oczy Jacky'ego rozszerzają się ze zgrozy. Zatyka palcami uszy i śpiewa głośno: – La-la-la-la-la-la!

Ja dawniej robiłem to samo, kiedy mama i tata się kłócili.

– Jacky! To się nie dzieje teraz!

Ale on zniknął; mówię w pustkę. Już mam wrócić do domu, gdy słyszę go na stryszku. Wchodzę po schodach. Kiedy tam docieram, z krokwi zlatują w dół ptaki. Podnoszę wzrok i wyobrażam sobie Jacky'ego siedzącego na poprzecznicy i wymachującego nogami.

– To moje ulubione miejsce – mówi, jakby nic się nie stało. – Zanim pojawiły się psy, ja i Arty ciągle się tutaj bawiliśmy. Była tu wielka sterta siana. Wdrapywaliśmy się na nią i zjeżdżaliśmy w dół. Siano kłuło, ale to nas nie powstrzymywało.

- Wygląda na to, że ty i pan Sinclair... to znaczy Arty... byliście dobrymi przyjaciółmi.
- Najlepszymi przyjaciółmi. Dał mi tę czapkę – mówi Jacky i gładzi ogon szopa.
- To było niedługo przedtem, zanim wyjechałeś z mamą, prawda?
- Co? Kto powiedział, że wyjechałem z matką?
- Arty.

Jacky kręci głową.

- Matka wyjechała beze mnie. Arty to wie.
- Skąd wie?
- To tajemnica.
- Dlaczego?
- Bo tak – odpowiada i znika.
- Jacky?
- Jestem tutaj.

Odwracam się i widzę go kucającego przy otworze w ścianie stodoły.

- Ojciec dawniej układał wszystkie krowie placki w stertę tu na dole – mówi. – W lecie słońce wysuszało wierzchnią warstwę sterty na skorupę, więc nie śmierdziały. Kiedy Arty i ja byliśmy mali, pewnego dnia znudziło się nam zjeżdżanie ze stogu siana, więc zamiast tego wyczołgaliśmy się przez ten otwór i zjechaliśmy w krowie placki. Starzy Arty’ego uznali to za zabawne, ale ja dostałem od ojca baty.

- Baty?

- No wiesz, kiedy ojciec zdejmuje pasek od spodni i bije cię nim.

- Twój ojciec cię bił?

- Tylko kiedy na to zasłużyłem. Nie chciał tego robić; to było tylko po to, żebym był grzeczny. „To boli bardziej mnie niż ciebie”. Tak mówił matce i mnie, kiedy byliśmy niegrzeczni. Gdyby matka była grzeczna, nie uciekłaby. Wtedy ojciec nie sprowadziłby tych psów i wszystko byłoby dobrze.

Jacky drży.

- Nic ci nie jest?

- Nie mogę teraz rozmawiać. Słyszę różne rzeczy. Widzę różne rzeczy.

Znika na dobre, rozpływa się w powietrzu, ale wciąż słychać jego słowa:

- Słyszę różne rzeczy. Widzę różne rzeczy.

Tylko że to nie on mówi, lecz ja.

Milknę i w stodole robi się tak cicho, że boję się odetchnąć. Jest tak, jakbym znalazł się w innym świecie – jednocześnie terazniejszym i nieterażniejszym.

„Co zobaczył Jacky? Co usłyszał?”.

Widzę podwójnie, potem potrójnie. Gdy wszystko się rozmazuje, wyobrażam sobie stóg siana sięgający aż do tylnych krokwi stodoły. Wyobrażam sobie miękki dotyk siana i zapach. A także zapach krów, ostrą, wilgotną woń, i odgłosy ich szurania i parskania w boksach pod mną. Jacky i Arty wdrapują się na stóg, siano ugina się pod ich stopami. Ze śmiechem turlają się w dół.

Jedno mrugnięcie i znowu widzę wyraźnie. Super. Potem przykucam tam, gdzie przed chwilą Jacky, i patrzę na dom. Wyobrażam go sobie z fotografii pana Sinclaira, ze świeżą farbą i grządkami petunii po obu stronach drzwi tylnej szopy. Na podjeździe stoi samochód rodziny McTavishów, chevrolet z lat pięćdziesiątych, zielony, z chromowanymi płetwami.

Słyszę w głowie grające radio i podśpiewującą razem z nim matkę Jacky’ego. Nagle

odzywa się męski głos i zaczyna się kłótnia. Mama Jacky'ego krzyczy: „Chcesz mnie uderzyć? Uderz mnie tam, gdzie będzie widać sińce, ty tchórze!”.

Chwileczkę. To głos mojej mamy. Serce skacze mi w piersi i jestem znowu tu i teraz. Czy mama kiedykolwiek tak powiedziała? Czy kiedykolwiek to słyszałem?

Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Mama wraca o piątej. Woła mnie do stołu. Siadam jak więzień czekający na egzekucję. Czy usłyszę przemowę pod tytułem „Jestem tobą rozczarowana”, czy „Kocham cię”? Wiem, że mnie kocha. Wiem, że jest mną rozczarowana. Dlaczego musi to mówić?

Mama sięga przez stół i kładzie dłoń na mojej.

– Cameronie – mówi łagodnym tonem. – Chcę cię przeprosić.

Co? Patrzę na nasze dłonie. Mama wciąż nosi ślubną obrączkę. Mówi, że to trzyma mężczyzn na dystans, ale mnie ta obrączka przypomina o tacie. Ciekawe, czy jej też?

– Nie powinnam była nigdy powiedzieć tego, co powiedziałam wczoraj o bójce jako początku – mówi mama. – Nie jesteś twoim ojcem. Jesteś sobą. Jesteś dobrym, miłym, byстрыm młodym człowiekiem, który troszczy się o innych ludzi.

Skrećam się wewnątrz. „Mamo, nie jestem dobry. Nie jestem miły. Myślę źle o ludziach. Knuję za twoimi plecami. Kłamię. Zmyślam różne rzeczy. Jestem okropny. Jestem...”.

– Cameronie?

Ocieram kącik oka.

– W porządku.

Mama podaje mi chusteczkę higieniczną. Jakoś zawsze ma je przy sobie.

– Chcę, abyś wiedział, że to, co działo się z tobą przez ostatnich kilka tygodni, to, przez co przechodziłeś, nie jest twoją winą.

„Czy chodzi o to, że dokuczają mi w szkole? O to, że jadam luncha samotnie w kabinie toalety? Czy wymówiłem przez sen imię Jacky’ego?”.

– Nie wiem dokładnie, co dzieje się w twojej głowie – mówi mama (co za ulga!) – ale widzę oznaki. Koszmary. Mówienie do siebie.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Wszystko w porządku, Cameronie, rozumiem. – „Nie rozumiesz”. – Od dzieciństwa jest tak z tobą zawsze. Ilekroć masz jakiś problem, uciekasz w swój własny świat. Rozmawiasz ze mną, z innymi, ale wydaje się, jakbyś nas nie słyszał. Od ostatniej przeprowadzki to się jeszcze pogorszyło.

Boję się spytać, ale muszę.

– Co z moimi ustami?

Mama ściska mi dłoń.

– Wiem, że bardzo się starasz nimi nie poruszać. A kiedy to się nie udaje, zakrywasz je. Jesteś w tym bardzo dobry. Ale tak, poruszają się. Nie zawsze, ale czasami.

– Czy mówię głośno?

– Nie, nie. Bardzo cicho, niekiedy w ogóle bezgłośnie.

„Czy zachowuję się tak w szkole? Kto jeszcze widział, jak to robię?”.

– Nie wiem, z kim rozmawiasz, ale to bywa całkiem intensywne.

– Ze sobą. Po prostu mówię do siebie. Mnóstwo ludzi tak robi.

– Wiem. Ale ostatnio... ostatnio przyglądam ci się, a ty tego nawet nie zauważasz. To mnie niepokoi.

– Dlaczego?

Jakbym nie znał odpowiedzi!

– Ponieważ to nie jest normalne, Cameronie. I nie chodzi tylko o mówienie do siebie. Przez cały czas jesteś pochmurny. Nieobecny. Czasami uderzasz siebie.

– Kiedy?

– W różnych sytuacjach. Nieczęsto. Nieważne.

– Dla mnie to ważne. Gdybym siebie bił, chyba bym o tym wiedział.

– Miałabym taką nadzieję – mówi mama ostrożnie. – I są jeszcze te nocne koszmary. Budzisz się zlany potem i chociaż wiesz, że jestem przy tobie, wydajesz się przebywać w innym świecie.

Z wysiłkiem przełykam ślinę.

– Myślisz, że jestem wariatem.

– Nie. Ale myślę, że masz problemy. Martwisz się czymś.

Próbuję coś powiedzieć, ale nie ma tu nic do powiedzenia.

– Cameronie, nie ma się czego wstydzić. Masz za sobą takie okropne przeżycia. Ale nie jesteś sam. Chcę ci pomóc.

„Nie możesz”.

– Proszę, pozwól mi.

„Jak?”.

Mama bierze wdech.

– Rozmawiałam z Kenem.

Z Kowbojskimi Butami?

– Rozmawiałaś z nim o mnie?

– Nie powiedziałam wiele.

– To cymbał. Pozer.

– Cameronie, on jest miłym człowiekiem i dał mi pracę. Pracę, która zapewnia nam dach nad głową i jedzenie na stole.

– I to daje mu prawo dowiadywania się o moim prywatnym życiu?

– Nie. Powiedziałem mu tylko, że jesteś w wieku, w którym mógłbyś chcieć porozmawiać z mężczyzną. Większość chłopców ma ojców.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Ja też mam ojca. Tylko że nie pozwalasz mi się z nim widywać.

– To nie fair.

– Co? To, że mam ojca, którego nie mogę widywać? Tak, to rzeczywiście nie fair.

Cofam rękę.

Mama stara się nie okazać zdenerwowania.

– Nie musisz rozmawiać z Kenem, jeśli nie chcesz, ale on chętnie by z tobą pomówił.

Patrzę jej w oczy.

– Spotykasz się z nim?

– Co takiego?

– Czy chcesz w ten sposób zapoznać go ze „swoim dzieckiem”?

– Cameronie, to uwaga nie na miejscu.

– A więc mam rację.

– Nie, mylisz się!

– Ponieważ wykluczone, żeby ten palant kiedykolwiek miał być moim ojcem. Mam ojca. A gdybym chciał kiedyś porozmawiać z mężczyzną niebędącym moim ojcem, porozmawiam

z panem Sinclairem.

– Doskonale.

– Więc mogę już odejść?

– Możesz.

Odsuwam krzesło, wstaję i ruszam po schodach na górę.

– Cameronie! – woła za mną mama. – Kocham cię.

– Jasne.

Nie odwracam się. Nie ma mowy, żeby zobaczyła, jak płaczę.



## Dziewiętnasty

Przez całą noc zamartwiam się tym, że mama uważa mnie za wariata. Myśli też, że tata jest wariatem. Czy ma rację? Czy obaj jesteśmy czubkami? Niepokoję się też o Jacky'ego. Pan Sinclair twierdzi, że on wyjechał razem z mamą. Jacky mówi, że nie i że pan Sinclair widział go po jej wyjeździe. Kto mówi prawdę? Dlaczego któryś z nich miałby kłamać?

Jak można wiedzieć coś o kimkolwiek? Jak można mieć pewność nawet co do samego siebie?

Tylko jedno jest pewne: Jacky to sekret, o którym nie mogę powiedzieć nikomu.

Gdy wstaję z łóżka, mamy już nie ma w domu. Robię sobie tost z dżemem, zanoszę kubek lodów do kuchennego okna i wyglądam na las za polem kukurydzy. Słońce świeci jasno, niebo jest czyste – idealny dzień na podjęcie eksploracji. Gdyby mnie nie zawieszono, siedziałbym teraz w autobusie, nękany przez gang Cody'ego, czułbym cuchnący oddech Benjiego i niepokoił się dzisiejszym testem z fizyki. Powinienem postarać się częściej być zawieszany.

Ubieram się ciepło i wychodzę na pole. Las zasłania mi teraz kukurydza – jej łodygi są znacznie wyższe ode mnie – ale jeżeli pójdę prosto przed siebie, nie ma mowy, żebym na niego nie trafił. Po minięciu kilku pierwszych rzędów kukurydzy niełatwo mi dostrzec cokolwiek, zwłaszcza z powodu liści. Przedzieranie się przez pole okazuje się trudniejsze, niż się spodziewałem. Najgorsze są kolby kukurydzy smagające mnie po twarzy i jej wąsy wążące mi do nosa. Plusem jest natomiast zapach kukurydzy, tak słodki i świeży, że się nim dosłownie rozkoszuję.

Brnę przed siebie, ale wydaje się to trwać wieczność. Patrzę na zegarek. Minęło już piętnaście minut, odkąd wyruszyłem. Czy nie powinienem zobaczyć nad łodygami kukurydzy przynajmniej wierzchołków drzew? Może zawrócić?

„Nie, to głupie. Z tego, co wiem, dotarłem już prawie na miejsce. Poza tym rezygnują tylko nieudacznicy”.

Idę dalej. Wciąż nie widać ani śladu drzew lasu. Czy zmierzam we właściwym kierunku? Może zatoczyłem łuk?

W oddali na farmie pana Sinclaira rozlega się wycie silnika. Jestem tak zaabsorbowany odgarnianiem od oczu wąsów kukurydzy, że dopiero po pewnym czasie uświadamiam sobie, że ten dźwięk staje się coraz głośniejszy. Wydaje się zbliżać. Dlaczego jakiś silnik miałby się zbliżać?

„O mój Boże! To nie jest żaden stary silnik. To kombajn żniwny pana Sinclaira. Zbiera zboże z pola. A ja stoję pośrodku tego pola!”.

Wyobrażam sobie ostrza tnące łodygi – i mnie! Muszę się stąd wydostać. Ale dokąd? Gdzie jestem? W którą stronę mam uciekać?

„Nie panikuj. Zorientuj się, dokąd zmierza kombajn pana Sinclaira, i rusz w jakimś innym kierunku”.

Jak mam się zorientować? Nie widzę go. Kukurydza jest zbyt wysoka.

„I co z tego? Jeśli kombajn się zbliży, po prostu uskoczysz mu z drogi”.

Uskoczę? Tutaj ledwie można iść.

„Więc krzycz. Pan Sinclair cię usłyszy”.

W tym hałasie?

Próbuję pobiec. Im bardziej się staram, tym bardziej kukurydza zagradza mi drogę. Z wysiłkiem odgarniam łodygi na boki obiema rękami, jakbym płynął żabką. Ale to daremne. Prawie nie poruszam się z miejsca. Dyszę ciężko, usiłując złapać oddech. Liście i wąsy kukurydzy smagają mnie w twarz, włożą do nosa i ust. Rozpaczliwie młóć rękami, tonę.

– Ratunku!

„Wszystko w porządku”.

Jacky? To ty?

„Oddychaj”.

Warkot silnika jest już ogłuszający.

– Panie Sinclair! Stop! – krzyczę, wymachując rękami.

„On cię nie widzi ani nie słyszy. Oddychaj”.

– Nie mogę.

„Możesz. Jesteś już prawie przy skraju lasu. Spójrz przed siebie na prawo”.

Spostrzegam nagle ścieżkę między rzędami kukurydzy. Dlaczego wcześniej jej nie widziałem? Nie słyszę własnych myśli – tylko głos w mojej głowie krzyczący: „No już! Biegnij!”.

Przeciskam się do ścieżki. Widzę wierzchołki drzew nad łodygami kukurydzy. Przedzieram się przez nie, wybiegam pędem z pola, z dala od niebezpieczeństwa. Udało się. Jestem na skraju lasu.

Upadam na kolana.

– Jacky, uratowałeś mi życie.

Nie odpowiada.

– Jacky?

Zniknął.

Łapię oddech. Nie mogę uwierzyć, że żyję. Wstaję i się otrzepuję. Chyba będę tkwił tutaj, dopóki pan Sinclair nie zrobi sobie przerwy w pracy.

Spoglądam w górę wzdłuż linii drzew. Las ciągnie się na tyłach pięciu farm, ale nie wiem, jak daleko sięga w głąb. Powinienem trzymać się blisko skraju, żeby nie zabłądzić. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żeby mama wezwała grupę poszukiwawczą, kiedy jestem zawieszony.

Jednak to nie może być wielki las. Przecież wszędzie wokoło są farmy, a Jacky i pan Sinclair bawili się tutaj. Poza tym pośród krzaków drzewa rosną dość rzadko. Kilka wygląda na nadające się do wspinaczki. To mogłoby być fajne – wdrapać się na szczyt drzewa, żeby popatrzeć na dom albo szpiegować pana Sinclaira zbierającego zboże. Przypominam sobie rysunki Jacky’ego przedstawiające ich obydwu na wierzchołkach drzew. Ciekawe, co widzieli?

Jednak zanim wejdę na któreś z drzew, chcę obejrzeć polanę. Nie jest daleko – duża połać zalana światłem słońca. Wszędzie po drodze leżą bezładnie uschłe gałęzie przypominające rogi jeleni. Napotykam też kilka zwalonych drzew, zbutwiałych i porośniętych mchem. Jedno jest naprawdę długie, z wielkimi korzeniami celującymi w niebo.

W czasach, kiedy Jacky rysował swoje obrazki, wielu tych drzew w ogóle jeszcze nie było; te obecnie zwalone rosły zdrowe, a te, które wtedy butwiały, już dawno zniknęły bez śladu.

Drzewa są jak ludzie. Żyjemy, potem pozostają po nas tylko wspomnienia, a później nawet ich już nie ma.

Mama twierdzi, że takie mówienie jest czymś chorobliwym, ale to prawda. Nie mam pojęcia, jak wyglądali i mówili moi pradziadkowie i prapradziadkowie przed nimi, i jeszcze wcześniejsi moi przodkowie aż do epoki jaskiniowej. Dziwnie pomyśleć, że byli kiedyś tacy jak ja, dokazywali z przyjaciółmi, wściekali się na rodziców, byli odważni, bali się i tak dalej. Ale już zniknęli i zniknęli też wszyscy ludzie wraz z rzeczami mającymi dla nich znaczenie – i nikt o nich nie wie ani nikogo nie obchodzą. Więc dlaczego zamartwiam się sprawami, które po latach nikogo nie będą wcale obchodzić? Gdybym to wiedział, może mógłbym być szczęśliwy?

Kiedy docieram do polany, półmrok ustępuje miejsca oślepijącemu blaskowi słońca. Liście są już pomarańczowe i czerwone i rosną tu kępy krzaków jagód. Tu skała wychodzi na powierzchnię, a pośrodku polany – serce skacze mi w piersi – leżą głazy z rysunków Jacky'ego.

Wyobrażam sobie Jacky'ego i pana Sinclaira udających, że te głazy to ich fort. Potem widzę, jak Jacky samotnie kryje się na wierzchołkach drzew, udając, że jego ojciec nie istnieje.

Ćwierka jakiś ptak. Stoję nieruchomo; mam nadzieję, że uda mi się go choćby przelotnie dostrzec. Wszędzie wokoło panuje cisza. Jak to się dzieje, że nie słyszę warkotu kombajnu? Ogarnia mnie niepokojące wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Zerkam przez ramię.

Na skraju polany stoi pan Sinclair.

– Co ty wyprawiasz, przechodzisz przez pole w trakcie żniwa? Chcesz zginąć?

– Przepraszam. Byłem już w połowie drogi, kiedy uruchomił pan kombajn. Skąd pan wiedział, że tu jestem?

– Widziałem poruszające się łodygi kukurydzy. Na całe szczęście. Domyśliłem się, że to ty. Przyszedłem odprowadzić cię do domu. Nie chcę po powrocie twojej matki musieć się przed nią tłumaczyć, jak to się stało, że mój kombajn zmiążdżył cię razem z kolbami kukurydzy. – Prycha. – Albo może mógłbym po prostu zmielić cię w maszynce do mięsa, a twoja matka pomyślałaby, że uciekłeś z domu.

Śmieję się, jakby to był żart, ale pan Sinclair tylko patrzy na mnie bez słowa. Przypominam sobie zniknięcie Jacky'ego i jego matki. Przestaję się śmiać.

– A tak w ogóle to dlaczego nie jesteś w szkole? – pyta.

– Zostałem zawieszony. To nie była moja wina.

– Gdybym dostawał dolara za każdym razem, kiedy ktoś mówi, że coś nie było jego winą...

– Pan Sinclair milknie. – A więc pomyślałeś sobie, że zbadasz ten las. Co spodziewałeś się znaleźć?

– Nic. Chciałem tylko zobaczyć, gdzie pan i Jacky się bawiliście?

– Kto mówi, że bawiliśmy się tutaj?

– Domyśliłem się.

– A więc jesteś taki domyślny, co? Jakiego rodzaju? Domyślny, który myśli, że wie, czy domyślny, który wie, że tylko się domyśla?

– Myślę, że nie wiem.

Twarz pana Sinclaira rozjaśnia uśmiech.

– Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. – Wskazuje głową głazy. – Dawniej zostawiałem tutaj różne rzeczy, żeby Jacky je odnalazł. Szkło powiększające. Torebkę

szklanych kulek. Rzeczy, na których już mi nie zależało. Wiedział, że to ja je podrzucam, ale zabawniej było udawać, że nie wie.

Spojrzenie pana Sinclaira łagodnieje.

– Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, co się z nim stało?

Jego oczy się zwężają.

– Dlaczego miałbym się zastanawiać?

– No nie wiem; byliście przyjaciółmi. Ja myślę o moich przyjaciółach, tych, których zostawiłem. Mam nadzieję, że oni też o mnie myślą.

– Nie liczyłbym na to. W dzisiejszych czasach nikt nie myśli o nikim. Kiedy dożyjesz mojego wieku, nie będziesz nawet pamiętał, ilu twoich przyjaciół zniknęło.

– Tak jak Jacky?

Pan Sinclair chrząka.

– Był taki jak ty. Zniknął razem ze swoją matką.

„Jacky mówi co innego”.

– O czym myślisz?

– O niczym – odpowiadam.

– Nikt nie myśli o niczym.

– No dobrze... zastanawiałem się po prostu, czy Jacky kiedykolwiek mówił o swoim ojcu.

– Dlaczego miałby to robić? Czy ty mówisz o swoim?

– To co innego.

– Czyżby? – Pan Sinclair przygląda się, jak się wzdrygam. – Nie jesteś jedynym domyślnym tutaj. Każdy ma swoje sekrety. Najlepiej zostawić je w spokoju. No, chodź już. Odwiozę cię do domu. Mam jeszcze kupę roboty.

Każdy ma swoje sekrety, jak powiedział pan Sinclair. Mama, tata, ja. Jakie są sekrety pana Sinclaira? A Jacky'ego? Po powrocie do domu pytam Jacky'ego:

– Dlaczego twoja matka nie zabrała cię ze sobą, tak jak moja mama zabrała mnie?

Wiem, że słucha. Wyczuwam wokoło jego obecność, zerkającego zza mebli, kryjącego się w szafie, pod łóżkiem, ale nie chce się pokazać. Czy ze mną igrza? Jaka jest jego sekretna historia?

Wyjmuję jego rysunki i szukam w nich wskazówek, które mogłem przegapić za pierwszym razem. Na kilku z nich widać jakiś czarny kształt. To jama, jaskinia czy komórka na węgiel? Może to tylko zwykły bazgroł. A co z rysunkiem przedstawiającym jego matkę leżącą na ziemi? Czy ona śpi? Jest martwa? Są też na tych rysunkach rzeczy, które mogłyby mi się przyśnić w koszmarach – zwykłe przedmioty, takie jak łopata, siekiera i widły jego ojca.

Gdy wpatruję się w te obrazki, pokój znika; czuję, jak teraźniejszość i przeszłość przenikają się nawzajem: Jacky chodził po tych deskach podłogi, dotykał tych klamek i poręczy schodów, tak jak ja. Używał tego samego zlewu, wanny, biurka. Jacky jest wszędzie. W powietrzu, którym oddycham.

Wyobrażam sobie, jak chodził tutaj, na piętrze, i po chwili jestem w dużym pokoju nad kuchnią, spoglądam w górę na klapę prowadzącą na strych. Dlaczego jest zabita na głucho gwoździami? Mógłbym zdrapać dłutem zaskorupiałą warstwę farby i wyciągnąć obcęgami gwoździe, ale narobiłbym w ten sposób bałaganu; mama by się wkurzyła.

„Co jest na strychu, Jacky? Jaki jest jego sekret?”

– Cameron? – dobiega z kuchni głos mamy.

– Jestem na górze – krzyczę nadzwyczaj wesołym tonem.

Od jak dawna mama jest w domu? Czy słyszała, jak mówię do siebie?

– Mam dla nas pizzę – odkrzykuje też nadzwyczaj wesoło. – Z dwoma rodzajami sera, pepperoni i grzybami. Trzeba tylko włożyć ją na chwilę do kuchenki mikrofalowej.

Jeżeli mama słyszała mnie mówiącego do siebie, udaje, że nie. Dobrze. Udawajmy razem.

– Super. Dzięki. Zaraz zejść.

Gdy siadam przy stole, mama pyta z uśmiechem:

– Jak ci minął dzień?

Nigdy byście się nie domyślili, że wczoraj wieczorem się pokłóciliśmy. Mama nie zapomina żadnej kłótni, ale doskonale potrafi je zapakować i odłożyć na bok. Są jak ozdoby choinkowe – ukryte przed wzrokiem, ale łatwo je wyjąć ze schowka.

– Jak mi minął? Całkiem dobrze. – Biorę kawałek pizzy. – Odrobiłem mnóstwo lekcji.

– To świetnie. – Milknie na chwilę. – Chciałbyś pojechać ze mną jutro do miasteczka?

– Co?

– Po dwóch dniach spędzonych samotnie w domu pewnie już trochę dostajesz świra z nudów.

– Co miałbym tam robić?

– Jest biblioteka, centrum rekreacyjne. Ale nie jedź, skoro nie chcesz. Zostań tutaj i nudź się. Twój wybór.

– Nie, pojedę. Może być fajnie.

To znaczy może także być fajnie.

Reszta obiadu mija gładko. Trzymamy się bezpiecznych tematów, na przykład gdzie spotkamy się na lunchu. Na szczęście liceum znajduje się po wiejskiej stronie mostu, więc nie ma obawy, że któryś z uczniów nas zobaczy.

– Przy okazji, nie zapomniałam o twoim zadaniu z historii – mówi mama, gdy kończymy jeść. Przynosi mi z kuchennej lady gruby pakiet. – Akta kupna i sprzedaży tej farmy.

– Dzięki.

– To Kenowi powinieneś podziękować. Mówi, że jeżeli będziesz potrzebował czegokolwiek jeszcze, po prostu poproś.

Rzucam jej wymowne spojrzenie.

– Czyż nie rozmawialiśmy już o mnie i Kenie?

– Powiedziałam mu o twoim szkolnym zadaniu jeszcze przed naszą rozmową. Oznajmił, że ma dzisiaj coś do załatwienia w urzędzie stanu cywilnego i przy okazji może sprawdzić akta farmy.

– Doskonale. Wobec tego nie jestem mu nic winien.

– Owszem, z wyjątkiem podziękowania.

– Nie chcę też, żebyś ty była mu cokolwiek winna.

– Cameronie. – Mama wzdycha. – Czasami ludzie wyświadczają przysługi, nie oczekując niczego w zamian. To się nazywa uprzejmość.

Mama jest całkiem bystra, ale z pewnością nie zna się na facetach.

Zabieram pakiet na piętro, siadam ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i wyjmuję wszystkie papiery. Są ich tony. To nie żadna „niewielka przysługa”. To przysługa mówiąca: „Hej, Katherine, zobacz, jaki ze mnie świetny gość, zdobyłem to wszystko dla twojego syna! Może zjemy razem obiad?”

Jest też notka od K.B. na papierze listowym firmy z jego fotografią u góry. Biorę pióro i zaczerniam na zdjęciu parę zębów oraz łączę brwi tak, że wyglądają na zrosnięte.

*Cześć, Cameron!*

*Usłyszałem o Twoim zadaniu z historii. Cieszę się, że mogę pomóc.*

*Poprosiłem Arlene Cooper, żeby wydrukowała kilka map topograficznych, historię transakcji kupna i sprzedaży oraz roczne zeznania podatkowe. Większość farm w tej okolicy jest przekazywana synom, więc zeznania podatkowe są w istocie bardziej przydatne niż historia transakcji, jeśli ktoś chce zdobyć wiedzę o kolejnych właścicielach.*

*Twoja matka mówi, że szczególnie interesuje Cię to, czy na waszej farmie zdarzyło się kiedykolwiek morderstwo albo samobójstwo. Chciałbym móc odpowiedzieć twierdząco, aby Twoja rozprawka zyskała sensacyjny wątek, ale nic takiego się nie pojawiło. Jednak był tam kiedyś farmer, który został zagryziony przez swoje psy. Może to Ci wystarczy?*

*Daj mi znać, gdybyś miał jeszcze jakieś pytania. Odezwij się też, gdybyś chciał porzucić piłkę baseballową czy pograć w kosza.*

*Ken*

Porzucić piłkę baseballową? Pograć w kosza? Akurat!

Najistotniejsze w notce K.B. jest to, że nie było żadnego morderstwa. Więc co się stało z Jackym? Skoro nie wyjechał z matką, czyż nie znaleziono by go po tym, jak psy zabiły jego

ojca?

Najpierw oglądam mapy. Interesujące. Na tej przedstawiającej ten okręg w 1825 roku widać linię kolejową, która biegła kiedyś przez Wolf Hollow. Na koncesyjnej mapie topograficznej z 1838 roku połowę obszaru zajmują lasy.

Pod mapami jest sterta zeznań podatkowych; ma prawie trzy centymetry grubości. Już na sam jej widok niemal usypiam. Ciskam ją na bok i rzucam okiem na jednostronicowe streszczenie historii transakcji kupna i sprzedaży farmy.

Dziwne. Pierwszy właściciel, Silas Henning, kupił tę farmę w 1839 roku. Pozostawała w posiadaniu tej rodziny do 1924, kiedy nabył ją Henry McTavish. I to wszystko. Farma nigdy więcej nie została sprzedana. To nie może być prawda. A co ze sprzedażem jej Sinclairom?

Biorę do ręki zeznania podatkowe. W 1952 roku nazwisko Henry McTavish zostaje zastąpione przez Frank McTavish. To wtedy ojciec Jacky'ego przejął farmę. Pan McTavish figuruje na oświadczeniach aż do bieżącego roku.

To oznacza, że pan Sinclair nie jest właścicielem farmy. Ona nadal należy do ojca Jacky'ego. Do nieboszczyka. Co ukrywa pan Sinclair – w związku z farmą, z Jackym, ze wszystkim?

## Dwudziesty pierwszy

Pokazuję mamie dowód tego, że właścicielem farmy jest wciąż pan McTavish.

– Ojej, to ciekawe, nieprawdaż? – Usiłuje się nie uśmiechnąć. – Nie jestem agentką nieruchomości, więc obawiam się, że nie potrafię rozwiązać tej zagadki, ale znam kogoś, kto istotnie jest agentem nieruchomości i kto niewątpliwie bardzo chętnie ci to wyjaśni.

Tak, mam, ten uprzejmy.

Ale ona ma rację. Rzeczywiście muszę porozmawiać z K.B. Cholera.

Nazajutrz rano słońcu jeszcze trudniej wstać niż mnie. Kiedy jedziemy do miasteczka, mgła opada na zżęte pola.

W pobliżu szkoły zwalniają; na parking wjeżdżają dwa autobusy. Zsuwam się niżej w fotelu, żeby nikt mnie nie zobaczył. Kilka chwil później mijamy motel, w którym zatrzymaliśmy się pierwszej nocy, i przez stary żelazny most wjeżdżamy do miasteczka.

Spoglądam w dół na kotlinę rzeki pod mostem – jamę w Wilczej Jamie. Tutaj osiada najgrubsza warstwa mgły; ma się wrażenie, jakbyśmy jechali nad chmurami. Wyobrażam sobie, jak dawnymi czasy z mgieł wyłaniały się wilki.

Za mostem autostrada skręca w główny trakt zwany Main Street. Przecina go tylko jakieś dziesięć ulic, a po każdej stronie biegnie równolegle siedem czy osiem. Mijamy lodziarnię dla zmotoryzowanych zamkniętą do wiosny, mały pawilon handlowy z fast foodem, 7-Eleven, stacją benzynową i pocztą. Dalej jest szereg piętrowych budynków, w których na piętrze mieszczą się mieszkania, a na parterze sklepy i restauracje: gospoda Pod Sękatą Sosną; restauracja Smaczne Obiady u Mindy; sklepy Turystka i Odzież Męska z ubraniami w stylu sprzed stu lat; irlandzki bar Shamrock z zamkniętymi okiennicami; zakład manicure Lucille; pralnia samoobsługowa; dwie drogerie; jedyne w Wolf Hollow kino o nazwie Capital, mające tylko dwie sale.

W połowie Main Street pojawiają się szacowne instytucje: ratusz, urząd stanu cywilnego, komisariat policji, biblioteka i redakcja gazety „Weekly Bugle”. Dalej znajdują się: budynek kryty gontem z malowanymi drewnianymi motylami przybitymi do ścian i ręcznie wykonanym szyldem „Papiernia Kelly’ego”; zakład kamieniarski Huntleya z dziedzińcem pełnym kamieni nagrobnych; kolejny mały pawilon handlowy mieszczący tani sklepik, mini market Minnie i agencję nieruchomości Kena Armstronga. Wreszcie stacja benzynowa dla tych, którzy zapomnieli zatankować na drugim końcu miasteczka, a dalej znowu zaczynają się farmy.

Zajeżdżamy przed agencję o wpół do dziewiątej. K.B. jeszcze się nie zjawił.

– Nie martw się, przyjedzie lada chwila – mówi mama. – Wtedy będziesz mógł rozwiązać swoją zagadkę, potem pójdziesz popływać w centrum rekreacyjnym, a w południe spotkasz się ze mną tutaj na lunchu. W gospodzie Pod Sękatą Sosną mają świetne frytki. I placki owocowe własnego wypieku. Będą ci smakować.

Zarzucam na ramię plecak, wchodzę do siedziby agencji i zostawiam na biurku mamy pakiet od K.B. Potem wychodzę na zewnątrz i zabijam czas, oglądając zdjęcia domów na sprzedaż we frontowej witrynie; wszystkie wyglądają lepiej niż ten, w którym mieszkamy.



Od strony zakładu kamieniarskiego Huntleya dobiega mnie warkot wiertarki elektrycznej. Przez kłęby mgły widzę krępego mężczyznę w średnim wieku w kombinezonie, roboczych butach, goglach i czapce baseballowej grawerującego napis na granitowej płycie leżącej na stoliku ogrodowym. Od wiertarki do garażu z pustaków biegnie długi pomarańczowy przewód przedłużacza.

Podchodzę, żeby rzucić okiem. Facet ma najbardziej szorstkie dłonie, jakie kiedykolwiek widziałem. Spod czapki sterczą cienkie kosmyki włosów spadające na kark. Wyłącza wiertarkę i podnosi na mnie wzrok.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Właściwie nie. Po prostu czekam na pana Armstronga. No, to znaczy Kena Armstronga, właściciela agencji nieruchomości. Moja mama u niego pracuje. Przyglądałem się pana pracy i... ee... nigdy dotąd nie widziałem nikogo grawerującego kamień nagrobny.

– Ach tak?

Mówi to w taki sposób, że nie jestem pewien, czy mam odejść, czy powiedzieć coś jeszcze. Wskazuję głową kamienną płytę.

– Czy ten gość zmarł niedawno?

– Przed miesiącem.

– Och. – Krępująca pauza. – Był pana przyjacielem?

„Czy ja rzeczywiście to powiedziałem? Co się ze mną dzieje?”

– Nie. Dlaczego o to pytasz?

– Bez powodu. – „Odejdź. Odejdź natychmiast”. – No a co się na przykład dzieje, jeżeli zrobi pan błąd w nazwisku?

– Nie robię błędów. Coś jeszcze?

Nagle doznaję olśnienia. Pan McTavish sprowadził psy tuż po zniknięciu jego żony; zagryzły go kilka miesięcy później. Jeżeli dowiem się, kiedy zmarł, będę mógł ustalić okres pomiędzy tymi zdarzeniami, kiedy prababka Cody’ego oskarżyła McTavisha o morderstwo, i sprawdzić w „Weekly Bugle”, co dokładnie powiedziała.

Odchrząkuję.

– Czy pana rodzina wykonuje wszystkie napisy nagrobne w tej okolicy?

– Większość – odpowiada mężczyzna i wskazuje wiertarką szyld: „Zakład kamieniarski Huntleya. Założony w 1926 r.”.

– Więc pana rodzina robiłaby nagrobek dla Franka McTavisha?

Mężczyzna milczy chwilę.

– Dla kogo?

– Był farmerem, którego rozszarpały jego psy, gdzieś w latach sześćdziesiątych.

– Och, ten facet.

– Tak. Potrzebuję daty jego śmierci. Byłaby na nagrobku, prawda?

– Jasne, ale mówisz o czasach sprzed pięćdziesięciu lat. Nie przechowujemy rejestrów z tak odległej przeszłości. A już na pewno nie przechowujemy listy inskrypcji.

„Dlaczego? Co jest z tobą nie tak?”

Mężczyzna pochyła się nad płytą i bierze się z powrotem do pracy.

– Jeżeli naprawdę chcesz się tego dowiedzieć, spróbuj poszukać na cmentarzu. Przejdź dwie przecznice, skręć w prawo i dojdź do końca drogi tuż przed jeziorem. Mają tam plan, kto jest gdzie pochowany. Sprawdź jego grób.

Cmentarz. Już ruszam.

## Dwudziesty drugi

Zanim zdążam się oddalić, K.B. wjeżdża powoli swoim samochodem i wyskakuje z niego jak gliniarz w filmie kryminalnym.

– Cameron, koleżko, jak leci?

Unosi dłoń, jakby naprawdę się spodziewał, że przybiję z nim piątkę.

Witam go niedbałym machnięciem i wsadzam ręce w kieszenie.

– Chodzi o ten pakiet, który mi pan przysłał, dokumenty dotyczące farmy. Jest w nich coś dziwnego. Mama powiedziała, że może pan potrafiłby to wyjaśnić.

– Jasna sprawa.

Gestem ręki zaprasza mnie do biura agencji.

Mama rozmawia przez telefon; rzuca mi spojrzenie oznaczające: „Bądź grzeczny” i mówi bezgłośnie, samymi wargami, do K.B.: „Poproszę kawę”. On mruga, co ma znaczyć: „Jasne”, i wciska guzik w ekspresie do kawy.

– Chcesz cappuccino? – pyta mnie.

– Pewnie.

Mama unosi brew; wie, że nie cierpię kawy. Posyłam jej spojrzenie: „Nie wprawiaj mnie w zakłopotanie”.

K.B. podaje pierwszą kawę mamie, a potem oboje przekomarzają się, dopóki nasze kawy nie są gotowe. Wsypuję do mojej cztery paczuszki cukru, biorę pakiet z biurka mamy i idę za K.B. do jego prywatnego gabinetu. Jest pomalowany na beżowo, z firankami zasłaniającymi okratowane okno wychodzące na wąską uliczkę na tyłach domu. Na ścianach wiszą oprawione w ramki: jego dyplom ukończenia college’u, licencja agenta nieruchomości, liczne banalne slogany w rodzaju: „Jeżeli nie teraz, to kiedy?” oraz zdjęcia dziewczynki i chłopca w wieku mniej więcej czterech czy pięciu lat. Zatrzymuję się przed tym, na którym oboje tulą się do siebie na górnym stopniu schodków werandy i jedzą lody z rożków.

Podchodzi K.B.

– To Patrick i Kimberley.

– Pana dzieci?

Przytakuje i mówi:

– Mają teraz siedem i osiem lat. Mieszkają u ich matki, kilkaset mil stąd. Nieczęsto je widuję.

– Jesteście rozwiedzeni?

– Niemal. Zostało jeszcze do załatwienia kilka papierów. Ale tak.

Przez chwilę nie mówi jak facet z reklamy telewizyjnej, tylko jak ojciec po prostu tęskniący do swoich dzieci.

Siada w skórzanym fotelu za biurkiem i zachęca mnie gestem, żebym usiadł naprzeciwko. Dmucha na swoje cappuccino. Ja wypijam łyk i usiłuję się nie wykrzywić.

– Czekam z ciekawością na twoje pytania – zaczyna uprzejmie. – Twoja mama mówi, że stale o czymś rozmyślasz. Masz naprawdę tęgi umysł. Muszę ci się przyznać, że ja nie. Ale jesteś na tyle bystry, by samemu już to zauważyć, prawda?

Czy stara się, żebym go polubił? Czy to znaczy, że wie, że go nie lubię?

- Nie jestem aż tak bystry.
- Nie kantuj kanciarza – mówi ze śmiechem. – Na szczęście jestem dobry w handlu nieruchomościami. I co jeszcze lepsze, lubię tę pracę. Ale do rzeczy. Coś z tego, co ci przysłałem, wymaga wyjaśnienia?
- Tak. – Podaję mu pakiet. – Ze streszczenia transakcji kupna i sprzedaży wynika, że Sinclairowie nigdy nie nabyli tej farmy, a oświadczenia podatkowe są nadal wystawiane na nazwisko Franka McTavisha: faceta, który został zagryziony przez psy.
- Co takiego?
- Nie wiedział pan o tym?
- Nie. – K.B. marszczy brwi, wyjmuje dokumenty i je przegląda. – Powiedziałem Arlene, czego potrzebuję, ona sporządziła wydruki, a ja od razu wysłałem je do ciebie. – Przewraca strony tam i z powrotem. – O rany.
- Właśnie, o rany. No bo jak to w ogóle możliwe?
- Dobrze pytanie.
- K.B. odchyła się do tyłu w fotelu. Powiedział mi, żebym pytał go o wszystko, ale nie potrafi poradzić sobie już z moim pierwszym pytaniem. Widzę na jego twarzy wyraz rosnącego napięcia. To niemal wystarczy, żebym zaczął mu współczuć.
- No dobrze – mówi wreszcie – ale to tylko przypuszczenie. O ile sobie przypominam tę historię, żona McTavisha krótko przed jego śmiercią wyjechała z ich synem. McTavish w testamencie prawdopodobnie zapisałby farmę swojemu synowi.
- Ale gdyby ten syn zaginął...
- ...a McTavish nie miał żadnej innej rodziny, która mogłaby zgłosić roszczenie do spadku, farma zostałaby opuszczona. Narosłyby niezapłacone podatki i wreszcie władze okręgu przejęłyby ją, żeby spłacić długi.
- Chyba że ktoś jednak spłacił podatki – mówię. – W takim przypadku władze okręgu byłyby usatysfakcjonowane?
- Oczywiście. Nikt nie chciałby ingerować w tę sprawę, skoro był syn, który mógłby pewnego dnia wrócić.
- A więc gdyby rodzina pana Sinclaira spłaciła podatki, mogłaby użytkować tę ziemię za darmo, dopóki syn by nie powrócił.
- Twoja mama ma rację. Rzeczywiście jesteś bystry.
- Ale ten syn, Jacky, nigdy nie wrócił! – wykrzykuję; myśli napływają tak szybko, jak jestem w stanie je wypowiadać. – Jednak nikt się tym nie przejmował, ponieważ podatki były płacone, a w końcu upłynęło tyle czasu, że nikt już nie pamiętał o tej sprawie; po prostu zaakceptowano tę sytuację.
- To z pewnością możliwe.
- A czy to legalne?
- No cóż, nie jest nielegalne. Zwłaszcza gdyby McTavish wyznaczył ojca Arta Sinclaira na wykonawcę swojego testamentu: osobę, która dopilnuje jego realizacji.
- Pan Sinclair powiedział, że jego ojciec i pan McTavish byli najlepszymi przyjaciółmi.
- A więc widzisz. – K.B. bębni palcami po blacie biurka. – Ojciec Arta mógłby z łatwością twierdzić, że opiekuje się farmą, dopóki syn McTavisha nie zostanie odnaleziony. I nikt nie zmusiłby go do jej sprzedaży.
- A potem umiera ojciec pana Sinclaira, a on po prostu dalej opłaca podatki, jak od zawsze robiła jego rodzina, i czerpie zyski z farmy, za którą nigdy nie zapłacił.

W oczach K.B. pojawia się błysk. Wie, do czego zmierzam, i wie, że to oznacza kłopoty.

– Pamiętaj, Cameronie, to tylko domysł. Nawet jeśli mamy rację, pan Sinclair obecnie prawdopodobnie mógłby powołać się na prawo nabycia własności przez zasiedzenie. Na jego miejscu udałbym się do sądu i formalnie to załatwił.

– Ale istnieje możliwość, że mógłby przegrać tę sprawę. Więc może uważa, że nie warto ryzykować?

K.B. się śmieje.

– Znając Arta, bardziej prawdopodobne, że po prostu nigdy nie chciało mu się do tego zabrać. Ja w jego sytuacji potraktowałbym załatwienie tej sprawy jako priorytet. Nienawidzę niepewności.

– Ja też.

Wymieniamy spojrzenia.

– Co? – pyta z uśmiechem.

– Jak to co?

– Chcesz mnie o coś zapytać.

– Skąd pan wie?

– Ze sposobu, w jaki siedzisz.

– Jest pan całkiem domyślny.

– Zajmuję się sprzedażami – mówi, pukając się w skroń.

– No dobrze. – Przez chwilę się waham. – Jeżeli to zbyt osobiste pytanie, niech pan po prostu nie odpowie, ale... jak to jest nie widywać często swoich dzieci?

Patrzy mi prosto w oczy.

– To trochę jak umieranie. One są moimi dziećmi. Ale już nigdy więcej nie będą ze mną mieszkać. I nie uczestniczę już w ich codziennym życiu. Tworzą własne wspomnienia, których nigdy nie będę z nimi dzielił. To mnie zabija. Tak. Zabija mnie.

„Czy tata też tak za mną tęskni? Czy właśnie dlatego wciąż usiłuje mnie odszukać?”

– Jak często pan je widuje?

– Jeden weekend w miesiącu. Tydzień w święta Bożego Narodzenia. Dwa tygodnie w lecie. Nie tak jak ty i twój tata.

Zamieram.

– Jak wiele mama panu powiedziała?

To pytanie brzmi gniewnie, ale nie zamierzam, żeby tak zabrzmiało. Właściwie nie wiem, jak je zamierzam. Przecież mama tylko porozmawiała z przyjacielem. I on nie jest taki okropny, jak myślałem.

– Cameronie – mówi i mam wrażenie, jakby jego wzrok wnikał w moje myśli, jakby jego głos obejmował mnie przyjaźnią – cokolwiek dzieje się między tobą, twoją mamą i twoim tatą, to sprawa między wami. Nie mam prawa się do tego mieszać.

– Racja – mówię i czuję, że moja twarz stara się za wszelką cenę nie skrzywić w płaczliwym grymasie.

– I jeszcze jedna rzecz: Wiem, że już masz tatę i on nie jest mną, a ja nigdy nie będę nim. Ani nigdy nie będę próbował nim być. Obiecuję. Będę zawsze tylko sobą. Kenem. Możesz ze mną rozmawiać albo nie, to zależy od ciebie. Ale po prostu wiedz, że tutaj jestem.

– W porządku.

Obaj zdajemy się wiedzieć, że ta rozmowa dobiegła końca. Dziwnie się to potoczyło. Wracamy do mamy we frontowej części biura.

– Czy rozwiązaliście ten problem własności? – pyta mama.

– Rozwiązaliśmy wiele kwestii – mówi Ken.

Mama odwraca się do mnie.

– A więc, jest dziewiąta. Wrócisz tutaj w południe po pływaniu?

– Jasne – odpowiadam. O ile na cmentarzu jest basen. – Do zobaczenia.

Zarzucam na ramię plecak i wychodzę za drzwi.

– Baw się dobrze! – wołają za mną oboje.

Nie patrzę za siebie. Nie chcę wiedzieć, czy on objął ją ramieniem. Chwilowo wiem tylko, że nie będę go już nazywał K.B. Odtąd jest Kenem.

Cmentarz. Nie potrafię teraz myśleć o niczym innym.

Jak poinstruował mnie ten człowiek z zakładu kamieniarskiego Huntleya, mijam dwie przecznice, skręcam w prawo i idę w głąb ulicy, przy której stoją stare ceglane domy. Każdy ma werandę z krzakami z boku, duże okna i drzewo rosnące na posesji przy chodniku. Na kilku są cementowe poidełka dla ptaków. Kiedy mijam czwartą przecznicę, domy stają się nędzniejsze, mają powgniatany aluminiowy siding, w pęknięciach cementowych alejek rośnie trawa, a na jednej posesji stoją zardzewiałe drabinki dla dzieci. Potem mijam niewielki park.

Im dalej idę, tym mgła robi się gęstsza; to jak przedzieranie się przez warstwy pajęczyn. Wreszcie dochodzę do ostatniego skrzyżowania. Po drugiej stronie jest ogrodzenie z ostro zakończonych sztachet z kutego żelaza, a przy otwartej bramie wisi drewniana tablica z napisem: „Cmentarz w Wolf Hollow, zał. w 1794”.

Wchodzę główną aleją przez bramę w świat nagrobków. Jest ich mnóstwo. Jak kiedykolwiek zdołam odnaleźć grób pana McTavisha? Droga się rozwidła. Prawa odnoga prowadzi do niewielkiego budynku z garażem i szopą na narzędzia. W oknie domu pali się światło. Pukam do drzwi.

– Taa... proszę – dobiega głos z wewnątrz. Drzwi się otwierają i staje w nich niska, krępa kobieta w jaskrawo żółtym płaszczu przeciwdeszczowym i roboczych rękawicach. – Czym mogę ci służyć?

– Szukam grobu.

– Wobec tego trafiłeś we właściwe miejsce. – Mruga do mnie. – Jakiegoś konkretnego grobu?

– Tak, Franka McTavisha? Zmarł dawno temu.

– Pytasz mnie?

„Serio, co jest z tymi ludźmi tutaj?”.

Kobieta skinieniem zaprasza mnie do skąpo umeblowanego gabinetu oświetlonego panelem fluorescencyjnym. Są tam ścienny grzejnik, biurko z komputerem i krzesła, jakie widuje się na garażowych wyprzedażach. Na ścianie wiszą wyblakłe zdjęcia ogrodów i tęcz oraz wielki plan terenu cmentarza.

– Jean Currie – przedstawia się kobieta, ściskając mi dłoń.

– Cameron Weaver.

– I szukasz grobu Franka McTavisha. To ten mężczyzna rozszarpany przez swoje psy, prawda? Nie potrzebuję komputera, żeby go sobie przypomnieć. Te psy są częścią miejscowej legendy. – Puka w plan cmentarza. – Został pochowany razem ze swoimi rodzicami w sekcji D, kwatery 24. Pójdiesz główną aleją do drugiego rozgałęzienia. Po pewnym czasie zobaczysz po prawej stronie duży klon. Przejdiesz jeszcze kawałek pod kątem osiemdziesięciu stopni i trafiasz w środek tarczy.

Czuję się jak zagubiony szczeniaczek i pewnie tak też wyglądam.

– No dobra, sama cię zawiozę. – Pani Currie wzdycha, jakby to był jej dzień spełniania dobrych uczynków. – I tak zresztą muszę wykopać dziurę w ziemi w sekcji F. Dżentelmen

z domu spokojnej starości zmarł przedwczoraj w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat. Ponoć zjadł dobry obiad, a potem bingo! Trudno się skarżyć.

Przewijam rozmowę do tyłu.

– Kopie pani groby?

– Kopię, zajmuję się nimi.

Pani Currie prowadzi mnie do garażu i poleca mi usiąść obok siebie w niewielkiej koparce. Już po chwili jedziemy przez mgłę.

– Powinieneś przyjść w słoneczny dzień. Pięknie tu wtedy – mówi pani Currie. – W lecie turyści wpadają tutaj i robią frotaze tablic nagrobnych pionierów.

Dojeżdżamy do klonu. Pani Currie parkuje koparkę i odprowadza mnie do grobu pana McTavisha. Nagrobkiem jest zwyczajna płyta z szarego wapienia.

## **McTAVISH**

EMILY (z domu: COLE) McTAVISH  
12 marca 1899 – 24 kwietnia 1924

JEJ MAŻ  
HENRY K. McTAVISH  
18 stycznia 1893 – 16 lutego 1952

ICH SYN  
FRANK H. McTAVISH  
24 kwietnia 1924 – czerwiec 1964

Dziwne. We wszystkich datach widnieją dni, z wyjątkiem daty śmierci ojca Jacky'ego. Jeżeli znano tylko miesiąc, w którym zginął, a dnia nie, mógł być martwy już od kilku tygodni, zanim go znaleziono. Wyobrażam sobie jego zwłoki leżące na polu i wyrastające wokół nich zboże. Wyobrażam sobie, jak Sinclairowie daremnie pukają do jego drzwi i zastanawiają się, gdzie się podział. Jak uznają, że gdzieś wyjechał, i odchodzą, a on leży w odległości zaledwie kilkuset metrów, na wpół pożarty przez swoje psy. Ile z niego zostało, zanim go znaleziono?

– Dobrze się czujesz? – pyta pani Currie.

– Tak, jasne – odpowiadam, choć wcale nie czuję się dobrze. – Po prostu coś zauważyłem: matka pana McTavisha zmarła w dniu, w którym się urodził.

Pani Currie spogląda na daty.

– A niech to! Jesteś spostrzegawczy. Widocznie umarła przy porodzie. W tamtych czasach to się często zdarzało.

– I nie ma tu nazwiska żadnej drugiej żony, więc wygląda na to, że jego ojciec nie ożenił się powtórnie. Nie miał żadnej innej rodziny?

– Nie potrafię powiedzieć. W tej kwaterze jest miejsce dla sześciu osób, a leży ich tylko troje. – Pani Currie milknie na chwilę. – Nie chcę cię poganiać, dzieciaku, ale muszę zabrać się do kopania. Trafisz sam z powrotem?

– Tak, dzięki. Wrócę odgałęzieniem do głównej alei.

– Właśnie o to chodzi. – Zawraca do koparki. – Cześć, na razie, pozdrów Kazię.

– I Robin Hooda, jak się uda – odpowiadam; ostatnio mówiłem tak do babci, gdy miałem pięć czy sześć lat.

Pani Currie odjeżdża w mgłę. Klękam przed płytą nagrobną i wciąż na nowo odczytuję inskrypcję ojca Jacky’ego. Urodził się w roku 1924, zmarł w 1964. Czyli miał czterdzieści lat. Był w wieku mojego taty. To mógłby być grób taty.

Kładę dłoń na zimnym kamieniu i zamykam oczy. Widzę zdjęcie, które tata dał mi podczas naszego ostatniego spotkania: to, na którym jesteśmy obaj na plaży; to, które ukrywam za fotografią w ramce na moim nocnym stoliku, przedstawiającą mamę i dziadków. Czy tata nadal wygląda tak jak wtedy? Czy zastanawia się, jak ja wyglądam? A jeśli umrze i już nigdy go nie zobaczę?

Wyczuwam coś za plecami. Odwracam głowę. Poprzez mgłę widzę wielkiego szarego psa, który patrzy na mnie zza jakiegoś nagrobka.

„Czego on chce?”

Nie wariuj. To tylko pies. Zwykły pies.

„Czyżby?”

Pies ma lodowato niebieskie ślepią. Wpieram się plecami w płytę nagrobną pana McTavisha. Pies znika we mgle. Nadal klęczę przy płycie jak sparaliżowany, chyba przez wieki. Widzę tylko nagrobki, posągi aniołów i krzyże. W końcu wstaję powoli i ruszam w kierunku kłonu rosnącego na prawo od rozwidlenia drogi.

„Coś za mną idzie. Coś czai się za kamiennymi płytami”.

Podążam odgałęzieniem do głównej alei. Nagle ten pies znów się pojawia, tym razem tuż przede mną, zagradza mi drogę.

– Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

Pies warczy. Nie ma tu nikogo, kto mógłby mi pomóc. Myślę o tym, co spotkało pana McTavisha. I wtedy słyszę z oddali głos:

– Nie bój się. On ci nie zrobi krzywdy. Nie pozwolę mu.

Pies ucieka.

– Jacky? – szepczę. – Jesteś tutaj?

– Nie, na farmie. Nie opuściłem farmy od wyjazdu matki. Mówiłem ci.

Zamykam oczy. Spodziewam się, że ujrzę go w wyobraźni na stryszku stodoły albo w lesie. Ale widzę tylko straszną ciemność. Czy to dlatego, że on nie istnieje nigdzie oprócz mojego umysłu? Nie, jest zbyt realny; musi gdzieś być. Ogarnia mnie lęk.

– Jacky, gdzie jesteś? Dlaczego nie mogę cię zobaczyć?

– Bo nie.

Jego głos brzmi teraz dziwnie, jakby Jacky się uśmiechał; tylko że z jakiegokolwiek powodu się uśmiecha, nie jest to zabawne.

– Co się stało?

– Nic – odpowiada Jacky śpiewnym tonem. – Po prostu jestem w moim szczególnym miejscu. Tutaj nikt nie potrafi mnie zobaczyć. Nikt.

– Co to za szczególne miejsce? Gdzie ono jest?

– Zapytaj Arty’ego. On wie. Tylko on jeden.

– Nie. Pytam ciebie! Jeżeli jesteś moim przyjacielem, odpowiedz mi.

Jacky się nie odzywa. Dlaczego? Czy się boi? Igra ze mną?

Skupiam się. Gdzie jest tak ciemno, że nie można nic zobaczyć? W komórce na węgiel, w której znalazłem jego rysunki? W jakimś miejscu, w którym bawili się on i pan Sinclair? Nie



w stodole; tam przez szczeliny wpada dzieńne światło. A może gdzieś w lesie?

– Jacky, czy w pobliżu tych głazów jest jakaś jaskinia? Jakaś podziemna kryjówka? Czy to twoje sekretne miejsce?

Tuż obok mnie trzaska gałązka. Kto to? Co to? Nie czekam, żeby się przekonać.  
Uciekam.

## Dwudziesty czwarty

Błyskawicznie docieram na Main Street. Na ulicy jest pełno ludzi i samochodów. Wszystko wygląda zwyczajnie, przynajmniej dla każdego oprócz mnie. Nie usnę, póki się nie dowiem, co się stało z Jackym.

Spoglądam na zegarek. Jest dziesiąta. Pora udać się do redakcji „Weekly Bugle”, zanim w południe spotkam się z mamą na lunchu. Teraz, kiedy wiem, że pan McTavish zmarł w czerwcu 1964 roku, mogę poprosić, żeby przyniesiono mi z archiwum określone numery tygodnika. Przedział od marca do czerwca powinien objąć okres, kiedy Jacky i jego matka zniknęli, a prababka Cody’ego oskarżyła pana McTavisha o morderstwo.

Redakcja „Weekly Bugle” mieści się w starym kamiennym budynku z łukowatymi oknami. Kiedy wchodzę, dźwięczy dzwonek u góry drzwi. Na wprost mnie znajduje się kontuar oddzielający szerokie przejście z przepierzeniami gabinetów po obu stronach, a za nimi prasa drukarska i ciężkie regały ze stertami bel papieru gazetowego.

– Halo? Jest tu kto?

– Załatwisz to? – krzyczy ktoś z gabinetu po lewej.

– Jestem zajęty, Gus! – odkrzykuje ktoś inny po prawej.

– Ty zawsze jesteś zajęty – mówi zrzędliwie Gus i wlecz się do kontuaru. – O co chodzi?

Gus jest krępy i niezgrabny, ma guzowaty nos, wydatny brzuch wylewający się poza pasek workowatych spodni i koszulę z podwiniętymi rękawami. Jego ręce wyglądają jak wielkie włochate kiełbaski. Nawet kłykcie są porośnięte włoskami. Można by z tego owłosienia robić peruki.

– Pracuję nad szkolnym zadaniem z historii. Proszę, czy mógłbym przejrzeć kilka starych numerów tygodnika w waszym archiwum?

Gus patrzy na mnie, jakbym się urwał z choinki.

– W naszym archiwum?

– Tak, proszę. Chciałbym przejrzeć numery od marca do czerwca 1964 roku.

– Czy to miejsce wygląda na czytelną?

Słucham? Traktuje mnie opryskliwie gość przypominający cyrkowego klauna?

Posyłam mu fałszywy szeroki uśmiech, którego używam, kiedy chcę doprowadzić mamę do szału.

– Nie, proszę pana. Sądziłem, że to redakcja „Weekly Bugle”. I sądziłem, że redakcja „Weekly Bugle” może posiadać egzemplarze czasopisma „Weekly Bugle”. Sądziłem, że redakcja „Weekly Bugle” wydaje czasopismo „Weekly Bugle”. A może się myliłem?

Gus piorunuje mnie wzrokiem, jakby przeze mnie jeszcze bardziej dokuczał mu kac.

– Są przechowywane w miejskiej bibliotece.

Bibliotekarka odnosi się do mnie o wiele uprzejmiej, może dlatego, że jestem pierwszą osobą, jaką widzi od kilku dni. Prowadzi mnie do pomieszczenia na tyłach, które nazywa „Salą »Weekly Bugle«”. Wygląda ono praktycznie jak jeden wielki segregator sięgający od podłogi do sufitu. Numery czasopisma z kolejnych miesięcy są oprawione w drewniane ramki i wiszą rzędami wokoło na ścianach. W centrum pokoju stoi wielki orzechowy stół,

a po jego bokach dwa drewniane krzesła.

Pani Browning – takie nazwisko ma na plakietce – znajduje w ciągu mniej więcej dziesięciu sekund to, czego szukam.

– Przeglądaj te czasopisma tyle czasu, ile potrzebujesz – mówi pogodnie i zerka na mój plecak. – Tylko jedno przyjazne przypomnienie: do biblioteki nie można wносить żadnego jedzenia ani picia; i proszę, wyłącz telefon komórkowy, dziękuję.

Demonstracyjnie wyłączam komórkę i wkładam ją do mojego plecaka, w którym nie ma jedzenia ani napojów. Pani Browning wychodzi lekkim krokiem, zostawiając otwarte drzwi. Nie jestem pewien, czy dlatego, aby wpuścić powietrze, żebym się nie udusił, czy po to, by mieć na mnie oko. Nieważne. Liczy się tylko to morderstwo.

Dawniej, w latach sześćdziesiątych, numery czasopisma liczyły sobie tylko po dwanaście stron. Ale mając do przejścia cotygodniowe wydania od marca do czerwca, muszę przebrnąć przez prawie dwieście stron. Staram się zachować koncentrację, jednak nie jest to łatwe. Na przykład była tam totalnie dziwaczna rubryka, której dziś już nie ma, zatytułowana „Mówi się...”, poświęcona temu, kto przybył do miasteczka, aby odwiedzić krewnych, wyglądająca tak: „Mówi się, że pani Grace McKinnon pada w sobotę 7 marca na obiad pieczeń wołową, goszcząc swojego brata pana Clyde’a Waterstona, szwagierkę panią Bess Waterston oraz bratanicę i bratanikę Wilnę, Bonnie i Freda Waterstonów, mieszkających dawniej w Wolf Hollow, a obecnie w Spruce Grove w stanie Iowa. Zostaw trochę dla nas, Grace”.

Są też ogłoszenia. Apteka zapowiada wyprzedaż pomady Brylcreem i innych mazideł do włosów, dom towarowy Kresge oferuje dwa pierścienie do hula-hoop w cenie jednego, a firma Co-op ma na sprzedaż niewiarygodnie wspaniałe traktory.

Po trwającym wiecznie przeglądaniu kilku pierwszych numerów zmuszam siebie do poprzestania na nagłówkach. Przeważnie oznajmiają wydarzenia w rodzaju: „Wrotkarnia zostanie otwarta pod koniec kwietnia”, ale na ostatniej stronie numeru z trzeciego tygodnia marca trafiam na taki, na którego widok wytrzeszczam oczy.

### **Zgłoszono zaginięcie miejscowego mieszkańca**

Pani Hannah Murphy poinformowała o zaginięciu jej kuzyna, pana Matthew Frasera. „Matthew zniknął przed dwoma tygodniami – powiedziała tygodnikowi „Weekly Bugle”. – Szef policji Cole nie zrobił niczego w tej sprawie”.

Szef policji odparł ten gołosłowny zarzut. „Skontaktowaliśmy się z byłym pracodawcą pana Frasera w firmie instalacji wodno-kanalizacyjnych w Wolf Hollow – oświadczył naszemu tygodnikowi. – Pan Fraser powiadomił pracodawcę, że wyjedzie z miasta. Szkoda, że nie poinformował kuzynki o swojej decyzji. Jednakże nie ma żadnego powodu podejrzewać, że grozi mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo”.

O rany. Pani Murphy! To musi być prababka Cody’ego Murphy’ego! Trafiłem na coś!

W następnym numerze znajduje się zdjęcie pani Hannah Murphy stojącej na skrzynce do jajek przed komisariatem policji. Krzyczy przez megafon i trzyma w górze plakat z napisem: „Sprawiedliwość dla Matthew Frasera”. Wygląda na oszalałą, tak samo jak Cody, kiedy okładał mnie pięściami, i podobnie jak on ma kwadratową szczękę i guzy po obu stronach czoła. Pod zdjęciem zamieszczono artykuł:

## Oskarżenia doprowadziły do aresztowania

Pani Hannah Murphy została aresztowana w sobotę 28 marca przed komisariatem policji w Wolf Hollow i oskarżona o zakłócanie porządku publicznego. Domagała się podjęcia działania w sprawie swojego kuzyna pana Matthew Frasera, który wyjechał z miasta przed ponad trzema tygodniami.

Przemawiając przez megafon na frontowych schodach komisariatu policji, pani Murphy oskarżyła pana Franka McTavisha, farmera zamieszkałego przy ulicy Concession 4, o to, że jest zamieszany w – jak to ujęła – zniknięcie jej kuzyna.

„Żona i syn McTavisha też zaginęli – twierdziła. – Co on z nimi zrobił?”

Po osadzeniu pani Murphy w areszcie, szef policji Andy Cole oznajmił tłumowi, że nie zgłoszono zaginięcia ani pani McTavish, ani jej syna. Przypomniawszy zgromadzonym ludziom, że pan Fraser opuścił przed kilkoma tygodniami miasto z własnej woli.

Mąż pani Murphy, pan Reg Murphy, nie wiedział o proteście żony i jej aresztowaniu, dopóki nie skontaktowała się z nim policja. Po tym, jak spotkał się z szefem policji Cole'em, odstąpiono od oskarżenia jego żony.

„Od kiedy Matthew wyjechał z miasta, Hannah nie jest sobą – powiedział tygodnikowi „Weekly Bugle”. – Wyczekujemy niecierpliwie wiadomości od Matthew i prosimy, by uszanowano prywatność naszej rodziny”.

W następnym numerze tygodnika napisano o tej sprawie na drugiej stronie.

## Policja przeprowadza inspekcję na farmie McTavisha

W miniony czwartek po południu szef policji Andy Cole wraz z drugim funkcjonariuszem złożyli wizytę na farmie pana Franka McTavisha przy ulicy Concession 4.

„Nie mieliśmy żadnych powodów do niepokoju – oświadczył szef policji Cole – ale przeprowadziliśmy oględziny, aby uspokoić wszystkich, którzy mogą żywić wątpliwości w związku z incydentem, do jakiego doszło w ubiegłym tygodniu przed komisariatem. Pan McTavish przyjął nas uprzejmie na swojej farmie. Poinformował, że jego żona pani Evelyn McTavish i ich dziesięcioletni syn Jacky wyjechali przed trzema tygodniami z tej okolicy. Powiedział, że nie zgłosił oficjalnie zaginięcia, gdyż nie uważa ich za zaginionych”.

Po przeprowadzeniu przez policjantów inspekcji terenu posiadłości pan McTavish wręczył im list, który jego żona przysłała mu pocztą w okresie jej rzekomego zniknięcia, ostemplowany w Ramsay.

„Pani McTavish napisała, że ona i jej syn podróżują w towarzystwie pana Matthew Frasera – powiedział szef policji Cole. – Ze względu na nieporozumienia między nią a jej mężem nie życzy sobie ujawnić swojego miejsca pobytu. Za zgodą jej męża uszanujemy tę decyzję”.

Pan McTavish oznajmił tygodnikowi „Weekly Bugle”, że jest zmartwiony tym niefortunnym krokiem swojej żony, ale nie wystąpi o rozwód, gdyż ma nadzieję, iż być może pewnego dnia oboje się pogodzą.

„Co do mojego syna, to nieustannie o nim myślę – powiedział – ale uważam, że ze względu na jego dobro lepiej, aby był z matką. Nie wątpię, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, skontaktuje się ze mną. Do tego czasu, biorąc pod uwagę ciężar obowiązku utrzymania

farmy, nie mam czasu ani pieniędzy, by próbować zmusić go do powrotu ani samemu wychowywać”.

Tygodnik „Weekly Bugle” zwrócił się też do pana Iana Sinclaira, sąsiada rodziny McTavishów. „W każdym małżeństwie zdarzają się lepsze i gorsze okresy. McTavishowie są naszymi dobrymi przyjaciółmi i życzymy im jak najlepiej” – powiedział tylko, odmawiając dalszych komentarzy.

Policja uznaje wyjazd z miasta pani McTavish i jej syna za prywatną sprawę tej rodziny.

W głowie mi wiruje. Jeżeli pan McTavish zamordował żonę, Matthew Frasera i Jacky’ego, musiałby pozbyć się ciał. Najbezpieczniejszym miejscem na to byłaby farma. Wszędzie indziej ryzykowałby, że zostałyby przyłapany podczas przenoszenia zwłok; istniałoby też ryzyko, że ktoś przypadkiem natrafi na nie – tak czy inaczej, do dziś zostałyby już odnalezione. Ale jeśli pogrzebał je na farmie, dlaczego policjanci nie zauważyli śladów kopania?

Może więc wszyscy mają rację. Może pan McTavish rzeczywiście nie zabił tych trojga. Może jego żona po prostu uciekła razem z Jackym, tak jak moja mama uciekła ze mną. Przecież napisała ten list.

„Ale dlaczego Jacky miałby mówić, że matka go zostawiła? Dlaczego miałby kłamać?”.

Zaczynam się pocić. Może nie ma żadnego Jacky’ego. Może jest tylko wytworem mojego umysłu. Wracam do przedzierania się przez stronicę „Weekly Bugle”. W następnych dwóch numerach nie ma niczego o tej sprawie. Zabieram się do przejrzania numeru z ostatniego tygodnia kwietnia.

### **Hannah Murphy oskarżona o wkroczenie na teren prywatny i o napaść na funkcjonariusza policji**

W zeszłą środę rano pan Frank McTavish zadzwonił na policję i złożył doniesienie o wtargnięciu intruza na jego farmę.

Po przybyciu na miejsce policjant Angus Stebbing zastał panią Hannah Murphy na tyłach posiadłości, trzymającą w rękach łopatę. Kiedy próbował ją odebrać, pani Murphy go uderzyła. Została oskarżona o wkroczenie na teren prywatny i napaść na funkcjonariusza policji.

Pani Murphy powiedziała tygodnikowi „Weekly Bugle”, że poszła na farmę McTavisha, żeby odszukać zwłoki pana Matthew Frasera, pani Evelyn McTavish i jej syna Jacky’ego.

„Przez ostatnich sześć miesięcy Evelyn spotykała się z Matthew i nie obchodzi mnie, kto o tym wie – oświadczyła. – On planował uratować ją od tego życia w piekle, ale coś się stało. Matthew i ja nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Skontaktowałby się ze mną. Niewątpliwie nie żyje. Wszyscy troje nie żyją”.

W oficjalnym oświadczeniu szef policji Cole potwierdził ponownie, że farmę McTavisha przeszukano i nie natrafiono na nic, co wskazywałoby na popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa. „Pani McTavish, jej syn i pan Fraser podróżują razem i mają do tego pełne prawo. Sprawa jest zamknięta”.

Wczoraj wieczorem pani Murphy została wysłana przez męża do okręgowego sanatorium w Wolf Hollow i obecnie tam wypoczywa.

Ale w następnym numerze „Weekly Bugle” zaczęło się robić ciekawiej. Były w nim dwa artykuły dotyczące tej sprawy.

### **Odnaleziono samochód Frasera**

Policja znalazła samochód pana Matthew Frasera – mężczyzny, który jak się sądzi, wyjechał z miasta przed sześcioma tygodniami z panią Evelyn McTavish i jej synem Jackym. Pojazd, pontiac z 1948 roku, znaleziony został w pobliżu Ramsay. Był zaparkowany na Elm Street, w odległości przecznicy od dworca autobusowego. Stempel pocztowy z Ramsay był na kopercie listu pani McTavish do jej męża.

„Samochód pana Frasera został odstawiony na parking policyjny. Pan Fraser ma miesiąc na zgłoszenie się po niego. Jeżeli tego nie uczyni, pojazd zostanie sprzedany na złom – powiedział szef policji Cole. – Uważamy, że pan Fraser zawiózł obydwój swoich towarzyszy do Ramsay, aby zapobiec rozpoznaniu ich w Wolf Hollow. Z Ramsay wszyscy troje pojechali dalej autobusem w nieznanym kierunku”.

Agent sprzedający bilety autobusowe, pan Harold Robinson, poinformował, że mógł widzieć tych troje, chociaż nie może być tego pewny, jeśli wziąć pod uwagę, jak wielu ludzi w ciągu minionych sześciu tygodni przejechało przez Ramsay w odwiedziny do swoich przyjaciół i krewnych.

Drugi artykuł jest opatrzony przerażającym zdjęciem pana McTavisha stojącego przed swoim domem z kilkunastoma psami stróżującymi.

### **Farmer kupuje psy dla własnej ochrony**

Tygodnik „Weekly Bugle” rozmawiał w piątek po południu z panem Frankiem McTavishem na jego farmie przy ulicy Concession 4. Pan McTavish był ostatnio obiektem oskarżeń ze strony pani Hannah Murphy, która przebywa obecnie na obserwacji w okręgowym sanatorium w Wolf Hollow.

„Jestem na skraju załamania nerwowego – oświadczył. – Żona zabrała mi syna. Jakby nie dość było tego, jestem nękaną przez szaloną kobietę, która rzucała na mnie oszczerstwa i wtargnęła na teren mojej posiadłości. Musiałem sprowadzić te psy, aby mieć pewność, że będzie się trzymała z dala od tej farmy”.

Kiedy zapytaliśmy pana McTavisha, co wie o panu Matthew Fraserze, mężczyźnie, który aktualnie podróżuje z jego żoną i synem, użył słów nienadających się do wydrukowania w czasopiśmie przeznaczonym dla rodzin. „Matthew Fraser jeździ po kraju z żoną innego mężczyzny, a jego kuzynka Hannah Murphy dziwi się, dlaczego do niej nie zadzwonił. Ależ on nie ma wstydu, jakim Bóg obdarzył nawet małpy”.

Na wypadek gdyby jego żona czytała tygodnik „Weekly Bugle”, pan McTavish pragnie ją powiadomić, że jeśli do niego wróci, wszystko zostanie jej wybaczone – i że kocha swojego syna Jacky’ego i tęskni za nim. „A tymczasem te psy są moją pociechą i obroną”.

Przez resztę maja i czerwiec nie ma żadnej wzmianki o tej sprawie. Ale w numerze z początku lipca znajduję na pierwszej stronie nagłówek i artykuł.

## Frank McTavish zabity przez psy

Frank McTavish zamieszkały przy ulicy Concession 4 został zabity przez swoje psy. Jego ciało znaleziono w środe. Biuro koronera okręgowego uważa, że zginął w ubiegłym tygodniu.

Zwłoki zidentyfikował pan Ian Sinclair, sąsiad pana McTavisha. „Nie było wiele do zidentyfikowania – powiedział tygodnikowi „Weekly Bugle” – ale rozpoznałem to, co zostało z koszuli Franka. Odkąd opuścili go żona i syn, Frank trzymał się na uboczu. Zaniepokoił się, kiedy nasz syn Arty zapytał, dlaczego od jakiegoś czasu krowy Franka nie są wyprowadzane z obory”.

„Zadzwonilibyśmy do niego – oświadczyła pani Sinclair – ale Frank kazał odłączyć linię telefoniczną z powodu wszystkich tych maniaków, którzy do niego wydzwaniali. A nikt nie mógł wejść na teren jego posiadłości, odkąd miał te psy”.

Sinclairowie skontaktowali się z policją, kiedy psy próbowały zaatakować ich syna w lesie rosnącym na tyłach ich farmy.

Po przybyciu na miejsce policjanci uśmiercili całe stado psów. Ciało pana McTavisha znaleziono wewnątrz jego domu. Przypuszcza się, że psy zagryzły go, kiedy otworzył drzwi, żeby wyjść na dwór.

Pan Sinclair, wyznaczony w testamencie zarządcą nieruchomości pana McTavisha, usiłuje ustalić miejsce pobytu wdowy po nieboszczyku, pani Evelyn McTavish, i ich dziecka Jacky’ego, którzy w marcu wyjechali z tej okolicy.

Pani Hannah Murphy, której kuzyn, jak się sądzi, podróżuje z panią McTavish, pozostaje w okręgowym sanatorium i nie można się z nią skontaktować, by uzyskać od niej komentarz na temat tej sprawy.

„Biedny Frank – powiedział pan Sinclair. – Wziął psy, żeby go chronić, ale nic nie zdołało go ochronić przed nimi”.

Kto by pomyślał, że stare gazety mogą być takie interesujące? O rany. To znaczy... o rany!! Dałbym wszystko, żeby móc porozmawiać z prababką Cody'ego, ale ona przebywa w domu spokojnej starości. Jak mógłbym się z nią zobaczyć, nie pakując się w kłopoty?

A skoro mowa o kłopotach, to która godzina? Zerkam na zegarek. Druga. Już nie żyję. Szperam w plecaku. Mama zostawiła na mojej komórce kilkanaście wiadomości: 12.15 – „Co cię zatrzymało?”; 12.30 – „Gdzie jesteś?”; 12.35 – „Zadzwoń do mnie”; 12.45 – „Nie ma cię w centrum rekreacyjnym”; 13.00 – „Narozrabiał pan”; 13.05 – „Proszę, Cameronie, zadzwoń. Niepokoję się”.

Wykluczone, żebym mógł tylko napisać esemes. Wybiegam pędem na dwór i dzwonię do niej.

– Cameronie!

– Wiem, wiem, wiem, wiem. Byłem w bibliotece. Musiałem tam wyłączyć komórkę. Zasiedziałem się. Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

– W bibliotece? A dlaczego nie poszedłeś do centrum rekreacyjnego?

– Zbierałem informacje. Straciłem poczucie czasu. Przykro mi, że zrujnowałem twój lunch.

– Myślisz, że mogłabym jeść? Umierałam z niepokoju. Nadal jesteś w bibliotece?

– Tak.

– Zaraz tam przyjadę.

Gospoda Pod Sękatą Sosną to ekskluzywna garkuchnia. W zasadzie podają tam tylko jajka na śniadanie oraz hamburgery i specjalności dnia na lunch i obiad, ale mają bawełniane obrusy w kratę i menu w okładkach ze sztucznej skóry. Mama i ja siadamy w połowie sali w boksie, w którym są czerwone plastikowe pokrycia krzeseł i stosunkowo czysty dozownik z keczupem.

Wiem, że mama stara się nad sobą panować, bo wciąż na mnie nie nawrzeszczała. Zarazem jednak zachowuje się o wiele zbyt cicho, żebym mógł się poczuć swobodnie. Właściwie nie odezwała się ani słowem, tylko słucha moich nieustannych przeprosin.

Zamawia specjalność dnia – kanapkę z kurczakiem i sałata, do której podają frytki i colę. Ja zamawiam cheesburgera z krążkami cebuli. Mama jak zwykle oddaje mi swoją colę i połowę frytek.

– A więc – mówi, kiedy kelnerka się oddaliła – jakie informacje zbierałeś w bibliotece?

– Musiałem przejrzeć materiały do mojej rozprawki z historii.

Mama wypija łyk wody i odstawia szklankę dokładnie w ten sam mokry pierścień na blacie, z którego przed chwilą ją wzięła; nie jest zbyt dobra w zachowywaniu się swobodnie.

– Wiem, że interesuje cię kwestia własności tej farmy – mówi ostrożnie. – Chyba nie zbierałeś informacji o Sinclairach, prawda?

– Właściwie nie.

– Co to znaczy: „Właściwie nie”?

Obracam w palcach szklankę wte i wewte.

– Nazwisko Sinclairów pojawiło się w kilku artykułach, ale raczej przypadkowo.



Mama nie daje się na to nabrać.

– Pan Sinclair jest właścicielem domu, w którym mieszkamy. To nie nasza sprawa, w jaki sposób wszedł w posiadanie tej farmy. – Patrzy na mnie, jakby oczekiwała, że znowu powiem przepraszam. Nie mówię. – Nie zamierzasz umieścić żadnej z tych informacji w swojej rozprawce, prawda?

– Chyba nie.

– Cameronie, przyrzeknij mi, że nie powiesz ani nie napiszesz niczego o panu Sinclairze – mówi, po czym rozpoczyna swoją przemowę na temat „charakteru”, w której udaje się jej zmieścić to, dlaczego nie wolno mi sypnąć Sinclairów, a także to, że muszę zawsze być tam, gdzie mówię, że będę, i to w porę.

Ta przemowa jest pełna słów takich jak zaufanie, szacunek, prywatność, lojalność, prawość i odpowiedzialność, ale ja słyszę głównie bla bla bla.

I to mi odpowiada, ponieważ dopóki pamiętam, żeby przytakiwać i mieć poważną minę, mogę się schronić we własnej głowie i rozmyślać o ważniejszych kwestiach, na przykład czy w sprawie tych morderstw mam wierzyć szefowi policji Cole’owi, czy prababce Cody’ego.

Szef Cole prawdopodobnie miał rację. Matthew Fraser poinformował swego pracodawcę, że opuszcza miasteczko, a ponieważ pani McTavish miała już dosyć swojego pełnego przemocy małżeństwa, zrozumiała, że nie powiedziała, dokąd wyjeżdża z dzieckiem. Poza tym prababka Cody’ego wygląda na pomyloną.

„Zaraz, nie tak szybko. Walnięcie gliniarza rzeczywiście było czymś szaleńczym. Ale gdybym myślał, że jakiś mój kuzyn został zamordowany, czy nie zrobiłbym wszystkiego, żeby poznać prawdę? I czy to też nie wyglądałoby na wariactwo?”

No tak, ale co z tym listem pani McTavish, w którym napisała, że wyjeżdża z Jackym?

„Jak to co? Pan McTavish mógł ją zmusić, żeby go napisała. Mógł jej powiedzieć, że ją zabije, jeśli tego nie zrobi”.

Czy nie domyśliłaby się, że tak czy owak ją zabije?

„Gdyby ktoś przystawił mi do głowy rewolwer, zrobiłbym wszystko, co zechce, żeby zyskać na czasie. Zresztą, może bił ją, póki nie napisała tego listu, albo zagroził, że zabije również Jacky’ego. Gdyby tata groził, że mnie zamorduje, mama zrobiłaby wszystko”.

No dobrze, więc ona pisze ten list, a kiedy Matthew Fraser przychodzi po nią i Jacky’ego, pan McTavish zabija wszystkich troje.

„Właśnie. Potem czeka do nocy i jedzie samochodem pana Frasera do Ramsay. Tam zostawia go w pobliżu dworca autobusowego, wysyła list i wraca pieszo. Dotarłby do domu przed wschodem słońca. A kiedy ten samochód zostaje odnaleziony – no cóż, to przecież rzeź z 1948 roku; wszyscy myślą, że tamci troje porzucili go i odjechali autobusem w siną dal”.

Ale pan McTavish nadal miałby u siebie trupy. Gdyby wyniósł je z farmy, do dziś prawdopodobnie już by je odnaleziono. A gliniarze przeszukali teren posiadłości i oznajmili, że nie znaleźli żadnych śladów kopania; poza tym w marcu przypuszczalnie grunt był jeszcze zamrznięty. Więc gdzie ukrył te ciała? I co z Jackym? On mówi, że matka wyjechała bez niego i że Arty widział go po jej wyjeździe.

„Może więc pan McTavish zamordował tylko jego matkę i pana Frasera, a Jacky’ego zostawił przy życiu”.

Ale jeśli Jacky żył, dlaczego nie znaleziono go po tym, jak psy zagryzły jego ojca? Nawet gdyby te psy dopadły też Jacky’ego, zostałyby jakieś kości, prawda? A przynajmniej ta czapka

Davy'ego Crocketta.

- Cameronie - mówi mama - z kim rozmawiasz?

Kelnerka stawia na stole nasze jedzenie.

- Proszę. Życzę smacznego.

- Dziękuję - odpowiada mama, nie odrywając wzroku ode mnie. Kelnerka znika. - Mówiłam do ciebie, Cameronie - ciągnie opanowanym, poważnym tonem. - Nagle twoje usta zaczęły się poruszać tak, jak dyskutowaliśmy o tym przed kilkoma dniami. Gdzie byłeś? Z kim rozmawiałeś?

- Z nikim. I byłem tutaj. Słuchałem cię. Mówiłaś o prawości i odpowiedzialności.

- O czym jeszcze?

- O punktualności?

Mama patrzy na mnie tak, jakby była nauczycielką, a ja właśnie oblałbym test i czułaby się bardzo rozczarowana.

- Mówiłeś do pana Sinclaira, tak?

- Nie.

- Pytałeś go, jak wszedł w posiadanie farmy.

- To nie było wcale o nim.

- Więc o czym?

- Będziesz się wściekać.

- Nie będę.

„Będzie”.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - mówi mama i mocno przyciska dłonie do blatu, żeby móc skoncentrować się na tym, by się nie zdenerwować.

- No dobrze. Ale pamiętaj, co mówiłaś o zaufaniu. - Biorę głęboki wdech. - Znasz tamtego chłopaka, który mnie uderzył?

- Prowadziłeś rozmowę z nim?!

- Nie. Jego prababka myśli, że mężczyzna, który niegdyś był właścicielem farmy, na której mieszkamy, ten człowiek, którego zagryzły jego własne psy... więc ona myśli, że on zamordował żonę, syna i kochanka żony. Pytałem samego siebie o takie rzeczy jak to, czy zmusił żonę do napisania listu, zanim ją zabił, i gdzie zakopał ciała.

Mama patrzy na mnie jak na Marsjanina.

- Obiecałaś, że się nie wściekniesz.

- Nie wściekam się. - Wbija palce w blat stołu tak mocno, że bieleją jej paznokcie. - Ale wiesz, że to niezdrowe, prawda?

- Masz na myśli, że chore?

- No tak, chore. Bierzesz jakąś starą historię i zamiast obrócić ją w żart, co byłoby normalne, zachowujesz się, jakby była realna, wyobrażasz sobie przemoc i grozę, zamiast cieszyć się smacznym lunchem tu i teraz. To niepokojące, Cameronie.

Walę dłonią w stół.

- Widzisz, właśnie dlatego nigdy ci nie mówię o różnych sprawach. Obiecujesz, że się nie wkurzysz, a potem to robisz. To nie moja wina, że wyobrażam sobie rozmaite rzeczy albo mówię do siebie. Gdybym próbował zatrzymać to wszystko w mojej głowie, eksplodowałbym.

- Cameronie - mówi mama cicho - proszę, zniż głos. Kobieta dwa stoliki za tobą przygląda

ci się.

Odwracam się.

– Hej, czy mówiłem do pani?

Kobieta kuli się nad swoją kawą, jakby się bała, że zaatakuję ją łyżeczką czy coś w tym stylu.

– Przepraszam, on nie zamierzał tak powiedzieć – mówi mama, po czym skupia uwagę z powrotem na mnie. – Cameronie, musimy przeprowadzić poważną rozmowę, ale nie tutaj, nie teraz. Dokończ swojego hamburgera. Ja muszę wrócić do biura. Spotkamy się o piątej. Nie spóźnij się.

Jestem w biurze za dziesięć piąta. Mama kończy pracę, żegnamy się z Kenem i wyruszamy w drogę powrotną do domu. Przepraszam ją za moje zachowanie w restauracji, zwłaszcza za to, że byłem niegrzeczny wobec tamtej kobiety, a mama odpowiada: „w porządku, ale nie pozwól, żeby to się powtórzyło”. Potem uśmiecha się i mówi, że cieszy się, iż zbierałem dane do mojej rozprawki.

– Naprawdę wykazałeś inicjatywę, tylko następnym razem pilnuj zegarka.

Uśmiecham się, kiwam głową i coś mówię, ale głównie staram się nie myśleć o cmentarzu. Wciąż widzę tamtego psa wyłaniającego się z mgły i zastanawiam się nad mroczną, sekretną kryjówką Jacky’ego. I tak przez resztę dnia. Ale to i tak lepsze niż to, co się dzieje, kiedy zasypiam. Tej nocy senny koszmar jest wyjątkowo realny.

Śni mi się, że się budzę i ktoś jest w moim pokoju.

„Kto tam?”

„Sza. W porządku, stary. To tylko ja”.

Tata. Siadam w łóżku sztywno wyprostowany.

„Tato, co ty tu robisz?”

„Mieszkam tutaj”.

„Czy mama wie?”

„Twoja mama odeszła”.

„Odeszła? Dokąd?”

„Zgadnij. – Zapada cisza, w której słyszeć tylko jego oddech. – Mam dla ciebie niespodziankę”.

„Jaką niespodziankę?”

„Zobaczysz. – Teraz głos taty dobiega z korytarza. – Idź za mną, Jacky”.

„Nie jestem Jacky. Jestem Cameron”.

„Jak sobie chcesz, synu”.

Na nocnym stoliku stoi świeca. Zapalam ją. Wokół pokoju skaczą cienie. Nic tutaj nie jest moje. Do ścian i sufitu są przyklejone taśmą rysunki psów. Coś łaskocze mnie w lewe ucho. Ogon czapki z futra szopa, którą mam na głowie.

„Tędy! – woła tata”.

Biorę świecę i wchodzę w korytarz. Jest długi i ciemny.

„Tędy. Nie bój się, stary. Nie zrobię ci krzywdy”.

Podążam za głosem taty w głąb korytarza; wydaje mi się, że to trwa wieczność. W końcu docieram do drzwi dużego pokoju nad kuchnią i wchodzę do środka. Pokój jest pusty. Kłapa na strych otwarta. Widzę drabinkę.

„Jestem tu na górze, stary”.

Wdrapuję się na górę w ciemność; w jednej ręce trzymam świecę, a drugą przytrzymuję się drabinki. Gdy jestem przy jej szczycie, tata sięga w dół i chwytą mnie pod pachy. Wciąga mnie na strych i okręca mną wkoło, bez końca.

„To fajne, prawda, stary?”

Moja świeca gaśnie.

„Tato! Przestań!”

Stawia mnie na ziemi. Jaśniej rozbłyśnie lampa naftowa, którą trzyma w ręce. Tylko że to nie tata. To pan McTavish.

„Niespodzianka”.

Krzyczę.

„Twoja matka wcale cię nie zostawiła”, mówi pan McTavish.

„Cameronie!”. To mama. Jej głos dobiega zza moich pleców. Odwracam się szybko. Ale zamiast mamy widzę panią McTavish. Jest oklejona plastikiem i zwisa z krokwi powieszona za szyję.

„Cameronie!”.

Znowu krzyczę, bo obok niej wisi inne ciało, mężczyzny.

– Cameronie! Obudź się!

Jestem nagle w swoim łóżku. Pali się światło. Mama mną potrząsa.

– Obudź się, Cameronie! Obudź się!

– Mamo!

Obejmuję ją mocno.

– Cameronie! – Gładzi mnie po głowie. – Co u licha ci się śniło?

– Nie pamiętam.

To kłamstwo. Pamiętam. Tylko nie mogę jej powiedzieć: prawda jest zbyt przerażająca. To było coś więcej niż sen. To była wiadomość od Jacky’ego. Pokazał mi swoją sekretną kryjówkę. I to, jak on i inni się tam dostali.

## Dwudziesty siódmy

Do rana cała ta sprawa jest dla mnie jaśniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Pan McTavish dowiedział się, że jego żona zamierza tamtego dnia porzucić go dla Matthew Frasera, kuzyna prababki Cody'ego. Zaczekał, aż Jacky pójdzie do szkoły, i zmusił żonę do napisania listu oznajmającego, że uciekła z panem Fraserem i Jackym. Kiedy to zrobiła, zamordował ją.

Gdy przyjechał pan Fraser, McTavish jego też zabił. Ukrył w stodole samochód pana Frasera, okleił ciała plastikiem i powiesił na strychu. Kiedy Jacky wrócił do domu, ojciec oznajmił mu, że matka wyjechała. Odtąd mówił synowi, że nie wolno mu opuszczać farmy, gdyż w przeciwnym razie stanie się coś złego. Jacky tak bardzo bał się ojca, że usłuchał. Tamtej nocy pan McTavish pojechał samochodem pana Frasera do Ramsay, wysłał list i wrócił do domu przed wschodem słońca.

Dwa tygodnie później prababka Cody'ego zaczęła świrować. Gliniarze przeszukali farmę pana McTavisha, by zamknąć jej usta. Nie przeprowadzili prawdziwego śledztwa, ponieważ sądzili, że wszystko jest w porządku. Pan Fraser wcześniej powiadomił swojego szefa, że wyjeżdża z miasteczka, a pan McTavish przedstawił list od żony.

Ale babka Cody'ego nie umilkła. Pan McTavish sprowadził psy stróżujące, żeby utrzymać ją z dala od farmy, ale do tego czasu musiał już zdać sobie sprawę, że nie może wiecznie trzymać syna w ukryciu – przecież przyjaciel Jacky'ego, Arty, mieszkał na sąsiedniej farmie, a dzieci są wścibskie. Gdyby odnaleziono Jacky'ego, prawda wyszłaby na jaw. Zawołał więc syna na strych i jego również zamordował. Widok martwych ciał matki i pana Frasera wstrząsnął nim – to o tej części historii Jacky nie chce mówić, usiłuje wyprzeć z pamięci to wspomnienie.

W każdym razie pan McTavish miał teraz trzy ciała na strychu – w ciemnej, sekretnej kryjówce Jacky'ego, gdzie nic nie widać. Zabił kłapę gwoździami i zamalował. To oraz oklejenie zwłok plastikiem zapobiegło rozprzestrzenieniu się trupiej woni rozkładu. Co nie znaczy, że musiał się tym przejmować. Zawsze był samotnikiem – nawet jego najlepsi przyjaciele Sinclairowie uważali go za dziwaka – a teraz z powodu obecności na farmie psów stróżujących nikt go nie odwiedzał.

Wszystko ułożyło się dla pana McTavisha doskonale; zbrodnie uszły mu na sucho. Ale potem pewnego dnia psy zagryzły go, kiedy otworzył drzwi, żeby wyjść na dwór. Gdy znaleziono w domu jego szczątki, uznano, że to od nich pochodzi wszelki trupi smród. Sinclairowie zamknęli dom na klucz i odtąd oni uprawiali ziemię na farmie. Do czasu, gdy po dziesięciu latach wprowadził się tam pan Sinclair, zwłoki już całkiem uschły.

I tak to trwało. Dopóki nie ujrzałem Jacky'ego. Ale kto mi uwierzy? Mógłbym wziąć młotek i włamać się na strych, żeby odszukać ciała. Tylko co, jeśli się mylę? Mama już teraz uważa mnie za wariata. Mogłaby umieścić mnie w szpitalu psychiatrycznym – dla mojego dobra, jak to się stało z prababką Cody'ego.

Nie. Zanim cokolwiek powiem, muszę mieć niezbitą pewność. A oto sposób, by ją zdobyć: w moim śnie mężczyzna wiszący obok pani McTavish miał szerokie czoło, wąski podbródek, ciemne włosy ostrzyżone na jeża i jasnoniebieskie oczy wybałuszone ze zgrozy. W „Weekly Bugle” nie było żadnych zdjęć Matthew Frasera; widziałem go tylko w moim śnie. Jeśli więc

on rzeczywiście tak wyglądał, ten sen mówił prawdę.

A jak się tego dowiedzieć? Otóż muszę porozmawiać z Hannah Murphy. Nawet jeśli starzy ludzie zapominają o tym, co było wczoraj, powinni pamiętać sprawy z odległej przeszłości. Pani Murphy utrzymywała bliskie kontakty z kuzynem; na pewno będzie pamiętała, jak wyglądał.

Ale jak zdołam ją o to zapytać? Nie mogę przecież tak po prostu wtargnąć do jej pokoju w domu spokojnej starości. Nagle mam odpowiedź: Benjie!

Kiedy w poniedziałek rano wsiadam do autobusu, Cody i jego kumple czekają na mnie, ale to wszystko; nawet Cody jest zbyt bystry, by próbować czegoś po tym, jak obaj zostaliśmy zawieszani. Później wsiada Benjie i pyta, jak spędziłem wolny czas, a ja mówię mu, że było super – bez przerwy oglądałem telewizję i grałem w gry komputerowe. Potem pytam, co robił w weekend, wiedząc, że znowu spędził kolejną niedzielę z dziadkiem w domu spokojnej starości. I rzeczywiście.

– Nie chcę wydać się nieczuły – mówi – ale było straaaasnie nudno, a moje świąteczne spodnie okropnie mnie drapały.

Kiwam głową i wzdycham z powagą. Benjie nie zauważa mojego pierwszego westchnięcia, więc wzdycham dalej raz za razem, aż wreszcie można by pomyśleć, że staram się zdobyć Oscara za najlepsze odegranie bycia zmartwionym.

– Co jest? – pyta.

Głęboko wciągam powietrze, jakbym w duchu cierpiał, ale dzielnie się z tym zмагаł.

– Mama uważa, że mój dziadek nie potrafi już sam się o siebie zatroszczyć – kłamię. – Rozważa przywiezienie go tutaj i umieszczenie w takim domu. Ale sposób, w jaki o tym mówisz...

– O rety, przepraszam. Nie martw się. Tam jest całkiem miło. Naprawdę.

Wzruszam ramionami i ponuro wbijam wzrok w moje buty.

– Łatwo ci mówić.

– Poważnie, możesz sam sprawdzić.

– Jak?

– Jesteś głupi czy co? Jak ci mówiłem, jeżdżę tam też w środy po lekcjach i spotykam się w pokoju dziadka z tatą, kiedy już skończy pracę. Jeśli chcesz, mogę wziąć cię ze sobą, oprowadzić po tym domu. Mógłbyś poprosić swoją mamę, żeby potem po ciebie przyjechała.

– Naprawdę? Zabrałbyś mnie tam?

– Jasne. Żaden problem.

Pani Murphy, nadchodzę.

## Dwudziesty ósmy

Przez następne dwa dni mój nastrój na przemian idzie w górę i w dół jak stale podnoszona i opuszczana deska klozetowa. Nachodzą mnie wątpliwości. Kiedy znajdę się w tym pensjonacie, jak zdołam urwać się Benjiemu, żeby zobaczyć się z panią Murphy? Co jej powiem? A jeśli nie będzie w pokoju sama? Albo co gorsza, jeśli wparuje tam za mną Cody?

Próbuję porozmawiać o tym z Jackym, ale na próżno. Obserwuje mnie w całym domu, ale się nie pokazuje. Na przykład stoi przy drzwiach do mojego pokoju, lecz kiedy podnoszę wzrok znad biurka, znika. Tak samo się dzieje, gdy siedzę przed telewizorem: przygląda mi się zza skórzanego fotela, ale kiedy podchodzę, by go stamtąd wykurzyć, ulatnia się bez śladu.

– Co jest grane, Jacky? – szepczę, na tyle cicho, by mama nie usłyszała. – Robię to dla ciebie, przecież wiesz. Jeżeli tego nie chcesz, dlaczego zesłałeś mi tamten sen?

Może jestem wobec Jacky'ego zbyt surowy. Słuchanie o tej sprawie musi być dla niego ciężkie, zwłaszcza jeśli najlepszy sposób, w jaki potrafi stawić czoło prawdzie, to przysłanie mi snu.

We wtorek mama pyta, dlaczego jestem taki nerwowy.

– Co masz na myśli? Czuję się świetnie – odpowiadam, jakby to była prawda.

Ale czas to dziwna rzecz. Czekanie na spotkanie z panią Murphy zdaje się dłużyć w nieskończoność, ale nagle jest już środa po lekcjach i idę z Benjiem do tego domu spokojnej starości. Benjie rozprawia bez końca o szkole, nauczycielach, rodzicach, dziewczynach i praktycznie wszystkim, co przychodzi mu do głowy; wystarczy, że otworzy usta, a słowa same z nich wypływają. To podłe z mojej strony, ale chciałbym, żeby wreszcie się zamknął, tak abym mógł skupić myśli na tym, co mnie czeka.

Mijamy dwie przecznice i docieramy do wielkiej posiadłości z ozdobną tablicą z napisem: „Ośrodek opieki pozaszpitalnej w Wolf Hollow”.

– To tu – mówi Benjie.

Waham się.

– Myślisz, że mógłby się tu zjawić Cody?

Benjie wzdycha.

– Uspokój się. Cody przychodzi głównie w weekendy z rodzicami, ponieważ kiedy odwiedza prababkę sam, ona prosi go, żeby zabrał ją ze sobą do domu. Słyszałem parę razy, jak błagała go o to na korytarzu i w świetlicy. To dość kłopotliwe. Nie mów mu, że ci powiedziałem, bo mnie zabije, ale widziałem, jak wtedy płakał.

– Cody płacze?

Z jakiegoś powodu to poprawia mi nastrój.

Idziemy kolistym podjazdem. Budynek jest w miarę nowoczesny, czyli nie na tyle nowy, żeby wyglądał świeżo, ani nie na tyle stary, by w nim straszło. Po lewej znajduje się park z ogrodowymi stolikami i krzesłami otoczony ogrodzeniem z bramą, w którym w słoneczne dni rodziny mogą siadywać z krewnymi, których odwiedzają.

– Trzeba wbić kod, żeby otworzyć tę bramę, tak jak i wszystkie inne drzwi – informuje mnie Benjie. – To dlatego, aby ci szurnięci nie mogli stąd wywędrować.



– Jak zapamiętujesz te kody?

– To proste. Są umieszczone w pobliżu klawiszy. Ludzie z demencją nie potrafią połączyć w umyśle jednego z drugim.

Wzdrygam się. Czy ja też kiedyś trafię w takie miejsce? Trudno mi sobie wyobrazić siebie nawet w wieku dwudziestu lat. A co z mamą? Co z babcią i dziadkiem?

Benjie wstukuje kod. Szklane drzwi się rozsuwają i wchodzimy do holu. Nie wygląda tu tak źle; wysoki sufit, dużo światła i mnóstwo roślin w doniczkach. Jest też kontuar recepcji, a na nim książka wpisów gości, kwiaty i śpiący rudy pręgowany kot, który zapewne ma na imię Pan Pączek.

– Cześć, Brenda – mówi Benjie do recepcjonistki, wpisując się do książki.

– Znowu jesteś – rzuca kpiąco Brenda. – Więc co słychać w tym tygodniu w szkole?

– Niewiele. To mój przyjaciel Cameron. Chcę go przedstawić dziadkowi. Być może jego dziadek też tu zamieszka.

– Może chciałbyś to obejrzyć – mówi Brenda i wręcza mi prospekt.

– Dziękuję – odpowiadam.

Składam broszurę na pół, wpycham do tylnej kieszeni i idę się wpisać, podczas gdy Benjie głaszcze Pana Pączka. Chwileczkę. A jeśli za kilka dni przyjdzie Cody, zobaczy moje nazwisko i zacznie się zastanawiać, co ja tu robiłem?

„Jakby Cody naprawdę zamierzał przeglądać tę książkę! Nie bądź głupi”.

Głupi czy nie, bazgrzę moje nazwisko tak, żeby nikt nie mógł go odczytać, a potem obaj z Benjiem idziemy w głąb korytarza wystarczająco szerokiego, by mogły się na nim minąć dwa wózki inwalidzkie. Przechodzimy obok ludzi, którzy spacerują z laskami i chodzikami albo po prostu stoją, trzymając się poręczy.

Zmierza ku nam kobieta w wieku mojej babci, ubrana w bluzkę w kropki i spodnie od dresu.

– Tyle dzisiaj z nimi zachodu, prawda, ale co można poradzić? – mówi i maszeruje dalej.

– To Margaret – szepcze Benjie. – Wydaje się jej, że tu pracuje.

Przechodzimy przez wielką salę, w której starzy ludzie siedzą na kanapach, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem, grają w karty przy stolikach albo oglądają telewizję w odbiorniku obok pianina.

– Mają tu zajęcia z plastyki i wspólnego śpiewania – mówi Benjie. – Och, a to drzwi do jadalni, a za nią jest kaplica. A to skrzydło, w którym mieszka mój dziadek. Niektórzy ludzie tutaj kontaktują z otoczeniem, a niektórzy nie. W każdym skrzydle przebywają jedni i drudzy, z wyjątkiem Alei Wspomnień; tam umieszcza się tych, którzy zapomnieli nawet, jak się chodzi i mówi.

– Okropne.

– Tak, a wszystko inne jest niby takie miłe, co? To znaczy, kiedy jest się starym. Mama mówi, że najlepsze tutaj jest to, że nie śmierdzi sikami.

Wchodzimy w korytarz. Większość sypialń jest pojedynczych, kilka podwójnych. Obok każdego drzwi znajduje się tabliczka z nazwiskiem lokatora oraz szklana gablotka z jego prywatnymi zdjęciami i bibelotami. Jak przypuszczam, to pomaga pensjonariuszom odnajdywać ich pokoje. Mijamy sypialnię pani Hildy Green; pana Jamesa Hardy’ego; pani Hannah Murphy.

Hannah Murphy. Serce skacze mi w piersi. W gablotce jest zdjęcie Cody’ego z rodzicami. Gdy przechodzimy, zerkam do wnętrza pokoju na drobną kobietę w szlafroku wyglądającą

przez okno na dziedziniec.

Kilka drzwi dalej Benjie mówi:

– To pokój mojego dziadka.

W gablotce są rodzinne fotografie, plakietka Klubu 4-H i mosiężna miniaturka traktora.

W sypialni dziadek Benjiego siedzi oparty o poduszki w szpitalnym regulowanym łóżku z barierkami. Benjie mówi mu „cześć”, przedstawia mnie i obaj przysuwamy sobie krzesła. Jego dziadek unosi rękę o kilka centymetrów i wydaje dźwięki, które jak sędzę, oznaczają „Jak się masz, Benjie? Dobrze cię widzieć”, ale trudno rozróżnić.

Benjie ujmuje jego rękę i przemawia do niego. Ogarnia mnie przygniatające poczucie winy – z powodu tego, że udaję tutaj przyjaźń z Benjiem i tego, że tak źle o nim myślałem. Jest taki miły. Gdyby mój dziadek tu przebywał, czy odwiedzałbym go dwa razy na tydzień? Chcę myśleć, że tak, ale nie jestem pewien. Przez to czuję się jeszcze gorzej.

Po pewnym czasie Benjiemu kończą się tematy do opowiedzenia. Siedzimy tam ja, on i jego dziadek i patrzymy na siebie.

W końcu dziadek wydaje jakiś dźwięk.

– Telewizja? – pyta Benji.

Dziadek unosi palec, co jak przypuszczam, oznacza potwierdzenie. Benjie bierze z nocnego stolika pilot i włącza telewizor w nogach łóżka.

Teraz mam okazję.

– Myślę, że na mnie chyba już pora – mówię do Benjiego. – Dzięki, że mnie oprowadziłeś.

– Jasne – odpowiada Benjie, zmieniając kanały. – Nie zapomnij wypisać się w recepcji.

– Nie zapomnę. – Odwracam się do jego dziadka. – Miło mi było pana poznać, panie Dalbert. – Starzec wydaje jakiś dźwięk. Nie jestem pewien, co mówi, więc tylko uśmiecham się i kiwam głową. – A więc do widzenia – dodaję na pożegnanie.

– Tak, do widzenia. Zobaczymy się jutro – mówi Benjie ze wzrokiem utkwionym w transmisję sportową.

Wycofuję się z sypialni na pusty korytarz i idę w kierunku pokoju pani Murphy najszybciej, jak potrafię. Przy jej gablotce nachodzi mnie atak paniki. Co ja robię? A jeśli ktoś mnie tu znajdzie?

„Niby kto? Benjie tkwi przy telewizorze. Będzie tam jeszcze przez godzinę, dopóki jego ojciec nie przyjedzie z pracy”.

A personel?

„Wpisałem się. Jeżeli ktoś mnie zobaczy, pomyśli, że jestem odwiedzającym”.

A jeśli pani Murphy później im powie?

„Kto mówi, że ona w ogóle cię zapamięta. Zresztą, mogę jej podać fałszywe nazwisko”.

Ale co, jeśli zjawi się Cody?

„Jaka jest na to szansa? Benjie mówi, że on przychodzi tylko w weekendy”.

Skąd Benjie miałby to wiedzieć? Przecież nie bywa tutaj codziennie. Serio, Cody by mnie zabił. Nie warto ryzykować. Zrezygnuj.

„Nie. To jedyny sposób, aby ustalić, czy w moim śnie był kuzyn pani Murphy. Jeżeli tak, to ten sen mówił prawdę i na strychu są trzy martwe ciała. Co jest ważniejsze od dowiedzenia się tego?”.

Pukam delikatnie i wchodzę do pokoju pani Murphy.

## Dwudziesty dziewiąty

Pani Murphy odwraca się na krześle. Ma białe włosy i twarz pokrytą zmarszczkami, ale nadal kwadratową szczękę i guzowate czoło, jak na zdjęciu w „Weekly Bugle”.

– Czego chcesz? – rzuca opryskliwie.

Skłonność do złości to niewątpliwie w tej rodzinie cecha wrodzona.

– Niczego nie chcę. Przyszedłem tylko porozmawiać.

Chwyta w rękę laskę leżącą na jej kolanach.

– Kto powiedział, że mam ochotę na rozmowę?

– Jestem przyjacielem pani prawnuka Cody’ego – kłamię.

– Cody. – Rozpromienia się i cała rozpływa w uśmiechu. – Jesteś przyjacielem Cody’ego?

– Tak. Wpadłem do pani zamiast niego.

– Och... No wchodź, wchodź.

Pociąga mnie do krzesła obok niej.

Rozglądam się po przedmiotach w pokoju; tu jest całe jej życie. Na ruchomym stoliku do herbaty, na szafce, na półkach – wszędzie stoi mnóstwo fotografii rodzinnych w ramkach. Na ścianie wisi kilim (czy sama go utkała?) i obraz przedstawiający farmę (czy była jej?), a na poduszce leży stara włóczkowa lalka-owieczka.

Pani Murphy patrzy na mnie, mrużąc oczy, jakby usiłowała sobie przypomnieć, kim, jak powiedziałem, jestem i dlaczego się tu zjawiłem, ale wstydziła się spytać.

– A więc przyszedłem z wizytą zamiast Cody’ego – spieszę jej z pomocą.

– Zamiast Cody’ego. Jak miło. To wyjątkowy chłopiec, nieprawdaż? Mój mały Cody.

– Podoba mi się to zdjęcie Cody’ego w pani gablotce na korytarzu. Pewnie on jest też na niektórych z tych innych rodzinnych fotografii.

– Och, tak, mam mnóstwo zdjęć Cody’ego.

– Czy mógłbym kilka obejrzeć?

Przytakuje, a ja przyglądam się z bliska fotografiom w ramkach, udając, że patrzę na Cody’ego, podczas gdy w rzeczywistości szukam twarzy, którą widziałem w moim śnie, twarzy jej kuzyna Matthew Frasera. Mógłby być na jednym z tych ziarnistych zdjęć o zblakłych kolorach z początku lat sześćdziesiątych albo na jakiejś czarno-białej fotografii z czasów swojego dzieciństwa; a może pośród grupy dzieci i kuzynów na rodzinnym pikniku. Tak czy owak, trudno będzie go wypatrzeć.

– To wspaniałe zdjęcia – mówię, siadając znowu na krześle. – Bardzo podobają mi się te z panią, pani rodzicami, dziećmi i wnukami.

Nie mam pojęcia, czy naprawdę ich przedstawiają, ale to całkiem prawdopodobne. Równie prawdopodobne jest to, że nawet gdybym miał rację, ona zaprzeczy.

– Tyle dzieci. – Pani Murphy radośnie kiwa głową. – Tyle dzieci.

– Skoro było tak wiele dzieci, musiała pani mieć mnóstwo kuzynów.

– Och, tak.

– Mogłaby pani mi ich wskazać?

Myśli przez chwilę.

– Obawiam się, że nie mam już tak dobrych oczu.

Chowam w zanadrzu inny sposób wysondowania jej.

– Mam ulubionego kuzyna – mówię od niechcienia. – Czy pani też miała ulubionego kuzyna?

– Przypuszczam, że tak.

– Mój ulubiony kuzyn to Aaron. Czy może mi pani powiedzieć, kto był pani ulubionym kuzynem?

– Tak.

– Więc kto?

Pani Murphy milknie.

– Och, ten... no wiesz.

Puszczą do mnie oko, jakby powiedziała jakiś żart, i patrzy na mnie, jakby teraz była moja kolej, żeby coś powiedzieć. Dlaczego nie wspomina o Matthew? Może nie pamięta jego imienia i nie chce się do tego przyznać?

Rzucam jej wskazówkę:

– Słyszałem, że miała pani naprawdę wspaniałego kuzyna o imieniu Matthew.

– Matthew – powtarza i jej wzrok pochmurnieje.

– Tak, Matthew Fraser.

Pani Murphy przytyka palec do ust.

– Reg mówi, że w przyszłym tygodniu wrócę do domu. Nie wolno mi rozmawiać o Matthew.

Reg. Imię jej męża w „Weekly Bugle”. Ale jestem całkiem pewien, że on nie żyje. Czy pani Murphy myśli, że jest w okręgowym sanatorium?

– Reg ma rację, nie powinniśmy o nim rozmawiać. – Z powagą kiwam głową. – Ale z pewnością nie stanie się nic złego, jeżeli powie mi pani, jak wyglądał Matthew.

– No cóż, Matthew wyglądał jak Matthew.

– Oczywiście. Ale czy mogłaby go pani opisać?

Pani Murphy sztywnieje.

– Po co?

– Bez powodu. – Pora na wzmiankę o czymś miłym. – Znam pani wnuka Cody’ego. Wasza farma leży tylko trochę dalej od miasteczka niż nasza.

– Mieszkasz na farmie w pobliżu naszej?

– Tak. Też obok farmy Sinclairów.

– Farma McTavisha! – Pani Murphy uderza laską w podłogę. – Frank McTavish zabił Matthew!

– Ciii... Proszę, pani Murphy. Cicho!

Zrywa się na równe nogi i wznosi laskę.

– Nie uciszaj mnie! – wrzeszczy. – Wiem, co wiem!

Podrywam się z krzesła i unoszę ręce.

– Już dobrze, pani Murphy. Rozumiem.

– Nie kłam mi! Myślisz, że postradałam zmysły? Nie jestem wariatką!

– Pani Murphy, proszę!

– Coś ty w ogóle za jeden? – Robi krok w moim kierunku. – Nie jesteś lekarzem!

Cofam się.

– Jestem przyjacielem pani wnuka Cody’ego.

– Kłamca! – Wymachuje laską. – Cody to niemowlak!

– Pani Murphy, proszę. Jestem po prostu chłopcem, który mieszka na tej farmie.

– Jacky to jedyny chłopiec na tej farmie! On nie żyje! Wszyscy oni nie żyją! – Znowu wywija laską i zrzuca fotografie w ramkach ze stolika do herbaty. Spadają z trzaskiem na podłogę; pęka szkło. – Kim jesteś?! Kto cię przysłał?!

– Nikt.

– Kłamiesz!

Pani Murphy naciera na mnie. Wypadam na korytarz. Po prawej Benjie gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami, wyglądając z pokoju swojego dziadka; w głębi za nim wbiegają na korytarz pielęgniarki i pracownicy ośrodka. Inne pędzą korytarzem po mojej lewej. Wpadają tłumnie obok mnie do pokoju pani Murphy.

Ostatnia z pielęgniarek chwyta mnie za ramię.

– Co ty tu robisz?

– Nic!

Uwalniam się gwałtownym szarpnięciem. Kobieta upada, a ja wbiegam do świetlicy, przebiegam przez nią i pruję korytarzem do frontowych drzwi, mijając kontuar recepcji.

– Nie zapomnij się wypisać – mówi pogodnie Brenda.

Nie mam czasu. Tamta pielęgniarka już wstała i pędzi za mną. Widzę kod przy drzwiach, wstukuję go i uciekam w momencie, gdy ona wpada do holu.

– Stój. Wracaj!

Akurat!

Błyskawicznie docieram do biura Kena.

– Co ty tu robisz? – pyta mama.

– Nie chciałem jechać szkolnym autobusem. Pomyślałem, że wpadnę przywitać się z Kenem.

Myśl, że chcę zobaczyć się z Kenem, uszczęśliwia mamę tak, że zapomina zapytać, dlaczego jestem taki spocony.

– Pojechał pokazać klientowi jakąś posiadłość, ale powinien niedługo wrócić. – Zastanawia się przez sekundę, jakby rozważała, czy to odpowiedni moment, a potem się decyduje. – Co byś powiedział, gdybyśmy zaprosili Kena na obiad? Nic wyjątkowego. Mogłabym po prostu kupić coś w KFC, wyjąć pierogi z zamrażarki.

– Jasne, świetnie.

I rzeczywiście świetnie. Jeżeli ktoś zadzwoni w związku z tym, co się przed chwilą stało, mama nie będzie na mnie wrzeszczeć, dopóki Ken od nas nie wyjdzie. Do tego czasu zdąży ochłonąć, a ja będę mógł przedstawić jej jakąś przekonującą historyjkę. Na przykład, że poszedłem odwiedzić dziadka Benjiego, żeby sprawić mu przyjemność, i trafiłem przez pomyłkę do pokoju pani Murphy.

„Przestań świrować. Nikt nie zadzwoni. Nasze telefony mają zastrzeżone numery z powodu taty, a poza tym w książce wpisów nabazgrałem nazwisko tak, że nikt go nie odczyta. Nawet jeśli Benjie mnie sypnie, do jutra ta sprawa ucichnie”.

Mimo to mdli mnie ze zdenerwowania. Próbuję zapomnieć o tym, co się zdarzyło, udając, że to był tylko zły sen.

Ken wraca o piątej, żeby zamknąć biuro. A co w kwestii obiadu?

– Byłoby wspaniale – mówi, jakby od zawsze na to czekał. – Przyniosę butelkę wina.

Siadamy do stołu o wpół do siódmej. Wkrótce jest już wpół do ósmej, a zaraz potem ósma. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej się odprężam. Owszem, nie powinienem był przebywać w pokoju pani Murphy, ale właściwie co takiego złego zrobiłem? Nic. Tylko rozmawiałem z nią. Od kiedy rozmowa z kimś to przestępstwo? Przecież to nie ja zdemolowałem jej pokój.

Zaczynam z przyjemnością słuchać opowieści Kena. Nie mówi bez przerwy ani nie stara się odgrywać supergościa, jak robił kiedyś, na początku. Zachowuje się raczej jak wtedy, kiedy oglądaliśmy obaj zdjęcie jego dzieci.

Opowiada o tym, jak przed kilkoma laty wybrał się z dziećmi pod namiot. Nie mieszkał w namiocie od czasu obozu harcerskiego – nie przepada za biwakowaniem pod gołym niebem – ale sądził, że dzieciom to się spodoba. W każdym razie, nie udało mu się rozpaścić ogniska, więc zjedli tylko kilka hot dogów na zimno i cukierków ślazowych i poszli spać. Tylko że zapomniał schować resztki jedzenia, nie mówiąc już o hamburgerach, i w środku nocy kilka kojotów złożyło im wizytę, żeby się posilić. Bał się, że one wedrą się do namiotu, a jedyną rzeczą, jaką miał pod ręką, żeby je walnąć, był pluszowy miś córki.

– Więc jak bardzo się przestraszyłeś? – pytam z uśmiechem.

– Powiedzmy po prostu, że na całe szczęście zabrałem zapasową bieliznę – żartuje Ken. – Nie mogę uwierzyć, że okazałem się takim idiotą, bo oprócz tego, że zostawiłem na zewnątrz jedzenie, bałem się kilku kojotów. Jak już powiedziałem wcześniej, kojoty lękają się ludzi. Mieszkam w tej okolicy od piętnastu lat, a tylko parę razy widziałem kojota. Ale o rany, tamtej nocy wciąż wyobrażałem sobie nagłówek w „Weekly Bugle”: „Miejscowa rodzina pożarta przez kojoty”.

Ryczymy ze śmiechu, a ja myślę: „Wiesz, mama potrafi być groźniejsza”.

Nagle przed dom zajeżdża jakiś samochód z przygaszonymi światłami.

– Spodziewacie się kogoś? – pyta Ken.

Mama blednie. Kręci głową.

– Może to pan Sinclair.

Ale wiem, co myśli. Tata.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Pozwól, że ja otworzę – mówi Ken.

Zaciska pięści, nie bardzo, ale wystarczająco na wypadek jakichś kłopotów.

Mama kiwa głową. Ken otwiera drzwi. Stoją za nimi dwaj gliniarze. Jeden krępy, drugi chudy. Ken ich zna.

– Brian, George, co się stało?

– Możemy wejść?

– Oczywiście – mówi mama, przestraszona i dezorientowana. – Jestem Katherine Weaver.

– Ściska im dłonie. – Czy chodzi o mojego byłego męża? O Mike’a?

– Nie – odpowiada przysadzisty gliniarz. – Niestety chodzi o pani syna.

Żołądek podjeżdża mi do gardła.

– O Camerona? Cameronie, co takiego zbroiłeś?

– Nic. Mogę to wyjaśnić.

– Co takiego możesz wyjaśnić?

– Czy moglibyśmy usiąść? – pyta drugi gliniarz.

Mama prowadzi nas wszystkich do salonu. Siada na sofie między mną i Kenem; on ujmuje jej dłoń i ściska pokrzepiająco. Gliniarze siadają naprzeciwko nas na skórzanych fotelach. Głos zabiera ten mocniej zbudowany:

– Podobno pani syn został w zeszłym tygodniu zawieszony w szkole z powodu bójki z Codym Murphym.

– To nie była bójka. On mnie pobił.

– Cameronie! – mówi mama i ucisza mnie gniewnym spojrzeniem.

– Dzisiejszego popołudnia Cameron udał się do domu spokojnej starości w Wolf Hollow. Widziano, jak opuszczał pokój pani Hannah Murphy, prababki Cody’ego. Pani Murphy była wyraźnie wzburzona i musiano ją obezwładnić, w trakcie czego została nieco posiniaczona. Kilka ze znajdujących się w jej pokoju fotografii w ramach było rozbitych. Kiedy pielęgniarka próbowała zatrzymać Camerona, przewrócił ją, wskutek czego doznała skręcenia kostki.

– Cameronie? – mówi mama z oczami rozszerzonymi ze zgrozy.

– To nie było tak, jak wygląda.

– Czy Cameron potrzebuje adwokata? – przerywa mi Ken.

– To pozostaje do państwa decyzji – odpowiada chudy gliniarz. – Nasza wizyta ma jedynie charakter ostrzegawczy. W tym momencie nie sądzimy, że zostaną mu postawione jakieś

zarzuty.

– Posłuchajcie – mówię. – Byłem w tym domu spokojnej starości z moim przyjacielem Benjem z wizytą u jego dziadka. Kiedy wychodziłem, trafiłem przez pomyłkę do pokoju pani Murphy. Wściekła się na mnie, wymachiwała laską i zrzuciła te fotografie. Kiedy złapała mnie pielęgniarka, spanikowałem i uciekłem. Nie chciałem jej przewrócić.

Zapada cisza.

Krępy gliniarz patrzy na mnie w zamyśleniu.

– Według słów Benjiego poszedłeś do tego pensjonatu, żeby go obejrzyć, gdyż miałby tam zamieszkać twój dziadek.

– Co takiego? – mówi mama. – Dziadek Camerona jest w doskonałej formie.

– Benjie twierdzi, że opuściłeś jego i jego dziadka jakieś pięć czy dziesięć minut przed tym incydem – ciągnie gliniarz. – To bardzo długi czas jak na pobyt przez pomyłkę w czyimś pokoju. To także dziwny zbieg okoliczności, że był to akurat pokój prababki Cody’ego Murphy’ego – chłopca, z którym wcześniej wdałeś się w bójkę. Podobno jej powodem było to, że naśmiewałeś się z jego rodziny.

– Nie. To wcale nie tak.

Krępy gliniarz zwraca się do mamy:

– W miasteczku nie jest żadną tajemnicą, że Cody Murphy po śmierci ojca miał niełatwe życie. Przez ostatnich kilka lat mieszkał u swoich dziadków ze strony ojca i prababki, do której jest bardzo przywiązany. W ubiegłym roku ona trafiła do domu spokojnej starości. Cody bardzo to przeżył.

– Biedny chłopiec – mówi mama.

– Cody, biedny chłopiec?! – wykrzykuje. – On wszystkich tyranizuje. I mamy mu współczuć? To niesprawiedliwe.

– Policjanci nie zjawili się tutaj z powodu czegokolwiek, co zrobił Cody – rzuca ostro mama. – Są tu z twojego powodu.

Chudy policjant wyjmuje notes i wskazuje na mnie piórem.

– Pielęgniarka, która skreśliła kostkę, mogłaby oskarżyć cię o napaść. Rodzina Cody’ego mogłaby wysunąć przeciwko tobie szereg prawnych zarzutów. Mógłbyś trafić do więzienia dla młodocianych przestępców. Na szczęście dla ciebie, żadne z nich tego nie chce. Chcą natomiast poznać prawdę. Co robiłeś w tamtym pokoju?

Co mam odpowiedzieć? Kiedy otwieram usta, wydobywa się z nich dziwny dźwięk, rodzaj zdławionego jęku.

– Chciałem się dowiedzieć, jak wyglądał jej kuzyn Matthew Fraser. Człowiek, którego jak twierdziła, zamordował pan McTavish, właściciel tej farmy w latach sześćdziesiątych.

– Och, nie – mówi cicho mama. – Chodzi o to zadanie z historii? – Odwraca się do gliniarzy. – On zbierał informacje na temat tej farmy do rozprawki na lekcję historii.

– W „Weekly Bugle” – dodaję. – Wszystko to jest w tygodniku „Weekly Bugle”. Z wyjątkiem zdjęcia Matthew Frasera.

Gliniarze wymieniają spojrzenia.

– To stara historia – mówi do mamy ten chudy. – Dawno temu pani Murphy twierdziła, że Frank McTavish zamordował na tej farmie swoich żonę i syna oraz kuzyna pani Murphy. Okazało się, że po prostu żona uciekła z synem i kochankiem.

– To nieprawda – wrywa mi się. – Pani Murphy miała rację.

– Jak to?



– Pan McTavish ich zabił. Ich ciała są na strychu.

## Trzydziesty pierwszy

Wszyscy rozdziawiają usta.

– Wybaczcie, panowie – zwraca się mama przepraszająco do gliniarzy. – Cameron zawsze miał wybujałą wyobraźnię. Ale to... to...

– To jest prawda, mamó. Ciała są oklejone plastikiem, zwisają z krokwi.

– Nie możesz tego wiedzieć – ripostuje mama. – Kiedy się tu wprowadziliśmy, kłapa na strych była zabita gwoździami.

– Sprawdź, jeśli mi nie wierzysz.

– Cameron ma rację – mówi Ken. – Uważam, że powinniśmy obejrzeć ten strych.

Tak! Mógłbym uściskać Kena.

– Zachęcasz go do tego? – wydusza mama.

– Nie. Mówię tylko, że Cameron wierzy w to, co nam powiedział. Dopóki nie zobaczy na własne oczy, że tam niczego nie ma, będzie się tym zadręczał.

– Ale ta kłapa jest zabita na głucho gwoździami i zamalowana wieloma warstwami farby – oponuje mama. – Będziemy potrzebowali młota i łomu, żeby ją wyłamać. Pomyśl o szkodach, jakie to spowoduje.

– Myślę o innych szkodach – mówi Ken, wskazując głową na mnie.

Rany, wielkie dzięki, Ken; chyba się myliłem co do tego, że jesteś po mojej stronie.

Ken wyjmuje telefon komórkowy i wybiera numer. Unosi rękę na znak, żebyśmy się zamknęli.

– Art, tu Ken Armstrong. Jestem w pobliżu z Brianem i Georgem z komisariatu policji. Posłuchaj, wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale musimy dostać się na twój strych. Katherine obawia się, że otwarcie kłapy spowoduje szkody. Zapłacę za naprawy, ale potrzebna mi twoja zgoda. – Odsuwa słuchawkę od ucha; przypuszczam, że pan Sinclair protestuje. – Art, przykro mi, ale nie mogę powiedzieć przez telefon dlaczego. Ale uwierz mi, to ważne... Dzięki. – Rozłącza się. – Art zaraz tu będzie.

Pan Sinclair zajeżdża swoją furgonetką; na platformie ma drabinę i skrzynkę z narzędziami.

– Obawiam się, że Cameron za dużo się przejął tym zadaniem z historii – mówi do niego mama. – Myśli, że Frank McTavish zabił swoją żonę, ich syna i jej przyjaciela i ukrył ich ciała pod kluczem na pańskim strychu.

Pan Sinclair rzuca na mnie spojrzenie.

– A więc jesteś taki domyślny.

– Nie, proszę pana, ja wiem – odpowiadam.

Nie wiem tylko, co *on* wie!

Pan Sinclair prychnie i rusza schodami na górę ze swoimi narzędziami i drabiną. Wchodzimy za nim do dużego pokoju i przyglądamy się, jak ustawia drabinę pod kłapą. Trochę się boję, ale przynajmniej nikt chwilowo nie mówi o pani Murphy.

Ken proponuje, że odwali najcięższą część roboty, ale pan Sinclair nawet nie chce o tym słyszeć. Wchodzi szybko na drabinę, wyjmując gwoździe za pomocą dłuta i młotka i wyważa kłapę łomem. Wiedziałem, że z niego twardziel, ale o rany!

Pan Sinclair schodzi na dół.

– Jeżeli to miejsce zbrodni, lepiej żebyście wy, chłopcy, weszli pierwsi – mówi do gliniarzy, ocierając pot z czoła.

Policjanci zapalają swoje latarki i wchodzą na górę. Snopy światła omiatają mrok. Cisza. Mama obejmuje mnie ramieniem. Ken trzyma ją za drugą rękę. Wszyscy wstrzymujemy oddech. Wreszcie gliniarze schodzą na dół z poważnymi minami i zaczynają szeptać z mamą, Kenem i panem Sinclairem. Jasne, jakbym ja nie potrafił znieść tego, o czym sam im przed chwilą powiedziałem!

Spoglądam w górę w smoliście czarny otwór kłapy. „Przepraszam, Jacky, twoja sekretna kryjówka przestała już być tajemnicą. Ale musiałem im powiedzieć. Musiałem”.

Szepty się urywają. Mama występuje naprzód.

– Cameronie – mówi takim tonem jak na pogrzebie. – Zechciałbyś wejść tam z nami?

Przytakuję. Z łomocącym sercem wspinam się po drabinie za gliniarzami. Za mną podążają mama, Ken i pan Sinclair.

– Dobrze się rozejrzyj – mówi krępy gliniarz, kiedy jesteśmy już na strychu.

Świeci latarką we wszystkich kierunkach.

Strych jest pusty.

– Nie. To niemożliwe.

Mama ujmuję mnie mocno za ramiona.

– Widzisz, Cameronie? Widzisz? To wszystko tylko ci cię uroiło.

– Wcale nie! – Wyrywam się jej. – Te ciała... one tu były. Ktoś je przeniósł.

Krępy gliniarz najwyraźniej ma już dość tych bzdur.

– Kto? Kiedy? Dokąd?

– Nie wiem.

„Zaczekaj. W stodole Jacky oznajmił, że Arty wie, że on nie wyjechał z farmy z matką. Na cmentarzu powiedział, że Arty zna sekretnie miejsce, w którym był ukryty”.

Odwracam się szybko do pana Sinclaira.

– Ale pan wie! Wie pan też, że przebywał tu Jacky.

Zaskoczona mama szeroko otwiera usta.

– Jacky? – pyta. Ken ją uspokaja. – Kto taki? O co tu chodzi?

– Jacky był synem McTavisha – wyjaśnia pan Sinclair. – Pokazałem Cameronowi zdjęcia przedstawiające nas obu w dzieciństwie, bawiących się razem. Jacky wyjechał razem ze swoją matką. Nigdy więcej go nie widziałem – dodaje spokojnie.

– To nieprawda.

– Skąd miałbyś to wiedzieć? – pyta mnie chudy gliniarz.

– Po prostu wiem. Widocznie pan McTavish zorientował się, że nie może długo trzymać zwłok tu na górze. Musiał się ich pozbyć.

– Powiedz nam, w jaki sposób, skoro jesteś taki bystry – mówi krępy gliniarz. – Za mojego życia nie znaleziono nigdzie w tej okolicy żadnych ludzkich szczątków.

– Wiem. Nie zakopał trupów w ziemi.

– Więc co z nimi zrobił, panie Mały Detektywie?

To najbardziej potworna myśl, jaka kiedykolwiek w życiu przyszła mi do głowy, ale jedyna, która ma sens. Odwracam się do pana Sinclaira.

– Pański ojciec był najlepszym przyjacielem pana McTavisha. Miał maszynę do mielenia mięsa. To byłoby bardzo proste. No wie pan co. Niech pan im powie.

– Och, mój Boże, panie Sinclair, przepraszam pana. – Mama oddycha tak szybko, jakby miała zaraz zemdleć. Wykrzykuje do wszystkich obecnych: – Ojciec Camerona usiłował mnie zabić, stale przed nim uciekamy, Cameron ma koszmarne sny, miesza mu się w głowie, potrzebuje pomocy, nie jest zdrowy, on...

– Przestań, mamo! Tu nie chodzi o tatę. Zawsze go obwiniasz. Zawsze. O wszystko. To nie jego wina!

– Dość!

– Nie! Wcale nie dość. Nigdy nie będzie dość. Bez względu na to, co robię, uważasz mnie za wariata. Zawsze tak myślałaś. No więc nie jestem wariatem! Jeśli ktoś tu jest obłąkany, to ty!

Upadam na kolana, walę pięściami w podłogę, w moją głowę. Ken próbuje mnie odciągnąć. Odpycham go.

Krępy gliniarz obezwładnia mnie chwytem z tyłu za szyję. Mdleję.

## Trzydziesty drugi

Kiedy odzyskuję przytomność, Kena i pana Sinclaira nie ma. Nie pytam, dokąd poszli i dlaczego. Ani nie przepraszam. Nic nie mówię. Dlaczego tu jestem? Dlaczego jestem gdziekolwiek? Gdybym mógł zniknąć na zawsze...

Gliniarze sprowadzają mnie po drabinie i sadzają na sofie w salonie. Wpatruję się w podłogę przede mną. Widać, że mama płakała; idzie do kuchni razem z chudym gliniarzem. Rozmawiają cicho, a drugi glina stoi w przejściu z ramionami skrzyżowanymi na piersi, pilnując mnie na wszelki wypadek. W końcu Ken wraca z niewielką torbą podróżną i gliniarze wychodzą.

– Rozstawię dla Kena łóżko polowe w dużym pokoju na piętrze – mówi mama. – Zostanie tu dzisiaj na noc – wyjaśnia.

– Co? Boisz się mnie?

– Nie, Cameronie, boję się o ciebie. – Siada obok i kładzie dłoń na mojej dłoni. Nie powstrzymuję jej, ale nie patrzę na nią, tylko dalej wpatruję się w listwę podłogową. – Jeżeli znowu wybuchniesz, jak przed chwilą na piętrze, nie mam dość siły, żeby cię powstrzymać.

– A więc – mówię do Kena – mam cię nazywać moim strażnikiem czy co?

– Jestem tutaj, żeby pomóc – odpowiada. – To wszystko. Martwię się o ciebie. Wszyscy się martwimy.

– Jasne!

– Ken umówi ci wizytę u swojego lekarza rodzinnego – oznajmia mama. – Ten doktor będzie ci mógł przepisać jakiś środek na uspokojenie, dopóki nie zorganizujemy ci z spotkania z kimś, z kim porozmawiasz.

– Masz na myśli psychiatrę.

Mama milczy chwilę.

– To moja wina, Cameronie, nie twoja – mówi. – Powinam była już dawno dostrzec, że to się zbliża. Te ostatnie lata były dla ciebie bardzo trudne. Myślałam, że nie potrzebujesz nikogo więcej oprócz mnie, ale się myliłam. Przepraszam.

Słyszę, co mówi, ale to tylko słowa.

– Policjanci powiedzieli, że nie zostaniesz o nic oskarżony, pod warunkiem że nic więcej się nie zdarzy. Uważają, że byłoby dobrze, gdybyś przez kilka dni pozostał w domu. Czy masz jakieś zajęcia lekcyjne razem z Codym? Czy wasze szafki są blisko siebie?

Kręcę głową.

– To dobrze. Powiedzieli, że najlepiej byłoby, gdybyś możliwie jak najrzadziej go widywał.

Jasne. Ostatecznie przecież jestem świrem, nie? Na przykład mógłbym pobić Cody'ego. Jakbym w ogóle był w stanie mierzyć się z takim twardzielem!

– Ken odwołuje swoje jutrzejsze zawodowe spotkania. Będzie tutaj, podczas gdy ja załatwię sprawy w szkole. Spotkam się z twoimi nauczycielami i wezmę dla ciebie materiał do przerobienia, żebyś nie miał zaległości. Porozmawiam też z twoim nauczycielem historii i powiem mu, żeby zwolnił cię z obowiązku napisania tej rozprawki o farmie.

– Nie ma żadnej rozprawki – mówię cicho.

Zaskoczona mama wstrzymuje oddech. Już ma powiedzieć coś ostro, ale widocznie Ken

daje jej spojrzeniem znak, gdyż rezygnuje.

– Poradzimy sobie z tym wszystkim – rzuca tylko.

Kładę się do łóżka, a mama wchodzi, żeby powiedzieć mi dobranoc. Zapala nocną lampkę, przypomina mi, że Ken jest w sąsiednim pokoju, gdybym czegoś potrzebował, i całuje mnie w czoło.

– Kocham cię.

– Uhm – mamrocze, wpatrując się w sufit.

Wychodzi. Słyszę, jak razem z Kenem rozstawia łóżko polowe. Nie będzie mu na nim zbyt wygodnie; widać naprawdę ją lubi. Dobiega mnie skrzywienie schodów, gdy mama schodzi na dół do swojego pokoju, a potem słyszę, jak Ken układa się na polówce. Wszystko cichnie. Bardzo długo leżę nieruchomo.

„Jacky, dlaczego cię tam nie było? Gdzie jesteś?”.

Cisza.

Może mama ma rację. Może rzeczywiście jestem wariatem.

Rano mama zagląda do mnie, ale udaję, że śpię. Wszystko mnie boli. Mam paskudnego guza na czole i posiniaczone ramiona. Wczoraj wieczorem naprawdę nieźle sam siebie pokiereszowałem.

Słyszę, jak mama i Ken rozmawiają w kuchni; jestem pewien, że o mnie. Mama wychodzi z domu przed ósmą; prawdopodobnie chce porozmawiać najpierw z dyrektorem. Kiedy w końcu schodzę na dół, Ken przygotowuje mi płatki kukurydziane i tost. Przez cały czas mówi o pogodzie, jakby wczoraj nic się nie stało, i nie wydaje mi się tak kompletnie dziwne, że on tu jest.

– Lubisz kawę z mlekiem, prawda? I z mnóstwem, mnóstwem cukru?

Mruga do mnie.

Ja i tamten ekspres do cappuccino w jego biurze. Nie mam ochoty się uśmiechnąć, jednak to robię.

– Nieszczególnie.

Przygląda mi się, kiedy jem.

– Chcesz coś jeszcze? Mieszkam sam, więc umiem usmażyć jajka na bekonie. Całkiem dobrze udaje mi się też podgrzewanie potraw na wynos.

Kręcę głową. Muszę to powiedzieć, choć to niełatwe:

– Przepraszam za tamto wczoraj na strychu.

– W porządku.

– Mam nadzieję, że mama rozumie.

– Oczywiście. Ona cię kocha.

Koncentruję się na toście, żeby się nie rozkleić.

– Byłem taki pewien, że się nie mylę.

– Ja byłem w życiu pewien mnóstwa rzeczy, które nie okazały się takie, jak się spodziewałem. Nie ma w tym niczego złego.

Zastanawiam się długo.

– Jest powód tego, że tak myślałem.

Ken się uśmiecha.

– Zawsze są powody tego, że coś myślimy.

Nie zamierza zapytać, tylko skłonić mnie, żebym sam powiedział.

- Obiecujesz, że nie powtórzysz mamie?
- Nie mogę tego obiecać. Ale cokolwiek to jest, ona zrozumie.
- Nie zrozumie.
- Owszem, zrozumie.

Patrzę mu prosto w oczy; odwzajemnia moje spojrzenie. No dobrze.

- Kilka dni po tym, jak się tu wprowadziliśmy, wydało mi się, że widzę chłopca wyglądającego z otworu w ścianie stryżku w stodole. Wiedziałem, że ten chłopiec mieszkał tu przed wieloma laty, ponieważ wcześniej znalazłem w piwnicy jego rzeczy. W komórce na węgiel natknąłem się na jego rysunki. Miał na imię Jacky. Chcesz je zobaczyć?

- Jasne.

Prowadzę Kena na górę do mojego pokoju i pokazuję mu rysunki.

Marszczy brwi.

- Nie jestem psychologiem, ale ten chłopiec z pewnością nie sprawia wrażenia szczęśliwego smyka.

- No pewnie. Usłyszałem już wcześniej w szkole tę historię o panu McTavishu i jego psach. I widzisz, jak jego mama zniknęła z rysunków? A potem narysował te. Musisz się dobrze przyjrzeć, ale czy dostrzegasz psy? Kły? Ogony?

Milknę. Ken kiwa głową, nie jakby mnie osądzał; po prostu słucha, czeka, żebym mówił dalej. Więc to robię:

- W każdym razie, wiedząc o tym wszystkim, zacząłem się zastanawiać, czy pan McTavish zabił żonę i czy może dzieciak, którego jak mi się zdawało, widziałem, był duchem Jacky'ego czy czymś takim. Zwłaszcza po tym, jak usłyszałem, że parababka Cody'ego uważała, że pan McTavish zamordował nie tylko matkę Jacky'ego, lecz także jego samego i kuzyna pani Murphy. Zacząłem więc zbierać informacje. I trafiłem na te materiały od ciebie oraz to, co znalazłem w „Weekly Bugle”.

- I w twoim umyśle ta sprawa coraz bardziej się rozrastała, aż do wczorajszego wieczoru.

- Tak. Ale nawet już wcześniej. Dużo wcześniej. To znaczy, słyszałem jego głos, czasami tylko w mojej głowie, a czasami jakby Jacky był obok mnie.

Czy naprawdę to powiedziałem? Ken nadal przytakuje, jakby moje słowa były całkiem sensowne.

- Potrafię zrozumieć, dlaczego byłeś taki wzburzony.

- Potrafisz?

- Jedna z cech, które mi się w tobie podobają, Cameronie, to, że ludzie cię obchodzą. Próbujesz wyobrazić sobie siebie na ich miejscu. Dlatego nie dziwi mnie, że współczułeś chłopcu, który narysował te obrazki, wyobrażałeś sobie, jak wyglądał i mówił.

- Ale to coś więcej, Ken. Ja z nim rozmawiam. Ciągle. Mama mówi, że poruszam wargami. Ma rację. Czasami staram się to powstrzymać.

To już trudniej Kenowi zaakceptować, ale się nie śmieje.

- Myślę, że każdemu zdarza się mówić do siebie. Może nie na głos ani nie poruszając ustami, ale w ważnych sytuacjach wyobrażamy sobie, co powiemy albo co powinniśmy byli powiedzieć.

- Ale nie każdy mówi do ducha.

- No, może nie. Ale nie jestem Bogiem. Istnieje wiele rzeczy, których nie znam albo nie pojmuję. Może po prostu dlatego, że nigdy ich nie doświadczyłem. - Po ojcowsku klepie mnie w ramię. - Jesteś dobrym dzieciakiem.

- Dzięki. - Jest coś, co muszę mu powiedzieć, zanim wstaniemy od stołu. - Cieszę się, że ty i mama się przyjaźnicie.

Kiedy mama wraca, gram na górze w gry komputerowe. Zamienia kilka słów z Kenem, a potem woła mnie do salonu. Wygląda na znużoną i spiętą.

- Przez resztę tego tygodnia będziesz jeździł do miasteczka i odrabiał lekcje w biurze agencji nieruchomości Kena. Nie mogę zostawiać cię tutaj samego. Ken zgodził się nocować u nas, dopóki nie zyskamy pewności, że sytuacja się unormowała. W przyszłym tygodniu pójdziesz do szkoły na okres próbny. Rodzina Murphych jest bardzo zdenerwowana, ale zgodzili się z dyrektorem, że możesz uczęszczać na zajęcia lekcyjne, o ile nie będziesz się odzywał do Cody'ego. Masz jadać lunch w gabinecie szkolnej konsultantki, nie w stołówce, i nie będziesz jeździł szkolnym autobusem. Rano będę cię odwozić, a po lekcjach zgłosisz się do gabinetu konsultantki i zaczekasz tam, aż zabiorę cię po pracy. I wreszcie, masz już więcej nie grać w żadne gry komputerowe.

- Co takiego?

- Cameronie, bez dyskusji. Musisz się do tego zastosować. Dziś po południu spotkasz się z lekarzem Kena. Poproszę go, aby skierował cię do psychoterapeuty z powodów, które powinny być dla ciebie oczywiste. Cameronie, rozmawiasz z wyimaginowanymi przyjaciółmi. Z duchami.

Odwracam się gwałtownie do Kena.

- Powiedziałaś jej!

- Musiałem.



## Trzydziesty trzeci

Reszta tygodnia to najbardziej samotny okres w moim życiu. Odbyłem wizytę u lekarza Kena. Przepisał mi na receptę pigułki nasenne – nazwał je środkiem zmniejszającym napięcie mięśniowe – oraz antydepresant, który jak powiedział, zacznie działać po mniej więcej dziesięciu dniach. Wolf Hollow to zbyt mała miejscina, żeby mieć psychiatrę – albo żeby ktokolwiek z mieszkańców chciał, aby widziano, jak do niego chodzi – ale doktor zapisał mnie do pani psychiatry w Ramsay. Jest zbyt zajęta, by przyjąć mnie natychmiast, jednak wciśnie mnie w swój harmonogram, gdyby przydarzył mi się „kolejny epizod”.

Z wyjątkiem wizyty u lekarza Kena tkwię w biurze agencji nieruchomości, odrabiając w magazynie lekcje. Nie ma tam okien, więc czuję się jak w więziennej izolatce. Mama powiedziała, że mógłbym pracować we frontowej części biura, obok niej, ale to byłoby jeszcze gorsze. Każdy wchodzący klient zastanawiałby się, dlaczego nie jestem w szkole. Gdy ukrywam się w magazynie, przynajmniej możemy udawać, że jestem chory. Zresztą mama rzeczywiście tak uważa, tylko ma na myśli chorobę psychiczną.

Jest jeszcze inny powód tego, że wybrałem magazyn i że kiedy wracamy do domu, nie ruszam się z mojej sypialni: ilekroć mama na mnie patrzy, wygląda, jakby miała się rozpłakać.

Głównie leżę w łóżku i patrzę na fotografię w ramce na nocnym stoliku przedstawiającą mamę i dziadków. Wyobrażam sobie ukryte pod nią zdjęcie taty. Czy on wygląda na nim tak, jak pamiętam? Tak bardzo chcę sprawdzić, ale co będzie, jeśli na widok jego twarzy ogarnie mnie przemożne pragnienie, by do niego zadzwonić? Pragnienie, któremu nie zdołam się oprzeć? Bo przecież numer jego komórki jest na odwrocie zdjęcia, tuż pod ręką!

Bardzo często myślę o tacie. Nie mam zbyt wielu innych kwestii do przemyśleń, poza tym dlaczego nie mam żadnych przyjaciół ani nikogo, komu mógłbym ufać, oraz tym, że może jestem wariatem, jak sądzi mama.

No bo ta sprawa z Jackym. O co w tym chodziło? Przed kilkoma dniami zrezygnowałem z pytania go, dlaczego mnie okłamał i wpakował w tarapaty. Zrezygnowałem, ponieważ, no cóż, mówiłem tylko do siebie. On ani razu się nie odezwał. To znaczy jakby go tu nie było. I może rzeczywiście go nie było. Nigdy. Ostatecznie przecież, czy kiedykolwiek dowiedziałem się o nim czegoś, czego nie mógłbym odgadnąć z oglądania jego rzeczy w piwnicy, jego rysunków, zdjęć w albumie pana Sinclaira lub z artykułów w „Weekly Bugle”? Albo co mogłem sobie wymyślić z powodu tego, co działo się między mamą i tatą, czy snów, które wydawały się takie realne.

Jeżeli tylko wymyśliłem Jacky’ego, co jeszcze mogłem sobie uroić? Właśnie nad tym się zastanawiam, kiedy rozmyślam o tacie. No bo co na przykład, jeśli ten tata z moich wyobrażeń – ten, przed którym ostrzega mnie mama – nie ma nic wspólnego z moim realnym tatą? Co, jeśli mama przesadnie rozdmuchała swoje lęki przed nim, tak jak ja rozdmuchałem rzeczy, które usłyszałem o panu McTavishu?

Na przykład tamten incydent, kiedy tata porzucił mnie na kompletnym pustkowiu. A jeżeli to tylko wydawało mi się pustkowiem, ponieważ byłem mały, a w rzeczywistości to był jakiś park i według taty po prostu bawiliśmy się w chowanego? Albo wtedy, gdy przytrzymał mnie

pod wodą: może to istotnie był trening. Przecież obecnie potrafię wstrzymać oddech, przepływając całą długość basenu, prawda? Albo ta sprawa z Facebookiem. A jeżeli tata tęsknił za mną i to był jego jedyny sposób, by mnie odnaleźć? Mama od lat trzyma go z dala od nas. Jaki miał inny wybór? Może mama swoim postępowaniem zmusiła go do tego. Może to jednak jej wina. A jeśli chodzi o tamto zdarzenie na balkonie – tata nigdy mnie nie upuścił, po prostu bawił się w samolot; bardzo wielu ojców tak robi. Może fałszywie zapamiętałem to wszystko.

Kiedy tak myślę, nienawidzę siebie za obwinianie go o rzeczy, które nie są jego winą. Potem nienawidzę siebie za wątpienie w mamę. Jestem złym synem wobec nich obojga. Co jest ze mną nie w porządku?

## Trzydziesty czwarty

Co jest ze mną nie w porządku? Właśnie o tym myślę znowu dzisiejszej, niedzielnej nocy. Jutro wracam do szkoły – do Cody’ego, który chce mojej śmierci; do Benjiego, który mnie wsypał; i do reszty świata gapiącej się na mnie i szepczącej o mnie. I założę się, że także piszącej o mnie na Tweeterze.

W każdym razie jest późno. Powiniennem spać, ale nie mogę. Siedzę przy biurku i wyglądam przez okno mojej sypialni. Widok jest dość ponury, Zżęte pola, opadłe liście i całkiem zachmurzone niebo. Po zapadnięciu zmroku widać tylko blask światła domu oblewający skraje pól. Dzisiejsza noc jest jeszcze gorsza. Wilgotne powietrze zamarza w mokry śnieg; porywy wiatru miotają nim o szyby z odgłosem sprawiającym, że szczególnie otulam ramiona kocem.

Tata. Pan McTavish. Psy. Gdybym popuścił wodze wyobraźni, mógłbym ujrzeć te psy spoglądające w górę na mnie z pola. Zaciągam zasłony i słyszę za plecami nikły głos:

– Cameron?

Dałbym głowę, że Jacky siedzi na brzegu mojego łóżka, ale się nie odwracam. Boję się, że go zobaczę.

– Cameron? Jesteś na mnie zły? Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć?

Co mam mu powiedzieć? Boję się, że nie istniejeś?

– Wiem, nie było mnie w pobliżu. Przykro mi, ale czułem się zraniony. Powiedziałeś o mnie różne rzeczy.

Przygryzam usta i zamykam oczy. Widzę Jacky’ego na wewnętrznej stronie powiek.

– Zanim znów zacznę z tobą rozmawiać – szepczę – musisz odpowiedzieć na kilka pytań.

– Dobrze.

Wydaje się zdenerwowany.

– Gdzie jesteś, kiedy nie ma cię przy mnie?

Jacky chwilę milczy.

– Nie wiem.

– Co robiłeś, zanim tu przybyłem?

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Ponieważ ludzie uważają mnie za wariata. Czasami sam myślę, że jestem wariatem.

– Nie jesteś – mówi Jacky. – Powiedziałbym ci, gdybyś był.

– Ale co, jeśli jednak jestem wariatem, a ty jesteś tylko...

– Jestem mną. Jestem po prostu mną. Jackym.

– Nie, jesteś czymś innym – mówię. – Udajesz mojego przyjaciela, ale mówisz mi nieprawdziwe rzeczy, przez które pakuję się w kłopoty.

– Na przykład co?

– Dobrze wiesz co: że twój ojciec zamordował twoją matkę i jej przyjaciela i powiesił ich ciała na strychu; i że potem zawołał cię tam i też zabił, i że odtąd to była twoja ciemna sekretna kryjówka.

– Nigdy tego nie powiedziałem. Posłuchaj, właśnie dlatego trzymałem się z dala od ciebie. Opowiedziałeś wszystkim kłamstwa o ojcu i o mnie. Nie widziałem żadnych martwych ciał.

Nigdy i nigdzie. Ani nigdy nie mówiłem, że widziałem. Opowiadałeś takie potworne rzeczy.

– Daj spokój, Jacky. Wszystko to było w tym śnie, który mi przysłałeś.

– No widzisz, znowu kłamiesz. Nigdy nie przysłałem ci żadnego snu.

– Co takiego? – wykrzykuję.

Czuję się, jakby mnie kopnięto w brzuch. Ale to prawda. Uznałem, że Jacky przysłał mi ten sen, ale nie wiedziałem tego.

Zaraz. Czy mówię na głos? Wstaję z krzesła i wyglądam na korytarz, żeby sprawdzić, czy mama albo Ken się nie przysłuchują. Ale korytarz jest pusty. Z pokoju Kena dobiega lekkie chrapanie. Zamykam drzwi, siadam na łóżku, opierając się plecami o poduszki, i zaciskam powieki. Jacky siedzi po turecku w nogach łóżka i owija sobie wokół palców ogon czapki.

– Masz rację. Przepraszam – mówię cicho. – Więc co się naprawdę stało po wyjeździe twojej matki?

Twarz Jacky'ego wykrzywia grymas.

– Nie chcę o tym mówić. To trudne.

– Proszę. Jestem twoim przyjacielem.

– No dobrze, ale nie powtórz nikomu. – Spuszcza wzrok. – Ojciec chciał, żebyśmy, matka i ja, byli grzeczni. Ale nie zawsze się go słuchołem, więc czasami po tym, jak dostałem pasy, musiał zamykać mnie w komórce na węgiel na mniej więcej dzień, dopóki nie pojmę nauczki, jaką mi dawał.

– Ty narysowałeś na ścianie te linie, które tam widziałem?

Jacky przytakuje.

– Jedną za każdym razem, gdy tam byłem.

– To straszne.

– Właśnie tak mówiła matka, ale nie miała racji. To mi dobrze robiło. Matka dawała mi latarkę, papier i kredki na wypadek, gdybym się nudził. Lubiłem tam rysować, widzieć w ciemności kolory. I tam trzymałem te moje rysunki, nawet kiedy nie musiałem.

– I twój ojciec nazywał to dawaniem ci nauczki? – pytam, wciąż nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

– Aha – przytakuje Jacky. – Matka też musiała dostawać nauczki. Tylko że nigdy nie potrafiła ich pojąć. Pewnej soboty ojciec pojechał na aukcję bydła. Zobaczyłem, że matka pakuje walizkę. Zapytałem, co robi. Odpowiedziała, że wkrótce się dowiem.

Przypominam sobie, ile razy mama pakowała nasze torby podróżne.

– Ojciec wrócił wcześniej. Powiedział, że wie, co ona knuje, i kazał mi pójść na strych i nie schodzić na dół, póki nie pozwoli. Lubiłem ten strych. Był daleko od schodów i kiedy tam siedziałem, nie słyszałem tak wyraźnie ich kłótni.

– Kiedy moi mama i tata się kłócili, zwykle zatykałem palcami uszy i nuciłem – mówię.

– To całkiem dobrze działa, co? – Jacky rzuca mi przebiegły uśmiech, a potem znów poważnieje. – Wtedy po pewnym czasie przestałem już słyszeć krzyki matki i pomyślałem, że może wolno mi zejść. Tylko że zajechał jakiś samochód i rozległo się pukanie do drzwi. Potem usłyszałem jakiegoś mężczyznę wrzeszczącego na ojca.

Matthew Fraser, myślę, przyjechał zabrać panią McTavish i Jacky'ego.

– Na strychu był stary kufer matki – ciągnie Jacky. – Wgramoliłem się do środka, zamknąłem wieko, zatkałem uszy i wszystko minęło.

– Na zawsze?

– Nie. Dopóki nie przyszedł ojciec i nie sprowadził mnie na dół. Posadził mnie sobie na

kolanach, pogładził po włosach i powiedział, że ma kilka złych wiadomości. Matka nas nie chciała. Powiedział, że próbował przekonać ją, żeby została, ale wyjechała ze swoim przyjacielem i już nie wróci. Ale ja nie muszę się martwić, powiedział, bo on mnie kocha i będziemy szczęśliwi tylko we dwóch, ale muszę być wyjątkowo grzeczny i odtąd nigdy już nie wychodzić z domu. Powiedział, że jeśli ludzie dowiedzą się, iż jestem na farmie bez matki, zabiorą mnie i zamkną w sierocińcu.

- To nieprawda. Nie zrobiliby tego.

Policzki Jacky'ego oblewa ciemnym rumieniem.

- Nazywasz mojego ojca kłamcą? To ty jesteś kłamcą.

- Masz rację, przepraszam. - Odczekuję, aż Jacky się uspokoi. - Więc co się wydarzyło?

- Ojciec wziął łopatę z szopy na tyłach domu i powiedział, że przez resztę dnia będzie pracować w stodole i mam mu nie przeszkadzać. „Zostań w domu”, powiedział.

- I zostałeś?

Jacky odwraca wzrok.

- Powinienem był.

- Ale tego nie zrobiłeś?

Kręci głową.

- Godzinę później wyrząłem przez kuchenne okno i zobaczyłem Arty'ego idącego na ukos przez pole do lasu; była wczesna wiosna i w ziemi były tylko nasiona. Chciałem mu powiedzieć, żeby się nie martwił, jeśli nie będzie mnie spotykał, i że nic mi nie jest.

- Więc poszedłeś na polanę?

- Kazałem mu przysiąc, że nie zdradzi mojego sekretu, bo inaczej będę miał wielkie kłopoty. Przysiągł. Na Arty'ego zawsze mogłem liczyć.

- Czy tamtego dnia zdarzyło się jeszcze coś dziwnego?

- Późno w nocy ojciec wetknął głowę do mojego pokoju. Udałem, że śpię. Kilka minut później wyszedł na dwór. Usłyszałem samochód. Zerknąłem przez okno i zobaczyłem ten samochód wyjeżdżający ze stodoły. Nie wiedziałem, czyj on jest. Odjechał. Ojciec zniknął. Nic nie rozumiałem. Bałem się. Ale do rana ojciec wrócił.

Zastanawiam się chwilę.

- Czy pamiętasz, żeby potem jacyś ludzie odwiedzali wasz dom?

Jacky się wzdryga.

- Dwa tygodnie po wyjeździe matki ojciec zobaczył wóz policyjny nadjeżdżający drogą. Krzyknął do mnie, żebym pobiegł do stodoły i ukrył się na stryszku, podczas gdy oni będą rozglądać się po naszym terenie. Zagrzebałem się w sianie. Kłuło mnie. Pomyślałem, że kichnę, ale oni weszli do stodoły tylko na chwilę i zaraz wyszli, i wszystko było dobrze.

- Ale nie było dobrze, prawda, Jacky?

Do oczu napływają mu łzy.

- Ojciec sprowadził psy, żeby odstraszały ludzi. Ale te psy... te psy... - Szłocha. - To była moja wina. To wszystko była moja wina.

- Co było twoją winą?

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Cameron?

To Ken.

Jacky znika.

- Wszystko w porządku. - Wstaję i otwieram. - Obudziłem się tylko, żeby pójść zrobić

siusiu.

– A więc dobrze.

Orientuję się, że Ken mi nie wierzy, ale wraca do łóżka, a ja idę do łazienki.

Wiem już teraz tak wiele. Jacky na pewno nie wyjechał z matką. To dowodzi, że list, w którym napisała, że jest z nią, był sfałszowany. Zapewniał panu McTavishowi alibi. Pan McTavish zabił ją i Matthew Fräsera, podczas gdy Jacky leżał zwinięty w kłębek w kufrze na strychu.

„Ale co zrobił z ciałami?”

Przecież to jasne! Jacky powiedział, że ojciec zaniósł do stodoły łopatę. Zakopał ich w klepisku boksów dla krów, w jedynym miejscu na tyle ciepłym, że grunt nie był zmarznięty. Krowy łążące tam i z powrotem ubiły twardo ziemię, co zapobiegło wycuciu trupiego smrodu – to i podściółka ze słomy przesiąknięta moczem i pełna krowich placków. Dodajmy do tego gliniarzy, którzy od początku nie wierzyli, że popełniono jakiekolwiek przestępstwo, a dojdziemy do wniosku, że pan McTavish wykopał te groby na wieczność.

„Tylko co z Jackym? Co się z nim stało? Dlaczego mówi, że to on jest winny tego, co zdarzyło się z jego ojcem i psami?”

Dopóki nie dowiem się prawdy o Jackym i psach, nie mogę powiedzieć nikomu ani słowa o całej tej sprawie. A nawet kiedy poznam prawdę, kto mi uwierzy po tym, co zdarzyło się na strychu? Żałuję, że nie mogę sam wziąć się do kopania, ale w stodole jest kilkanaście boksów, a mama i Ken przyłapałoby mnie, zanim cokolwiek bym odkrył. Rany, ale byłaby chryja.

Więc co mam zrobić?

## Trzydziesty piąty

Robię tylko tyle, że przez całą noc nie zasypiam. Rano mama zawozi mnie do szkoły. Docieramy jeszcze przed przyjazdem szkolnego autobusu, więc nie muszę się z nikim widzieć. Dyrektor oznajmia nam, że jestem oficjalnie uznany za ucznia „narażonego na ryzyko” – nie na ryzyko pobicia, lecz popadnięcia w kłopoty. Przedstawia punkt regulaminu nakazujący mi przebywanie między zajęciami w gabinecie szkolnej konsultantki i wygłosivszy te oświadczenia, wysyła mnie na lekcję angielskiego.

Kiedy wchodzę do sali, kilka osób zaczyna chichotać. Pan Bradley każe się wszystkim uspokoić. Przypuszczam, że orientuje się w sytuacji. Dyrektor prawdopodobnie powiadomił personel nauczycielski o moim wyczynie; zresztą i tak usłyszeliby o tym w trakcie weekendu. Przecież w tym miasteczku nie da się utrzymać niczego w tajemnicy – z wyjątkiem morderstw.

Pan Bradley każe mi usiąść w pierwszym rzędzie, żeby mieć mnie na oku. Potem poleca nam przejść do szóstego rozdziału powieści *Zabić drozda* i zadaje kilka pytań o postać Scouta. Życie toczy się dalej zwykłym trybem.

Tylko że wcale nie. Niewątpliwie wszyscy gapią się na mnie. Podają sobie liściki na mój temat. Wyczuwam to – tak jak czuję trafiającą mnie w tył głowy żutą kulkę papieru wystrzeloną z rurki, kiedy pan Bradley stoi odwrócony do nas plecami.

I tak jest przez cały dzień. W porze lunchu dzieciaki przyglądają mi się przez okno gabinetu szkolnej konsultantki, jakbym był zwierzęciem w zoo. Nie widzę nigdzie Cody’ego, ale jego kumple wałęsają się tam zamiast niego. Jeden z nich wskazuje na swoje oczy, potem na mnie i wymawia bezgłośnie: „Już nie żyjesz”. Dostrzegam też Benjiego. On jeden nie zagląda do środka, tylko idzie dalej korytarzem, jakbym w ogóle nie istniał.

Po lekcjach, kiedy gabinet szkolnej konsultantki zostaje zamknięty, czekam w sekretariacie, aż mama przyjedzie i odwiezie mnie do domu. Doprowadza mnie do obłędu rozmyślanie o tym, co powiedział mi Jacky i o trupach zakopanych w stodole, ale przede wszystkim o Codym i jego bandzie. Oni mnie dopadną. Tylko kiedy? Gdzie?

Odtąd tak wyglądał każdy dzień. Dwa tygodnie bycia świrem, z którym nikt nie rozmawia, ale o którym wszyscy rozmawiają. Dwa tygodnie, w trakcie których kumple Cody’ego podstawiają mi nogi na schodach, szturczą mnie łokciami tak, że wpadam na szafki, i szepczą mi do ucha, że dorwą mnie któregoś dnia, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu. Ach, tak, i jeszcze ktoś nagryzmolił markerem na mojej szafce: „Cameron Weaver to czubek”. Woźnym udało się trochę zetrzeć ten napis, jednak pozostał na tyle wyraźny, że wszyscy go widzą i śmieją się ze mnie.

Całe szczęście dzieciakom w szkole powoli nudziło się dokuczanie mi. Dały już sobie spokój z pokazywaniem mi gestami na korytarzach, że jestem szurnięty. Teraz tylko odsuwają się na obie strony ku szafkom, kiedy przechodzę. Jestem jak Mojżesz z tej opowieści ze szkółki niedzielnej, a oni są jak rozstępujące się morze. Poza tym panna Adams, szkolna konsultantka, poleciła mi, żebym jadał lunchy w jej sali konferencyjnej. Powiedziała, że czuje się okropnie, kiedy tak siedzę na widoku przy głównym oknie jak na wystawie, ale

naprawdę chodzi o to, żeby można mnie było łatwo zamknąć na klucz, gdybym zaczął „sprawiać kłopoty”.

Czekanie na mamę po lekcjach jest trochę mniej przykre. Mnóstwo dzieciaków odjeżdża autobusem, z wyjątkiem kilku sportowców ćwiczących w sali gimnastycznej, i w szkole robi się pusto. Jednak się nudzę, a jeśli mama się spóźnia, zamykają szkołę i sterczę samotnie na zewnątrz, odmrażając sobie tyłek. Powiedziałem mamie o groźbach bandy Cody’ego, ale odparła, że nie będą na tyle durni, by próbować czegoś na terenie szkoły.

– Poza tym możesz w każdej chwili do mnie zadzwonić – dodała.

– Jakby to mogło w czymś pomóc, jeśli Cody podjedzie samochodem i dokądś mnie wywiozą.

– Nie bądź głupi – rzekła z westchnieniem. – Cody jest za młody, żeby mieć prawo jazdy.

– Myślisz, że on się tym przejmuje?

– Z pewnością nie chce zostać aresztowany. Mówisz jak maniak.

A więc uważa za normalne myślenie, że tata chce nas zabić, ale u mnie to objaw obłądki, gdy uważam, że Cody mógłby prowadzić samochód. I kto tu jest wariatem?

W każdym razie pewnego dnia przed lekcją historii spróbowałem porozmawiać z Benjiem.

– Odejdź – odparł. – Nie mam ci nic do powiedzenia. Okłamałeś mnie. Podstępnie mnie wykorzystałeś. Wpakowałeś w kłopoty.

Odszedł tak szybko, jakby brał udział w zawodach chodźki.

– Proszę, zaczekaj. Przepraszam cię – powiedziałem, doganiając go.

– Mam gdzieś twoje przeprosiny. Przestań za mną łązić. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył, jak z tobą rozmawiam. Wystarczająco źle, że siedziałem obok ciebie w autobusie.

W domu jest nie lepiej. Jacky znowu się ukrywa; przypuszczam, że jest zbyt zdenerwowany tym, co mi powiedział. Szkoda, że nie potrafię odnaleźć jego kryjówki. W tej sytuacji do rozmowy pozostają mi tylko mama i Ken – och, i jeszcze dziadkowie podczas naszych cotygodniowych wesołych pogaduszek przez telefon, które są jednak zbyt dziwaczne, by można je uznać za prawdziwe rozmowy.

Ken stara się traktować sytuację lekko, ale mama obserwuje mnie bacznie jak sęp. Dziwne, że nie daje mi podczas posiłków plastikowych sztućców, na wypadek gdybym próbował kogoś dźgnąć, albo nie każe mi nosić piankowych ochraniaczy, gdyby przyszło mi do głowy wyskoczyć przez okno.

A skoro mowa o Kenie, oddalił się tylko raz, kiedy w weekend pojechał samochodem dwieście mil, żeby zobaczyć się ze swoimi dziećmi. Czy mama naprawdę aż tak bardzo boi się zostać ze mną sama?

– Występ taneczny Kimberley był wspaniały. Pokażę wam nagranie wideo – powiedział Ken po powrocie. – Patrick niedawno wstąpił do drużyny harcerskiej i zdobył już odznaki sprawności za wiązanie węzłów i chodzenie po równoważni.

Jasne, jakby oboje mieli trafić do Księgi Guinnessa albo pojechać na olimpiadę czy coś w tym rodzaju. Po chwili Ken umilkł i posmutniał, a mama na wszelkie sposoby okazywała mu współczucie.

Zastanawiam się, czy mama żałuje, że ja nie jestem taki jak Patrick czy Kimberley. Bo oni najwyraźniej są nieziemsko cudownymi dziećmi, a ja jestem szurniętym czubkiem, którego musi stale pilnować nieformalny strażnik, ponieważ mama niewątpliwie nie poradzi sobie ze mną sama, kiedy spróbuję spalić stodołę albo zacząć odprawiać w piwnicy satanistyczne obrzędy.



Ale poważnie, jak długo jeszcze Ken będzie u nas mieszkał? Owszem, to miły gość i w ogóle, ale mu nie ufam. I im dłużej u nas pozostaje, tym bardziej wygląda na to, jakby mama naprawdę się mnie bała.

– Obawiam się, że on staje się taki jak jego ojciec – powiedziała pewnego wieczoru do Kena.

Nigdy tego nie zapomnę. Wiem, że ona myśli tak tylko czasami, ale żeby powiedzieć o tym komuś jeszcze oprócz mnie...

Tata. A co, jeśli rzeczywiście upodabnam się do niego? Czy to byłoby takie złe? Naprawdę? Dawno, dawno temu mama kochała go tak bardzo, że wyszła za niego za męża. Więc jak mógłby być kimś aż tak złym? No dobrze, może nawalił i może nie wiem o wszystkim. Ale każdemu zdarza się coś schrzanić, prawda? Ja z pewnością nieraz schrzałem. Założę się, że mama też. Albo może ona jest Bogiem. Niewątpliwie zachowuje się tak, jakby była.

Poza tym mama nie wie, jaki tata jest teraz. Ludzie się zmieniają; właśnie to stale mi mówi: „Nigdy nie jest za późno, żeby się zmienić”. Wtedy w tamtym budynku rządowym tata powiedział, że przestał pić. A właśnie jego picie było przyczyną kłopotów. Zgoda, może nie wszystkich, ale większości, a przynajmniej najgorszych – tych, których byłem świadkiem. W każdym razie właśnie tak to pamiętam.

Ken też nie jest ideałem. Bo dlaczego żona go rzuciła? Może to było po prostu niedobre małżeństwo – ale być może działa się między nimi to samo co między moimi rodzicami. Ale przynajmniej Patrick i Kimberly go widują. Matka ich nie ukrywa i nie wmawia im, że ich ojciec to potwór.

„Tata”. Leżę w łóżku i patrzę na fotografię w ramce na nocnym stoliku z ukrytym pod nią zdjęciem. „Tato, co ty byś powiedział o tym wszystkim? Czy uważałbyś mnie za chorego psychicznie? Z pewnością nie traktowałbyś mnie gorzej niż wszyscy inni ludzie”.

Nagle, nieoczekiwanie ogarnia mnie to pragnienie. Chwytam fotografię w ramce i przekręcam zacisk na odwrocie. Kartonowa podkładka wysuwa się – i oto widzę zdjęcie taty i mnie na plaży. Właśnie zbudowaliśmy zamek z piasku – całkiem ładny, z fosą i murami – i tata obejmuje mnie ramieniem.

Serce bije mi mocno. Pamiętam tamten dzień, jeden z naszych najlepszych. Mama leżała na plażowym kocu i czytała, a tata i ja zakopywaliśmy się nawzajem w piasku. Potem jedliśmy wszyscy lody oblewane czekoladą, a później pływałem w płetwach i masce z rurką.

Tata. Na tej fotce się śmieje. Ja też. Jesteśmy szczęśliwi. Odwracam zdjęcie. Z tyłu jest numer. W każdej chwili mogę zadzwonić.

„Nie, nie mogę”.

Dlaczego? Rozumiem, że nie mogę się z nim spotkać. Ani powiadomić go, gdzie jestem. Ale chcę tylko usłyszeć jego głos. Upewnić się, że zależy mu na mnie. Choćby tylko dowiedzieć się, czy jeszcze żyje. I dać mu znać, że o nim nie zapomniałem. Co w tym złego?

Przecież musi być ktoś, z kim mógłbym porozmawiać. No bo z kim innym? Nie mogę porozmawiać z mamą. Ani z Kenem. Nie mogę porozmawiać z nikim w szkole. Nie mogę porozmawiać nawet z moimi dziadkami, nie tak naprawdę. A jeśli chodzi o dawnych przyjaciół, to czy w ogóle mam jakichś? W gruncie rzeczy już ich nie znam. Pozostaje więc tylko ta pani psychiatra, z którą mam się spotkać, ale wykluczone, żebym opowiedział jej o tych dziwniejszych sprawach, o których boję się powiedzieć nawet sobie. Nie. Oprócz mamy jedyną osobą na całym świecie, która naprawdę mnie zna, jest tata.

Tata. Muszę z nim porozmawiać. No bo gdybym nie mógł porozmawiać nawet ze swoim tatą... Gwałtownie wciągam haust powietrza. Czuję mrowienie w całym ciele. Wyjmuję komórkę.

„Nie. Przestań. Rozmowa z tatą tak łatwo nie przejdzie”.

Dlaczego? Mam zastrzeżony numer. Mama załatwiła, żeby nie pojawiał się na wyświetlaczu osoby, do której dzwonię.

„Ale ona płaci rachunki za ten telefon. Nie sprawdzi lokalnych połączeń, ale międzystanowe? Myślisz, że nie zauważy numeru taty?”.

Ale zanim przyjdzie rachunek, będzie za późno. Już rozmawiam z tatą.

„I co z tego? Ona się dowie. Myślisz, że teraz jest zdenerwowana? Zaczekaj, a dopiero zobaczysz prawdziwe zdenerwowanie”.

No dobrze, więc co mam zrobić? Pożyczyć komórkę?

„Od kogo? Nikt nie pożyczy mi komórki do rozmowy międzystanowej. Nie mogę też skorzystać z automatu telefonicznego. Tata zobaczyłby numer i wysłedził kod rejonu. Poza tym mama i szkoła pilnują mnie przez całą dobę, siedem dni w tygodniu, z wyjątkiem czasu, kiedy jestem w swoim pokoju”.

Chwileczkę. Wymyśliłem sposób.

Następnego dnia spotykam Benjiego na korytarzu.

– Potrzebuję przysługi.

– Nie ode mnie.

– Owszem, od ciebie, i dostanę ją.

– Nie ma mowy.

Oddała się swoim krokiem zawodowego chodźiarza.

– Sypnąłeś mnie w tamtym domu spokojnej starości – wołam za nim. – Ale ja nie zdradziłem cię przed Codym.

– Co masz na myśli?

– Pobił mnie, ponieważ nie powiedziałem mu, że to od ciebie usłyszałem o jego prababce.

Benjie daje nura do toalety dla chłopców. Wchodzę za nim. Jesteśmy tam sami.

– Posłuchaj – mówi, cały blady. – Ja prawie nic ci nie powiedziałem.

– A to, jak wryła się w kościół, porzuciła swój samochód na autostradzie i niemal spaliła dom? Śmiałeś się do rozpuku. Co o niej powiedziałaś? Że ma demencję, jest kompletnie szurnięta.

– Wcale nie to miałem na myśli.

– Sądziś, że Cody ci uwierzy? – Wręczam Benjiemu dziesięć dolców. – W porze lunchu pójdziesz do drogerii w miasteczku. Kupisz mi kartę telefoniczną do połączeń na całą Amerykę Północną. Podasz mi ją ukradkiem na matematyce. Jeśli jej nie dostanę, nie obwiniaj mnie, jeżeli Cody klepnie cię w ramię.

## Trzydziesty szósty

Po obiedzie idę na górę, a mama i Ken oglądają jakiś głupi program telewizyjny. Wyjmuję komórkę oraz zdjęcie taty i mnie i patrzę na jego numer, a potem na kod na karcie telefonicznej, którą kupił dla mnie Benjie. Minuty będą liczone jako połączenie lokalne. Jeżeli mama sprawdzi rachunek i zacznie węszyć, powiem, że użyłem karty, żeby zadzwonić do dawnego kolegi.

Trzymam palec nad klawiaturą komórki. Zastygam w bezruchu. Co się ze mną dzieje? Wystarczy tylko wybrać numer, a skontaktuję się z tatą. Czego się boję?

Wystukuję numer. Tam dzwoni telefon. Nie po prostu jakiś telefon, ale telefon taty. Po pięciu sygnałach zaczynam się niepokoić, że może nie ma go w domu albo zmienił numer, ale po szóstym odbiera.

– Halo.

To jego głos, taki jak pamiętam.

– Halo? – powtarza tata, jakby się zastanawiał, czy dzwoniący pomylił numer i się rozłączył.

„Powiedz coś”.

Co?

„Coś. Cokolwiek. »Witaj, tato« albo »Cześć, tato« – po prostu coś takiego”.

– Jest tam ktoś? – pyta tata.

Wyobrażam sobie, jak marszczy brwi. Chcę powiedzieć cześć, ale to słowo więźnie mi w gardle.

Rozłączam się.

„Wspaniale. Po prostu super”.

Nic się nie stało, spróbuję ponownie. Oniemiałem na głos taty, to wszystko. Usłyszałem go pierwszy raz od pięciu lat.

Wybieram numer. Tata odbiera po czwartym sygnale.

– Tak? – rzuca.

Już nie tak spokojnie, ale nie jest też wkurzony.

– Yy... yy... – „Powiedz to. Powiedz”. – Cześć.

– Kto mówi? – pyta tata takim tonem, jakby przypuszczał, że powinien rozpoznać głos, ale nie był pewny.

Dlaczego miałby mnie rozpoznać? Kiedy ostatni raz mnie słyszał, miałem głos wysoki i szczebiotliwy.

– Tu...

– Cameron! – woła mama z podnóża schodów.

– Muszę iść – mówię tacie i wpycham komórkę do kieszeni, jakby mnie przyłapano na miejscu zbrodni. Podchodzę do drzwi. – Co?

– Ken przyniósł domino. Chcesz zagrać?

– Nie, dzięki. Idę spać.

– Tak wcześniej?

– Aha. Jestem trochę zmęczony. To przez te proszki.

– Rób, jak uważasz.

Słyszę, że odchodzi, mówiąc coś do Kena.

Zamykam drzwi mojego pokoju i znów wyjmuję komórkę. Czy mam zadzwonić jeszcze raz? Tata może uznać mnie za świra. Albo tym razem mama mnie przytłapie.

„Wyluzuj. Mama i Ken grają w domino prawdopodobnie przy kuchennym stole na drugim końcu domu. A jeśli tata nie odbierze, mogę zadzwonić jutro”.

Podejmuję decyzję. Tym razem tata odzywa się po pierwszym sygnale.

– Stary?

Czy usłyszał, jak mama zawołała mnie po imieniu? A może się domyślił? Tak czy inaczej, wie. To jakby widział mnie, mój pokój, wszystko. Zaczynam się pocić. A więc nareszcie z nim rozmawiam.

– Stary, czy to ty? – Tata mówi tak, jakby chciał, żeby tak było, ale obawiał się mieć nadzieję. – Stary, proszę, nie rozłączaj się. Jestem tu. To ty, prawda?

Przełykam ślinę. Czy może słyszeć mój oddech?

– Tak. To ja.

– Cameron! Stary! – wykrzykuje; jego głos staje się nagle jasny i czysty.

Kiedy miałem jakieś dwa latka, pokazałem się nagle tacie, gdy bawiliśmy się w „a kuku”. Miałem głowę pod kołdrą, a tata szukał i mówił: „Gdzie jest Cameron? Gdzie mój kumpel Cameron?”. Ściągnąłem z twarzy kołdrę, a on klasnął w dłonie i zawołał: „Cameron! Stary!”, jakbym pojawił się cudem. Teraz w pewnym sensie rzeczywiście się tak stało.

– Zawsze wiedziałem, że zadzwonisz, stary – mówi nieco zdławionym głosem. – Nie wiedziałem kiedy, ale byłem pewien. Ty i ja zawsze byliśmy kumplami. Najlepszymi kumplami. Byłeś najwspanialszym dzieciakiem na świecie. Nadal jesteś. Kocham cię, stary.

– Tato... przepraszam, że tak długo się nie odzywałem – mówię do niego.

– Nie, w porządku. Ważne, że teraz dzwonisz. Gdzie jesteś? – Urywa gwałtownie. – Nie, nie mów mi, bo wpadniesz w kłopoty u mamy.

– Wiem, ja...

– Wszystko w porządku. Kocham twoją mamę. Nigdy nie powiem o niej złego słowa. Ale, wiesz, ona ma te dziwne pomysły. Wymyśla różne rzeczy. Nieważne. To nie twoja wina. Niczyja wina. Co u ciebie? Na pewno idzie ci wspaniale, co?

– No... chyba tak.

– Chyba? „Chyba” nie brzmi wspaniale.

– Rzeczywiście. Sprawy porobiły się... ee... – Głos mi drży. – No wiesz.

– Pewnie – mówi łagodnie. – Wiem. Czasami życie bywa do bani, co?

– Aha.

– Więc to dlatego dzwonisz? Coś się stało?

– Może. – Czy mu powiem? To takie trudne. – Pomyślisz, że mi odbiło.

– Nie mów mi, co pomyślę. Coś takiego nigdy nawet nie przyszłoby mi do głowy.

– Wszyscy inni tak myślą.

– Kogo obchodzi, co myślą wszyscy inni?

Mówię, zanim sam siebie powstrzymam:

– Potrzebuję cię. Naprawdę. Nie mam nikogo innego, z kim mógłbym porozmawiać.

– Jak to? Przecież masz mamę.

– Nie. Nie mam nikogo.

– Stary, stary. – Jest taki zmartwiony, że przez chwilę chcę przerwać tę rozmowę i się

rozłączyć. – O co chodzi, stary? Śmiało, powiedz mi.

– No dobrze... – To nic nie da, myślę. – Czy wierzysz w duchy?

– Jasne, dlaczego nie? To znaczy, posłuchaj, nigdy żadnego nie widziałem, nie rozmawiałem z żadnym ani nawet nie znalazłem się w pobliżu. Ale jest tyle opowieści, opowieści ludzi o wiele bystrzejszych ode mnie, którzy przysięgają, że widzieli duchy, rozmawiali z nimi. Wszystkie te historie... coś w nich musi być. Wiesz, stary, jak to się mówi: Nie ma dymu bez ognia.

– Tak, wiem. – Po raz pierwszy od wieków oddycham swobodnie. Naprawdę swobodnie. – Ja też tak myślę.

Nagle, nieoczekiwanie mama wbiega po schodach.

– Cameron? – Słyszę, że tuż za nią biegnie Ken. – Cameron?

– To mama, muszę kończyć – szepczę. – Zadzwoń jutro ze szkoły.

Rozłączam się, wsuwam zdjęcie i komórkę pod poduszkę; w tym momencie do pokoju wparowują mama i Ken.

Zrywam się na nogi.

– Halo? Znacie ten nowy wynalazek? Nazywa się prywatność.

Mama ma błędny wzrok.

– Cameronie, z kim rozmawiałeś? Czy to był ten duch?

– Nie! – wrzeszczę. – To nie był „ten duch”. To byli jego kumple! Cały pieprzony cmentarz! Mieliśmy imprezę.

– Nie odzywaj się do mnie w taki sposób.

Ken obejmuje ją ramieniem.

– Martwiliśmy się o ciebie – mówi do mnie.

– Nie martwcie się. Ze mną wszystko świetnie.

– Nie, Cameronie – mówi mama. – Nie jest z tobą świetnie.

Patrzy na mnie tak, jakby moja głowa miała zaraz oderwać się od szyi i walnąć w sufit. Może zresztą tak się stanie.

– Skoro tak się martwisz – rzucam wściekle – dlaczego nie śpisz tu na górze z Kenem? Wtedy mogłabyś podsłuchiwać mnie, kiedy tylko zechcesz. Poza tym to by oszczędziło Kenowi konieczności wymykania się w środku nocy na dół do twojego pokoju. Myślisz, że nie słyszę skrzypienia schodów?

Oczy mamy błyskają. Ken odwraca wzrok. Oboje odsuwają się od siebie.

O mój Boże. Więc to prawda!

– Jesteś winien Kenowi przeprosiny – mówi mama. – I mnie.

Odwraca się na pięcie i schodzi z powrotem na dół. Ken rzuca mi zakłopotane spojrzenie i podąża za nią.

A więc... mama sypia z Kenem. Może się tego i domyślałem, ale teraz wiem na pewno. A po mojej rozmowie telefonicznej wiem też coś jeszcze nawet ważniejszego.

Nie jestem wariatem. Tata też nie.

## Trzydziesty siódmy

Są sprawy, o których chcesz wiedzieć, i takie, o jakich nie chcesz. Teraz moja głowa jest pełna spraw, o których nie chcę wiedzieć, których nie mogę znieść. Siedzę na brzegu łóżka i kołyszę się w przód i w tył. W tym momencie, jakby wiedział, że go potrzebuję, obok mnie pojawia się Jacky.

– To ciężkie, co? – odzywa się. – Ja też nie chciałem wiedzieć o przyjacielu matki.

– Nie wiem, czego chcę. To dziwne. Chodzi o to, że lubię Kena.

– Ale on nie jest twoim ojcem.

– Nie, nie jest tatą. Jacky, jak mam postąpić wobec taty?

– Nie martw się. Wszystko się ułoży. – Mówi to takim poważnym tonem, jakby był najmądrzejszą osobą na świecie. Chwilę siedzimy w milczeniu, a potem Jacky je przerywa: – Wiem, niepokoi cię, kiedy nie ma mnie w pobliżu. Ukrywałem się w moim sekretnym miejscu. Nie chciałem myśleć o tamtym dniu z ojcem i psami.

– W porządku – odpowiadam, nie chcąc go spłoszyć. – Nie musisz mi o tym mówić.

– Owszem, muszę – mówi cicho. – To od zawsze była moja tajemnica. Sekrety są ciężkie, zwłaszcza takie sekrety. Nie dają ci spokoju. Próbuję się schować, zmusić je, żeby odeszły, ale one nie odchodzą i nie odejdą. Cameron, muszę ci o czymś powiedzieć. Tylko tobie mogę zaufać. Prawda?

– Na pewno chcesz mi powiedzieć?

– Tylko proszę, nie patrz na mnie. Będzie mi łatwiej, jeśli odwrócisz wzrok.

– Dobrze.

Wbijam spojrzenie w miejsce obok okna, gdzie odłazi tapeta. Po chwili zaczynam widzieć podwójnie, potem potrójnie, wszystko rozmazuje się i znika, i teraz istnieje dla mnie tylko głos Jacky'ego.

– Po wyjeździe matki i wizycie policji ojciec pozbył się telefonu. Telefon dzwonił o dziwnych porach i ojciec bał się, że mógłbym odebrać. Mniej więcej tydzień później sprowadził psy. Przywieziono je w stalowych klatkach. Karmił je w stodole, ale pozwalał im swobodnie biegać po terenie farmy. Powiedział, że mają odstraszać ludzi, którzy by mnie zabrali, skrzywdzili. Ale psy także trzymały mnie w domu; bałem się wyjść na dwór. Widziałem je z okna, jak ścigały króliki, które nigdy nie potrafiły uciec, jakby zapomniały, jak to się robi – i jak potem rozszarpały te króliki na strzępy. Stale śniło mi się, że jestem królikiem.

Ojciec wiedział, że się boję. Mówił, że to dobrze – że to trzyma mnie w ryzach. Kiedy byłem niegrzeczny albo mówiłem, że chcę spotkać się z Artym, już nie zamykał mnie w komórce na węgiel. Zamiast tego chwycił mnie za kark i włókł do drzwi. „No, dalej! – wrzeszczał. – Idź się spotkać z Artym. Daj się zamknąć w jakimś zaszczurzonemu sierocińcu. Zobaczysz, czy się tym przejmę”. A ja słyszałem szczekanie psów i chwyciłem się, czego zdołałem, lady kuchennej, framugi drzwi, czegokolwiek, żeby tylko nie dać się wyrzucić na zewnątrz. Czegokolwiek, co uchroni mnie od tych psów.

Właściwie wiedziałem, że ojciec nigdy nie rzuci mnie im na pożarcie. Nawet lubiłem, kiedy tak wpadał w szal i włókł mnie do drzwi. Bo potem zawsze obejmował mnie i mówił, że mnie

kocha.

Jacky urywa. Słyszę jednak jego oddech, szybki i ciężki, dokładnie w takim samym rytmie jak mój. Chcę go zapytać, co wydarzyło się tamtego dnia. Ale wiem, że to trudne, kiedy dochodzisz do części, której nie potrafisz wypowiedzieć, której nie chcesz pamiętać, więc nie odzywam się ani słowem. Tylko patrzę w ścianę i czekam, aż on będzie gotowy powiedzieć o tym, o czym jeszcze nigdy mi nie wspomniał.

– To był niedzielny ranek – zaczyna w końcu mówić Jacky. – Wiem, bo tego dnia zawsze słuchaliśmy mszy w radiu. Ojciec pił alkohol. Po wyjeździe matki stale pił. Robił się szary na twarzy, a w nocy miał koszmary, wołał imię matki i imię jej przyjaciela, i że to nie była jego wina, tylko ich, że sprawy tak się potoczyły.

W każdym razie był właśnie środek mszy i byliśmy w kuchni, a ojciec chodził tam i powrotem i mówił do siebie. Nagle zatrzymał się, złapał się za rękę i zeszywniał. Potem przewrócił się, uderzył głową o podłogę i leżał tak bez ruchu.

Z początku myślałem, że po prostu stracił przytomność. Potrząsnąłem nim więc i wołałem: „Ojczy? Ojczy?”. Bez skutku. Odwróciłem go na plecy. Patrzył w górę na mnie. Uderzyłem go dłonią w twarz. „Ocknij się. Ocknij się”. Ale się nie ocknął, tylko wciąż na mnie patrzył. Mówiłem sobie, że wszystko będzie dobrze. Ale nie było dobrze. Wiedziałem to. On nie żył.

Nie miałem pojęcia, co robić. Nie mogłem nigdzie zadzwonić, bo nie było telefonu. I nie mogłem pójść do Arty’ego, z powodu psów. Szczekały, drapały w drzwi. Ojciec ich wcześniej nie nakarmił. Wiedziałem, że muszą być głodne. Wziąłem więc z lodówki kawałek hamburgera, kurczaka i trochę warzyw i rzuciłem psom z okna mojej sypialni. Dostały szału, walczyły ze sobą o każdy kęs.

W nocy zostałem przy ojcu, żeby nie czuł się samotny, ponieważ nie było nikogo oprócz mnie, jego i psów. Potrzebowałem ojca. On zawsze wiedział, co robić. Tylko że teraz leżał całkiem sztywny i patrzył na mnie. Próbowałem zamknąć mu powieki, ale nie udało mi się. Więc owinąłem mu głowę ręcznikiem i okryłem go kocem, pod który też się wśliznąłem, żeby być blisko ojca.

Pozostałem przy ojcu przez trzy dni, rzucając psom wszelkie jedzenie, jakie zdołałem znaleźć. Nigdy nie miały dość. Potem ojciec zaczął śmierdzieć tak, jak zawsze zaczynała śmierdzieć patelnia, kiedy jej nie umył. Ten smród stał się taki okropny, że nie mogłem go znieść. Przetoczyłem ojca do drzwi, żeby wystawić go na świeże powietrze. Zaczekałem, aż przestaną słyszeć psy. Wtedy otworzyłem drzwi.

Ale kilka z psów było tuż za drzwiami. Skoczyły na ciało ojca. Popędziłem po schodach na górę. Pobiegły za mną. Wspiąłem się po drabinie na strych i wciągnąłem ją. Psy były już wszędzie, w całym domu. Zamknąłem kłapę, żeby ich nie widzieć. Ale nadal słyszałem, jak szarpia ojca, rozrywają na kawałki. To był moja wina. Wszystko to przeze mnie. Krzyczałem i krzyczałem, a potem podbiegłem do kufra matki. Wpełzłem do środka, zamknąłem wieko, zatkałem uszy palcami i śpiewałem piosenki, żeby nie słyszeć. W końcu zasnąłem.

Jacky milknie.

Och, nie. Teraz rozumiem.

– Co się stało, kiedy się obudziłeś? – pytam szeptem; ale znam odpowiedź.

– Było ciemno. – Pociąga nosem. – Po prostu tam zostałem.

– W kufrze twojej matki. W twojej sekretnej kryjówce?

– Tak.

Zastanawiam się, gdzie jest teraz ten kufer. Ale mówię tylko:

– Dobrze zrobiłeś.

– Nie.

– Serio. Byłeś odważniejszy, niż ja kiedykolwiek będę. Nawet teraz jesteś odważny. Ja nie potrafiłbym być samotny przez wszystkie te lata tak jak ty.

– Nie zawsze byłem samotny. Arty wprowadził się tutaj na pewien czas. Tylko że wyglądał starzej. Nie odzywał się do mnie. Nie chciał się już ze mną bawić. Potem ty się zjawiłeś. – Milknie na chwilę, po czym mówi nieśmiało: – Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

– Ja też się cieszę.

– A te psy też tu były. Tak jak ci mówiłem. One są wszędzie. Wszystko widzą.

Zamieram.

– Nie, w porządku – mówi Jacky. – Nie skrzywdzą cię. Ja im nie pozwolę.

– Ale to, co zrobiły twojemu ojcu...

– To była moja wina. Były głodne. Ale już nie są. Kiedy wtedy zasnąłem, śniło mi się, że się z nimi bawię. I odtąd się bawimy.

– Mimo wszystko, kiedy słyszę, jak wyją na wietrze... To ich wycie...

– Po prostu wydają takie dźwięki. Nie wszystko jest takie, jak myślimy. Wyobrażamy sobie rozmaite rzeczy, które nie są prawdą. Wiesz to, tak?

Przytakuję.

– Ojciec powiedział, że sprowadził psy dla mojego bezpieczeństwa. Żeby broniły mnie przed złymi ludźmi, którzy chcieli mnie zabrać. I one to robiły. Będą też chronić ciebie, jeśli zechcesz. – Czuję, że mnie obejmuje, jak młodszy brat. – Muszę już iść.

I znika.



## Trzydziesty ósmy

Przy śniadaniu wszyscy głównie milczą. Ken zarabia na życie uśmiechaniem się, więc parę razy próbuje rozluźnić atmosferę – zastanawia się, czy spadnie śnieg, albo zaczyna opowiadać jakąś zabawną historyjkę, ale mama mówi:

– Ken, nie teraz – i on się zamyka.

Jeśli sprawy wyglądały dziwnie przy śniadaniu, to robią się jeszcze dziwniejsze, kiedy mama odwozi mnie do szkoły. Jutro jest weekend. Nawet lekcje byłyby lepsze niż takie dwa dni.

W końcu mama przerywa ciszę.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Na przykład co?

– Mam ci to przeliterować?

– Och, niby że przepraszam za to, co powiedziałem o tobie i Kenie?

– Coś w tym rodzaju.

– Dlaczego miałbym przepraszać? To była prawda. A czy ty masz coś mnie do powiedzenia?

Mama rzuca na mnie spojrzenie.

– Co na przykład?

– Czy przed Kenem spotykałaś się z innymi facetami?

– To nie twoja sprawa.

– Czyli się spotykałaś.

Mama bierze gniewnie głęboki wdech.

– Skoro musisz wiedzieć, sporadycznie. Zapraszano mnie czasem na obiad. Ostatni raz przed rokiem.

– Dlaczego mi o tym nie mówiłaś?

– Chciałam zaczekać, aż zyskam pewność, że znalazłam właściwego mężczyznę.

Wygłądam przez okno samochodu.

– Czy kiedykolwiek „poszłaś na obiad”, kiedy byliśmy z tatą?

– Cameronie!

– Poszłaś? Czy to dlatego się wściekał?

– Oczywiście, że tego nie robiłam. Przypuszczam, że słyszałeś, jak wykrzykiwał różne rzeczy. Miał pokręconą wyobraźnię. Zmyślał historie, które nie były prawdziwe.

– Innymi słowy był taki jak ja.

– Wcale tego nie powiedziałam.

– Czy powiedziałaś mi, gdyby jego historie były prawdziwe?

Mama mocno zaciska dłonie na kierownicy.

– Ta rozmowa dobiegła końca.

Milczymy przez resztę drogi do szkoły.

Wysiadam z samochodu.

– Dziękuję.

Mama odjeżdża bez słowa. Okresy milczenia to jej sposób karania mnie. Cóż, teraz to nie

podziała; mogę porozmawiać z tatą. Do lunchu potrafię myśleć tylko o nim. Nie przejmuję się nawet tym, kiedy Brandon, koleżka Cody'ego, dźga mnie piórem i mówi:

– Miej się na baczności, czubku. My nie zapomnieliśmy. Wiemy, gdzie mieszkasz.

W gabinecie szkolnej konsultantki, panny Adams, pozdrawiam ją skinieniem ręki. Wchodzę do sali konferencyjnej, wyjmuję kanapkę, komórkę, kartę telefoniczną i dzwonię do taty.

– Cześć, stary, dawno nie rozmawialiśmy – mówi ze śmiechem.

– Wczorajszego wieczoru mama myślała, że rozmawiam z duchem – odpowiadam, też się śmiejąc.

– Przypuszczam, że rzeczywiście byłem kimś w rodzaju ducha, odkąd cię zabrała. Byłem przy tobie duchem, nawet jeśli nie mogłeś mnie widzieć.

– No tak. – Waham się. – Tato, przykro mi o to pytać, ale czy próbowałaś nas odszukać? To znaczy, czy nas ścigałaś?

– Czy tak twierdzi twoja mama?

– Nie tylko ona. Była ta sprawa z Facebookiem.

– Przepraszam cię za tamto – mówi cicho tata. – To po prostu... Cameronie, kocham cię. Który ojciec nie szukałby swojego syna?

– Nie wiem.

– No cóż, ja też nie wiem. Jesteś dla mnie najcenniejszy na świecie, stary. Każdej nocy śnię o tobie, a we dnie rozmyślam o tobie, martwię się o ciebie. Inaczej jaki byłby ze mnie ojciec?

– No tak.

– Pewnie nazywała mnie prześladowcą. Składała na mnie skargi na policji – mówi tata. Nic nie odpowiadam, ale on czyta w moich myślach. – Tak sądziłem. Twoi dziadkowie... no cóż, nie będę o nich mówił, jestem pewien, że bardzo cię kochają. Ale oni... no... Przepraszam, są sprawy, o których nie powinienem wspominać.

– Nie, powiedz.

– Chciałbym. Ale rodzice nie powinni mówić źle o sobie nawzajem ani o dziadkach. To nie fair. Nie zmyślałbyś rzeczy o kimś, kto nie byłby obecny i nie mógłby się bronić, prawda?

– Nie.

– Grzeczny chłopiec. Kiedy rodzic albo dziadek czy babcia kłamią o drugim rodzicu, może to zaburzyć dziecko. – Milknie na chwilę. – W każdym razie to prawda, że wynająłem prywatnego detektywa. Nie wiem o wszystkich działaniach, jakie podjął. Wiem tylko, że kosztował mnie kupę pieniędzy. Ale byłeś tego wart. Bez ciebie moje życie nie było już takie samo.

Serce zaczyna mi bić trochę szybciej.

– A więc, na przykład, wiedziałaś, gdzie mieszkaliśmy?

– Właściwie nie. Ten detektyw nie był zbyt dobry. Myślę, że przeprowadziliście się ze dwa razy.

– Cztery.

– Cztery? To często.

– Tak. Mama wciąż powtarza, że umie się zorientować, kiedy jesteś w pobliżu. Mówi, że potrafi to wyczuć. To, że kręcisz się w okolicy, kiedy pracuje, albo parkujesz w nocy przed naszym domem, rozmaite tego rodzaju rzeczy.

– Umysł potrafi płatać figle, czyż nie? Jak przypuszczam, zdałaś sobie sprawę, że gdyby to, co o mnie mówiła, było prawdą, zostałbym aresztowany.

- Tak, pomyślałem o tym.

- A nie zostałem aresztowany, nieprawdaż? - Wzdycha. - Tyle przeprowadzek... to musiało być dla ciebie piekło. Porzucanie przyjaciół. Myślenie, że twój tata psychol czai się na zewnątrz, żeby cię dopaść.

- To było okropne.

- Nie wątpię, stary. Tylko pamiętaj, mam na imię Mike.

- Słucham?

Tata chichocze cicho.

- Mike. To uczciwe, solidne imię, podobnie jak Cameron. Imię, któremu można ufać. Nie takie jak Cody.

- C-co?

Gardło ściska mi nerwowy skurcz.

- Albo jak Jason, Colt czy Zach. No wiesz, wymyślne imiona dla zabijaków. Nie mogę oddychać.

- Dlaczego powiedziałaś Cody?

- O co ci chodzi? Znasz jakiegoś Cody'ego?

- Może.

- Lubisz go?

- Nie.

- No widzisz, nie mówiłem? - Tata znów się śmieje. - Przez moment myślałem, że wpadasz w paranoję, jak twoja mama.

- Tato, muszę kończyć - kłamię. - Zaraz będzie dzwonek na lekcję.

- A więc na razie - mówi. - Porozmawiamy później.

- Na pewno.

Rozłączam się. Cody? O co w tym wszystkim chodzi?

## Trzydziesty dziewiąty

Ta sprawa z Codym dręczy mnie przez cały dzień. Mam wrażenie, jakby mój mózg się zaciął. Budzę się w środku nocy w panice, spocony. Co ja narobiłem?!

„Nic. Zadzwoiłeś do taty. Wielka mi rzecz”.

Coś jest nie w porządku. Tata wie o Codym.

„To był tylko przypadek. Wymienił to imię razem z kupą innych”.

Nie, zdradziłem się z tym, gdzie jesteśmy.

„Jak?”.

Nie wiem, ale to zrobiłem. Tata już po nas jedzie. To moja wina. Muszę powiedzieć mamie.

„Żartujesz? Ona dostanie szału. I to bez żadnego powodu”.

Ale jeżeli tata przyjedzie... może zrobić nam krzywdę; może nas zabić...

„Tak mówi mama. Przypomnij sobie głos taty. Brzmiał miło”.

Każdy może mieć miły głos.

„Tata nie przyjedzie, ponieważ to niemożliwe, żeby mógł się dowiedzieć, gdzie jesteśmy – odebrał połączenie z karty telefonicznej. A poza tym, pamiętasz tę pierwszą rozmowę? Powiedział, żebyś mu nie mówił, gdzie mieszkacie, ponieważ mama się wścieknie. To oznacza, że nie wie i nie chce przyczynić ci kłopotów”.

A co, jeśli jednak wie?

„A co, gdyby kaczkę jeździły na rowerach? Nie bądź idiotą. Jeżeli tata przyjedzie, jest tu Ken. To duży facet. Wykluczone, aby tata mógł wykręcić jakiś numer przy Kenie. Nic się nam nie stanie”.

Ale ale ale ale...

I tak przez całą noc spierałem się sam ze sobą. Zagryzałem poduszkę, żeby powstrzymać się przed mówieniem na głos.

Wstaję wcześniej i myję zęby. Nie mogę uwierzyć, że ten gość w lustrze to ja. Mam twarz szarą jak trup, pod oczami worki jak torby sportowe. Sobota. Weekend z mamą i Kenem. Proszę, czy mógłbym już umrzeć?

Oboje są już w kuchni. Musieli usłyszeć, jak się krzątam, bo cichną, jakby przełączyli się na tryb szeptów i gestów. Schodzę na dół; rozmyślam o moich potajemnych telefonach i zastanawiam się, co mówili. Nie potrafię spojrzeć im w oczy – nie, kiedy wiem, że powinienem powiedzieć o tacie; ale nie mogę tego zrobić, nie wywołując trzeciej wojny światowej.

– Miałeś ciężką noc? – pyta mama łagodnie, przez co czuję się jeszcze podlej.

– Tak.

Opadam na krzesło.

Mama przynosi mi moje płatki śniadaniowe.

– My też nie spaliśmy dobrze.

– Przykro mi – mówię cicho. – Naprawdę.

Mama ściska mnie za ramiona, zaskoczona i szczęśliwa. Jestem pewien, że myśli, iż mówię o tym, co powiedziałem o niej i Kenie. Jeżeli to mnie uwolni od opowiedzenia o telefonie do

taty, to świetnie. Mama przywołuje gestem Kena i oboje siadają przy stole naprzeciwko mnie.

– Nam też jest przykro. Ken, chcesz zacząć?

– Jasne. – Ken pochyla się nad stołem, usiłując pochwycić moje spojrzenie. Zerkam na niego. – Kilka tygodni temu między nami dwoma wyszło niefajnie. Z mojej winy. Zwierzyłeś mi się z czegoś w zaufaniu, a ja powtórzyłem to twojej mamie. Powinienem być oznajmić ci jasno, że jej powiem, i wytłumaczyć dlaczego. Mogliśmy o tym porozmawiać, może razem pomówić z twoją mamą. Ale pospieszyłem się, a ty wpadłeś w tarapaty. To nie było w porządku i to ja zawiniłem. Przepraszam cię.

Wolno podnoszę na niego wzrok. Ken rzuca mi wzruszające spojrzenie, takie jak wtedy, kiedy mówił o swoich dzieciach.

– No tak, w porządku – mówię powoli. – To znaczy, chyba wiem, dlaczego uznałeś, że musisz powiedzieć o tym mamie. I owszem, gdybyś najpierw powiadomił mnie, prawdopodobnie nie byłbym taki wściekły. W każdym razie dziękuję.

– Więc między nami wszystko dobrze?

– Chyba tak. Jasne.

– Ja też chcę cię za coś przeprosić – mówi mama i bierze mnie za rękę. – Powinna była porozmawiać z tobą o wprowadzeniu Kena w nasze życie jako kogoś więcej niż tylko przyjaciela. Przemyskanie się ukradkiem to okropna rzecz bez względu na to, ile ma się lat. Porozmawialiśmy oboje i uznaliśmy, że jeżeli wolałbyś, aby Ken mieszkał u siebie, on tak zrobi.

– Oczywiście – mówi Ken. – To twój dom. Ja jestem tu tylko gościem.

– Chyba trochę więcej niż gościem – rzucam i udaje mi się uśmiechnąć.

– A więc... – mama urywa, pozwalając, by decyzja zawisła w powietrzu.

Wbijam wzrok w mój talerz z płatkami. Wiem, że mama nigdy nie wróci do taty i ma prawo być z kimś innym. Ken mnie nie irytuje ani nie próbuje mną dyrygować i wiem, że zależy mu na nas. Poza tym, jeżeli tata kiedykolwiek się zjawi i będzie czegoś próbował – to znaczy, nie robi tego, ale gdyby – wtedy Ken zajmie się tym, a ja nie będę musiał czuć się, jakbym naraził mamę na niebezpieczeństwo.

Ken odchrząkuje.

– Może pójde na górę, żebyś mógł swobodnie porozmawiać z mamą?

– Nie, w porządku. – Podnoszę na niego wzrok. – Możesz mieszkać u nas, jeśli chcesz. Tylko... wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale po prostu nie chcę niczego słyszeć, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Mama oblewa się rumieńcem.

– Oczywiście.

– Co nie znaczy, że cokolwiek słyszałem. Bo nie słyszałem.

Wygląda, że mama i Ken czują ulgę. Mama ściska moją dłoń, a Ken sięga przez stół i ujmuje drugą, a potem oboje biorą się za ręce.

– Od dziś żadnych więcej sekretów – mówi mama. – Zgoda?

Ken i ja przytakujemy.

– Zgoda.

Jak gdyby to w ogóle było możliwe.

Zazwyczaj tego rodzaju rozmowy wprawiają mnie w zakłopotanie. Ale nie dzisiaj. Przeciwnie, moja bańka napięcia i niepokoju pęka i czuję się, jakbym wzlatywał. Czuję się bezpiecznie: mama i Ken są po mojej stronie; i dlatego kiedykolwiek myślałem, że tata może sprawić kłopoty? W istocie ogarnia mnie tak wspaniały nastrój, że z własnej inicjatywy, bez ponaglenia, zmywam naczynia i tak ścielę moje łóżko, że pościel nie wystaje po bokach spod narzuty, co zdaniem mamy jest dla mnie wielkim osiągnięciem.

Mama i Ken też się nagle zmieniają. Mama wygląda młodziej, a Ken powraca do beztróskiego nastroju. Ma się wrażenie, jakbyśmy wszyscy mieszkali w Miasteczku Szczęścia z gry komputerowej. Późnym rankiem Ken zawozi nas do Ramsay, do prawdziwego francuskiego bistra. Mama i Ken zamawiają tam makaron o wymyślnej nazwie, z kalmarami i małżami, oraz avocado z czerwoną sałatą. Ja jem cheeseburgera i frytki; poprawka: *hamburger aux trois fromages et pommes frites*.

Jednak jak zawsze, gdy jedno zmartwienie opuszcza w akrobatycznych ewolucjach arenę cyrkową mojego umysłu, natychmiast wskakuje na nią saltem następne. To nowe zmartwienie dopada mnie w drodze powrotnej do domu: Jak mam się zachować wobec taty? To znaczy, wspaniale jest mieć z nim znowu kontakt i wiedzieć, że on nadal się o mnie troszczy, ale nie mogę stale potajemnie do niego dzwonić.

„Dlaczego nie?”

Nie potrafię znieść kłamania. To zbyt stresujące.

„Jest różnica pomiędzy kłamstwem a utrzymywaniem czegoś w tajemnicy”.

Nie wydaje mi się. Mama też by tak nie pomyślała. Prędzej czy później dowie się o tych telefonach albo ja powiem tacie coś, co rzeczywiście zdradzi miejsce naszego pobytu.

„Jeśli przestaniesz dzwonić, tata zaniepokoi się o ciebie”.

Wiem.

Docieramy do domu późnym popołudniem. Idę na górę odrobić trochę lekcji, a mama i Ken udają się do sypialni, żeby się zdrzemnąć; w każdym razie tak to nazywają. Wkładam do uszu słuchawki, podkręcam głośność i usiłuję odrabiać matematykę. Jednak liczby wirują mi przed oczami.

Wyglądam przez okno na stodołę. Jeżeli mam rację, są tam pogrzebane dwa ciała. Wyobrażam sobie pana McTavisha kopiącego groby – i twarz pani McTavish: martwą, z oczami wytrzeszczonymi ze zgrozy. Myślę o twarzy mamy. Jak wyglądałaby martwa? A Ken? I ja? Przestań, to chore.

Kurczowo ściskam brzeg biurka i liczę do dziesięciu. To nie pomaga. Nagle coś innego budzi we mnie lęk. Ktoś albo coś jest w stodole i mnie obserwuje.

„Jasne. Tak jak wtedy, gdy wyobraziłem sobie mutanty czające się za piecem w piwnicy, psy na polu kukurydzy i trupy wiszące na strychu”.

Nie. To jest rzeczywiste.

„Z pola zebrano kukurydzę. Nikt nie zdołałby przekraść się niepostrzeżenie do stodoły”.

Mógł zjawić się wczorajszej nocy albo kiedy byliśmy na lunchu.

„Ale kto?”.

Pan Sinclair?

„To dziwak, ale nie zwyrodnialec”.

Tata?

„On nie wie, gdzie mieszkamy”.

Cody wie. Jego kumpel Brandon powiedział: „Miej się na baczności, czubku. My nie zapomnieliśmy. Wiemy, gdzie mieszkasz”.

„Dlaczego Cody miałby się tu kręcić?”.

Aby dowieść, że może dorwać mnie wszędzie.

„Nie ryzykowałby tego. Po waszej bójce byłby pierwszym podejrzanym”.

Nie gdyby wysłał swoją bandę, a sam miał alibi. Oni mogą czekać, aż wyjdę na dwór, albo włamać się w nocy do domu. Gdyby byli zamaskowani, jak zdołałbym cokolwiek udowodnić?

„Daj spokój, to tylko twoja wyobraźnia”.

Czyżby?

Przez całą kolację jestem zdenerwowany, ale nic nie mówię. Gdybym powiedział mamie i Kenowi o moich obawach, pomyśleliby, że znów mam urojenia, i wszystko by się zawaliło, właśnie kiedy zaczęli się zachowywać, jakbym znowu był normalny. Grzebię widelcem w moim groszku.

– Co się dzieje? – pyta mama.

U-uch.

– Czy mówiłem na głos?

– Nie. Ale masz zmartwienie wypisane na twarzy. I odkąd usiadłeś przy stole, prawie się nie odzywasz.

Próbuję wymuszonego uśmiechu.

– To tylko matematyka. Jest kilka wzorów, których nie rozumiem.

– Chcesz, żebyśmy po pozmywaniu naczyń rzucili na to okiem? Mama i ja moglibyśmy wspólnymi siłami pomóc ci rozgryźć te wzory.

– Jasne – mówię.

Ich obecność oderwie moją uwagę od tych lęków.

I rzeczywiście tak się stało. Ale wkrótce światła w domu gasną. Przez całą noc leżę bezsennie w łóżku, wyobrażając sobie najgorsze. Każdy dźwięk budzi we mnie strach: odległe zawrozcenie kojotów; wycie psów na wietrze.

Podczas niedzielnego śniadania mama i Ken przyłapują mnie na tym, że poruszam wargami.

– Cameronie, porozmawiaj z nami – odzywa się mama. – Dręczy cię coś więcej niż tylko kilka zadań z matematyki.

– To nic.

– Gdyby to było nic, nie zachowywałbyś się w taki sposób.

Odkładam łyżkę i patrzę na mamę, na Kena, potem znów na mamę.

– Po prostu coś sobie wyobrażam, jasne? To nic takiego. Nie jest rzeczywiste. Wszystko to tkwi tylko w mojej głowie.

– Ważne, że to wiesz – mówi mama. – To wielki pierwszy krok.

Ken marszczy brwi.

- Ale to nie wystarczy, by pozbyć się lęku, prawda? Może gdybyśmy się dowiedzieli, skąd on się bierze, moglibyśmy postarać się go rozwiązać.

Urocze. Czyli dopóki mówię, że to, co mnie niepokoi, nie jest rzeczywiste, oni będą to traktować poważnie.

- Mamo... - Jak mam to ująć? - Pamiętasz, jak czasami myślałaś, że tata jest w samochodzie zaparkowanym w mrocznym cieniu po drugiej stronie ulicy?

- Był tam.

- No tak, ale w gruncie rzeczy nigdy go nie widziałaś.

- Nie musiałam widzieć. Wiedziałam.

- W porządku, więc tak samo jest ze mną, kiedy patrzę na tę stodołę. Nikogo nie widziałem, ale myślę, że ktoś mnie stamtąd obserwuje.

Mama sztywnieje z napięcia.

- Twój ojciec?

- Nie wiem kto. Może Cody? Albo ktoś z jego bandy?

- Ale wszystko to jest tylko w twojej głowie, zgadza się?

- Chyba tak. Sam nie wiem.

- To zrozumiałe, że żyjesz w lęku po tym wszystkim, co zrobił twój ojciec - mówi mama. - Ale teraz jesteś już bezpieczny.

- Ale ten Cody jednak mieszka w tej okolicy - odzywa się Ken. - Wiemy, że w rzeczywistości nie wszedłby na teren tej farmy, ale to nie rozwiewa obaw, prawda? - Posyła mi pokrzepiający uśmiech. - Może po śniadaniu sprawdzimy stodołę, żeby cię uspokoić? Zawsze najlepiej jest stawić czoło naszym lękom.

- Wiem i stale tak postępuję z rzeczami, które sobie wymyślam, takimi jak zombi w kotłowni. Ale... - urywam i milknę.

- Mogę pójść tam sam, jeśli wolisz - proponuje Ken.

- Nie, nie chcę, żeby ci się coś stało.

- Dlaczego Kenowi miałyby się coś stać? - pyta mama. - Tam nic nie ma. Uważam, że powinniśmy pójść wszyscy. Nigdy nawet nie zajrzałam do tej stodoły. To mogłoby być interesujące.

- Nie. Posłuchaj, pójdę z Kenem. Ty zostań w domu na wypadek jakichś kłopotów. To znaczy, nie będzie żadnych, ale po prostu na wszelki wypadek. Wezmę moją komórkę.

Mama i Ken wymieniają spojrzenia.

- Dobrze - mówi mama. - Oczekuję od was pełnego raportu, a potem wszyscy będziemy mogli zdrowo się z tego pośmiać.

Ken i ja zbliżamy się do stodoły. Staram się nie zerkać w górę na otwór w ścianie stryżku. Wchodzimy do środka i zapalamy nasze latarki. Omiatamy promieniami światła parter stodoły; cienie błędzą od boksu do boksu.

- Zacznijmy po przeciwnych stronach i posuwajmy się przejściami, aż spotkamy się w połowie drogi - proponuje Ken. - W ten sposób nasz wyimaginowany intruz nie będzie mógł uciec. Jeśli cokolwiek zobaczysz, krzycz, a ja natychmiast przybiegnę.

Jakiż ze mnie dzieciuch. Przy Kenie lęki z ubiegłej nocy wydają mi się tylko snem, zwłaszcza gdy on pogwizduje piosenki pop. Owszem, cienie są niesamowite, ale to normalne, przecież to stara stodoła... i są w niej trupy. Gdzie zakopano panią McTavish i Matthew Frasera? Wyobrażam sobie ich kości sterczące z ziemi w boksie przede mną, potem



w następnym i kolejnym, dopóki Ken i ja nie spotykamy się wreszcie pośrodku stodoły.

– Widziałeś coś? – pyta.

– Nie.

– Świetnie. Sprawdźmy jeszcze stryszek i wracajmy do domu. Jest zimno. – Uśmiecha się szeroko. – Twoja mama niewątpliwie ma rację co do tego, że trzeba się ciepło ubierać.

Zaczynamy wchodzić po schodach, Ken pierwszy, ja za nim; oglądam się przez ramię, chociaż wiem, że nikogo za mną nie ma. Proszę w duchu, niech stryszek okaże się pusty. Niech tam też nikogo nie będzie.

Docieramy do szczytu schodów. Co za ulga. Nikogo tu nie ma oprócz ptaków na krokwiach.

– Czujesz się teraz lepiej? – pyta Ken.

Kiwam głową.

– Przepraszam za to wszystko... no wiesz.

– Nie ma sprawy. Nie trzeba się wstydzić lęku. Od czasu do czasu dopada każdego. – Śmieje się. – Pewnego dnia będę ci musiał opowiedzieć, jak bardzo bałem się ciebie podczas naszej pierwszej prawdziwej rozmowy, kiedy tamtego ranka przyszedłeś do mojego biura.

– Bałeś się mnie?!

– Serio. Pomyślałem: Jeśli ten dzieciak mnie znienawidzi, mam przechłapanie u Katherine.

Uśmiecham się.

– No tak, groźny ze mnie gość. Zapytaj każdego.

Ken klepie mnie w plecy.

– Dobra, wracamy do domu. Chcę kawy.

Rusza po schodach na dół.

Jakim byłem idiotą. Potrząsam głową i podążam za nim. U szczytu schodów po raz ostatni rozglądam się wokoło...

Żołądek ściska mi lodowaty, mdlący skurcz. Kiedy byłem tu poprzednio, na środku pomieszczenia leżało przewrócone na bok stare wiadro. Teraz jest gdzie indziej, przy otworze w ścianie, odwrócone do góry dnem, żeby posłużyło jako stołek. Prawdopodobnie siedział na nim Cody, obserwując mnie, kiedy byłem w swoim pokoju.

Muszę powiedzieć o tym Kenowi. Nie, chwileczkę. A jeśli to ja postawiłem sobie to wiadro, kiedy szpiegowałem pana Sinclaira? To było tak dawno, że już nie pamiętam. Mogłem przenieść je odruchowo i zapewne tak właśnie zrobiłem. Ale jedno jest pewne. Odtąd trzymam zasłony w pokoju zaciągnięte. I nie wychodzę na dwór sam.

## Czterdziesty pierwszy

W poniedziałek rano mama odwozi mnie do szkoły. Czuję w głowie kompletny mętlik w związku ze szpiegującym mnie Codym, ale przede wszystkim dręczy mnie to, jak mam zakomunikować tacie, że nie możemy już więcej rozmawiać. Tak bardzo się z tego cieszył i nie chcę urazić jego uczuć, ale oszukiwanie mamy nie jest w porządku. Jak mogę złagodzić sprawienie mu zawodu?

W porze lunchu w sali konferencyjnej szkolnej konsultantki wyjmuję komórkę i kartę telefoniczną i wybieram numer taty.

Odbiera po dwóch sygnałach.

- To ty, stary?

- Tak.

- Od piątku praktycznie siedzę na telefonie. Gdyby to było jajko, już bym je zniósł.

Próbuję się roześmiać, ale śmiech grzęźnie mi w gardle.

- Co się stało, stary?

- Ee... tato... dręczy mnie parę spraw...

- Jakich?

- Takich jak... Tato, wiesz, że brakuje mi ciebie, prawda?

- Jasne, mnie ciebie też.

- I że rozmawianie z tobą naprawdę bardzo wiele dla mnie znaczy. Jesteś super. I chciałbym, żebyśmy mogli rozmawiać częściej. My...

Głos taty smutnieje.

- Słyszę nadchodzące całkiem spore „ale”.

- No tak. Widzisz, rzecz w tym, że teraz nie jest najlepsza pora dla naszych rozmów.

- Kto tak mówi?

- Ja, chyba. Musimy zrobić sobie przerwę.

Zapada cisza.

- Tato...? Tato, jesteś tam?

- Jestem – odpowiada cicho.

- To dobrze. W każdym razie, tato, chcę, abyś wiedział, że nie chodzi o nic, co ty zrobiłeś, tylko o mnie. Czuję się nieswojo, knując za plecami mamy.

- A więc powodem jest twoja matka. Wiedziałem. Nie pozwól jej, żeby tobą dyrygowała, stary. Ona tak działa. Zmusza ludzi do robienia rzeczy, których potem żałują.

- Nie. Mama wcale taka nie jest. Po prostu ja czuję się paskudnie, oszukując ją. Za kilka lat, kiedy będę już samodzielny, dzwonienie znowu będzie super. A jeszcze lepsze byłoby spotkanie się na żywo.

- Ale tymczasem – mówi tata lodowatym tonem – tak po prostu każesz swojemu tacie spadać. Czy właśnie to słyszysz? Bo tak to brzmi. Chcesz wykopać mnie do rowu, ponieważ brak ci jaj, żeby postawić na swoim. Powiedzieć: „Mamo, mam ojca. Chcę go widywać”.

- Nie! To nie tak!

- Jasne, że tak, stary. Ona owija cię sobie wokół małego palca.

- Wcale nie. Są inne sprawy, mnóstwo innych spraw. W tym momencie czuję się naprawdę

zagubiony. Potrzebuję dystansu.

– Dystansu od swojego taty? Jestem twoim przyjacielem, stary. Jeśli masz jakiś problem, powiedz mi, a ja ci pomogę.

– Nie możesz mi pomóc. Pamiętasz, mówiłem o tym Codym z mojej szkoły?

– Co tym razem zrobił?

– On i jego banda... chyba mnie szpiegują. Nie jestem pewien, ale na to wygląda.

– To poważna sprawa – mówi tata powoli. – Czy masz psa? Może stado psów?

– Stado psów?

Żołądek podjeżdża mi do gardła.

– Psy szczekają, jeśli w pobliżu kręcą się obcy.

– Dlaczego mówisz o stadzie psów?

– Spokojnie, stary, to była tylko rada. Wiesz, co twoja matka o mnie myśli? W gruncie rzeczy dziwię się, że nie trzyma stada psów, żeby mnie odstraszały.

Zaczynam się pocić. Tata wie wiele rzeczy. Nie mam pojęcia skąd, ale wie. Muszę coś zrobić.

– Właściwie mama rzeczywiście wzięła psa – kłamie. – Stróżującego psa. On nienawidzi obcych. Gdyby ktokolwiek się zbliżył, rozszarpałby go na kawałki.

– Ach, tak? – W głosie taty brzmi rozbawienie. – Jak się nazywa?

– Rex. To rottweiler.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. To mój pies.

– Właściciel bloku pozwala wam trzymać psy?

– Tak. – Serce wali mi szybko. – Ale najwyżej dwa. Mama mówi, że może powinniśmy wziąć mu drugiego do towarzystwa.

– Więc wynajmujecie mieszkanie w bloku, nie mieszkacie w osobnym domu.

– T-tak – jąkam.

– Dziwne, że twój pies nie szczeka, kiedy Cody jest w pobliżu. Wygląda na to, że kiepski z niego stróż.

– Wytresowaliśmy go, żeby był cicho. Mamy też sąsiadów, którzy uważają na nas.

Tata chichocze.

– Z czego się śmiejesz?

– Z ciebie. Mówisz takim poważnym tonem.

– Bo jestem poważny. W każdym razie, jak powiedziałem, nie mogę więcej dzwonić.

– To znaczy, że nie będziesz dzwonić – mówi tata.

– Właśnie. Posłuchaj, muszę już iść.

– No cóż, stary, zrobisz to, co musisz. Ja też.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem. – Zniża głos. – Bez mojego syna nie mam właściwie po co żyć.

Och, nie, czy zamierza się zabić?

– Tato, nie bądź taki. Powiedziałem, że zadzwonię, kiedy będę starszy.

– Jasne.

– Tato, obiecaj, że nie zrobisz niczego głupiego.

– Wszyscy robimy głupie rzeczy, stary, takie, których nie da się już potem naprawić. Takie jak uciekanie i rozbijanie rodziny. Takie jak okłamywanie ludzi, którzy nas kochają.

– Tato...

– Pożegnaj się, synu. Nie martw się. Jeszcze porozmawiamy. Wystarczy tylko zadzwonić. Połączenie zostaje przerwane i w słuchawce słychać tylko martwą ciszę.

## Czterdziesty drugi

Opuszczam salę konferencyjną szkolnej konsultantki, nie zjadłszy lunchu. Korytarze są pełne dzieciaków udających się na popołudniowe lekcje. Zatrzymuję się przy wodotrysku, żeby napić się wody.

– HUU!

Odskakuję do tyłu.

– Przestraszyłeś się, Psi Synu? Jesteś odważny tylko wtedy, kiedy prześladujesz stare kobiety.

Patrzę Cody'emu prosto w oczy.

– Wiem, co knujesz.

– Niby co? – pyta z pogardliwym uśmiechem.

– Ukrywasz się w stodole. Szpiegujesz mnie.

– Odbiło ci?

– Trzymaj się z dala od naszej posiadłości. Ostrzegam cię. Sprowadzimy psy. Psy stróżujące.

– Jak tamten zwariowany farmer? – rzuca drwiąco Cody. – Oooh, strasznie się boję.

– Wal się!

Oczy Cody'ego się zwężają.

– Co powiedziałaś?

– Chłopcy! – To panna Adams. – Ruszajcie, bo spóźnicie się na lekcje.

Cody pokazuje mi faka i odchodzi niedbałym krokiem. Ja oddalam się w przeciwnym kierunku.

Udaje mi się jakoś dotrzeć do końca zajęć i nie zwymiotować. Czekam na mamę w sekretariacie. Dlaczego ławki tutaj są takie twarde? Żeby uczniowie poczuli się nieswojo przed spotkaniem z wicedyrektorem? Ostatnio nie przejmuję się tym zbyt. Na dworze jest tak lodowato, że mam zimowy płaszcz.

– Cameronie, już piąta – mówi sekretarka. – Zamykamy biuro. Czy możesz powiadomić swoją matkę?

– Jasne – odpowiadam i piszę esemes: „Szkola zamknięta. Przyjedziesz po mnie?”.

„Już jadę”, odpisuje mama.

Woźny pozwala mi postać w holu, póki nie pójdzie na tył szkoły, żeby umyć podłogę w sali gimnastycznej, a wtedy wyprasza mnie na dwór i zamyka frontowe drzwi. Ostatecznie przecież nie może zostawić pomyleńca samego na szkolnym korytarzu.

Słońce stoi nisko; zaczyna padać śnieg. Parking jest pusty, z wyjątkiem toyoty corolli woźnego. Myślę o Codym, o jego gangu. Gdzie mama?

Porywy wiatru stają się silniejsze. Smagają mnie śniegiem w policzki. Mam dość tego bzdurnego czekania. Wysyłam mamie drugi esemes: „Marznę na dworze. Gdzie jesteś?”.

„Przepraszam – odpisuje. – Coś mnie zatrzymało. Ken już do ciebie jedzie”.

Następne pięć minut niemiłosiernie się wlecze. Wreszcie widzę samochód Kena. Uff, nareszcie. Ken zatrzymuje się na poboczu szosy. Podbiegam truchtem. Opuszcza boczną

szybę. Tylko że to nie Ken.

- Cześć, stary.

- Tata?

## Czterdziesty trzeci

Tata się uśmiecha.

– Wskakuj.

– Tato, skąd się tu wzięłeś?

– No wiesz, od soboty rano jestem w motelu tuż obok. Po naszej piątkowej rozmowie telefonicznej jechałem samochodem non stop. Ten pokój motelowy jest niezły, ale kawa gówniana.

Zaczynam drzeć.

– A Ken... co robisz w jego samochodzie?

– Ken? Nie powiesz mi najpierw nawet „Cześć”? Ranisz moje uczucia.

– No dobrze, cześć – odpowiadam. Więc gdzie jest Ken? – pytam ponagląco.

– Wskakuj, a ci powiem.

Rozważam pobiegnięcie z powrotem do szkoły. Ale po co? Drzwi są zamknięte. W środku nikogo nie ma, z wyjątkiem woźnego na tyłach w sali gimnastycznej.

Tata nadal się uśmiecha, ale mówi twardym, lodowatym głosem:

– Cameron, powiedziałem: wskakuj.

Cofam się od samochodu, wsadzam rękę do kieszeni i wymacuję komórkę.

Naciskam skrót połączenia z mamą.

W kieszeni kurtki taty dzwoni sygnał. Tata wyjmuję komórkę mamy i mówi do mikrofonu:

– Halo. Cameron, to ty? Niestety, twoja mama nie może w tym momencie podejść do telefonu. Coś ją zatrzymało, pamiętasz?

Stoję jak sparaliżowany.

Tata zamyka komórkę.

– Jeżeli chcesz jeszcze zobaczyć swoją mamę, stary, oddaj mi swój telefon komórkowy i wsiądź do samochodu.

Mózg mi się zacina; nie potrafię myśleć. Podaję tacie komórkę i bezwolnie wsiadam, jakby on był lalkarzem zombi. Czy to się dzieje naprawdę? Czy ja w ogóle żyję?

– Grzeczny chłopiec – mówi tata, znowu przyjacielskim tonem. – Powinieneś rozpiąć ten płaszcz. Włączyłem ogrzewanie.

Rozpinam płaszcz.

– Mama – wyduszam z trudem. – Gdzie mama? I Ken?

– Dlaczego tak się martwisz o tego kochasia?

– Powiedz mi.

– No dobrze. – Tata wzdycha z rozczarowaniem. – Twoja mama jest na farmie. Miała paskudny wypadek – wpadła do piwnicy, ale nic jej nie jest. Znasz tę komórkę na węgiel? Zamknąłem ją tam dla jej własnego dobra. Wiesz, jak ona lubi uciekać. Po upadku to mogłoby jej zaszkodzić.

Zapada cisza. Tata rusza; kieruje się w stronę farmy. Czuję mdłości.

Tata śpiewa piosenkę „Miałem psa, nazywał się Rover”. Tylko że tata śpiewa „Rex”.

– Okłamałeś mnie, stary. Co do psa, bloku mieszkalnego. Myślisz, że nie potrafię się zorientować, kiedy kłamiesz? Albo kiedy kłamała twoja matka?

– Ken – wyrywa mi się. – Gdzie jest Ken? Co mu zrobiłeś? Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Tata ściska kierownicę, tak jak dawniej ściskał moje ramię.

– Prawdę mówiąc, kochaś jest w bagażniku – mówi nadzwyczaj opanowanym tonem. – Niczego nie pamiętasz? Wysłałem esemes: „Ken już jedzie”. I jechał. Nigdy cię nie okłamałem. Ty i twoja mama okłamaliście mnie, ale ja nigdy was nie okłamałem.

Włącza wycieraczkę, żeby odgarnąć śnieg z przedniej szyby.

– Jak nas odnalazłeś?

– Istnieje mnóstwo sposobów, żeby odnaleźć ludzi, stary. Nikt nie zdoła ukryć się na zawsze; nie, jeśli komuś wystarczająco mocno zależy na tym, by go odszukać. Ty i twoja mama byliście moją pasją. Myślałem tylko o tobie. Twoja matka odebrała mi wszystko. Straciłem pracę, oszczędności, ciebie. Pragnienie odzyskania ciebie to jedyne, co trzymało mnie przy życiu.

– Ale jak odnalazłeś nas tym razem?

– Cóż, to interesująca historia. – Rozsiada się wygodniej w fotelu kierowcy. – Od początku miałem wyszukiwarkę Google ustawioną na twoje imię i nazwisko. Czasami myślałem już, że tylko na próżno marnuję czas. Czy masz w ogóle pojęcie, ilu jest Cameronów Weaverów? Ile w lokalnych gazetach ukazuje się nekrologów, ogłoszeń o ślubach, narodzinach, przyznawanych nagrodach? Nic dziwnego, że twoja mama nigdy nie zmieniła ci nazwiska. Ale nie rezygnowałem. Jak ci powiedziałem, miałem czas. A dwa tygodnie temu ta cierpliwość wreszcie się opłaciła.

– Co takiego? W gazetach nie było niczego o mnie.

– Może i nie, ale niewątpliwie wkurzyłeś kilku dzieciaków w swojej szkole. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy wyszukiwarka Google wyrzuciła twoje nazwisko na tym nowym blogu zatytułowanym: „Cameron Weaver to czubek”. Były tam też zdjęcia i sekcja komentarzy. Ten Cody Murphy... czy naprawdę napadłeś na jego prababkę? Jaki ojciec, taki syn, co? – Chichocze. – Ktoś napisał, że zasługujesz na to, żeby rozszarpały cię psy, tak jak tego faceta, który kiedyś mieszkał na waszej farmie. Dzieciaki potrafią być okrutne, nie?

Och, mój Boże. Gdybym nie poszedł do tamtego domu spokojnej starości, nic z tego by się nie zdarzyło. Mamo, Kenie, przepraszam.

– Nie odniosłem wrażenia, aby ten Cody był szczególnie bystry, ale przypuszczam, że obecnie nie jest zbyt trudno założyć blog. Wystarczy mieć energię albo nienawiść. Co do mnie, mam energię; nigdy nie było we mnie nienawiści. Ale twoja mama... nie powiem o niej złego słowa, ale nienawiść to jej drugie imię. – Sięga do doku iPoda w samochodzie Kena. – Chcesz posłuchać jakiejś muzyki?

– Nie – szepczę.

– Jak uważasz. – Tata wyłącza wycieraczkę. – Wiesz, początkowo nie byłem pewien, czy ten Cameron Weaver czubek to ty. Pomyślałem, że może podążam fałszywym tropem, prawie zrezygnowałem z przyjazdu tutaj, bo przecież to straszne zadupie. Ale wtedy zadzwoniłeś. To było jak znak od Boga. Zaryzykowałem i wymieniłem imię Cody’ego. Ze sposobu, w jaki zareagowałeś, wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę.

Moja wina. To wszystko moja wina. Nic nie widzę przez ten śnieg w promieniach reflektorów. A może to przez łzy w oczach?

– Jak dorwałeś mamę i Kena? Nie musiałeś na nich napadać.

– Stary, ja nigdy na nikogo nie napadam. Tylko się broniłem, a to różnica. – Milknie na chwilę. – Odpowiadając na twoje pytanie: Dziś rano obserwowałem z motelowego parkingu,



jak mama wysadziła cię przy szkole. Pojechałem za nią do tego biura agencji nieruchomości. Widziałem, jak kochaś wszedł, a potem wyszedł. Wygooglowałem jego biuro, wysłałem mu mejla, w którym napisałem, że niedawno przybyłem do miasteczka, zatrzymałem się w motelu i czy mógłby pokazać mi kilka domów na sprzedaż. Rzecz jasna, przyjechał po mnie i... no cóż, niewiele miał do gadania, kiedy pokazałem mu mój rewolwer.

Rewolwer. Tata ma rewolwer.

- Kazałem kochasiowi wjechać w wiejską drogę – ciągnie – a potem związałem go i wsadziłem do bagażnika. Trochę wierzgał, ale walnięcie w głowę wbiło mu w nią nieco rozsądku. Wróciłem do miasteczka i zaparkowałem przy tylnych drzwiach biura. Wewnątrz nie było nikogo oprócz twojej mamy. Kiedy jej powiedziałem, że mam ciebie, zrobiła, co chciałem, potulna jak owieczka. Jest taka urocza. Przypomniały mi się czasy, kiedy się poznaliśmy.

- Powiedziałeś jej, że mnie masz? Więc jednak skłamałeś.

- Stary, dlaczego jesteś dla mnie taki surowy? Wtedy cię nie miałem, ale mam teraz, prawda? Pomyliłem się tylko o godzinę.

Widzę w oddali naszą farmę.

- Byłeś w stodole, prawda? Dlaczego nie napadłeś na nas w sobotę w nocy?

- Nie jestem głupi, stary. Ty byłeś na piętrze, twoja mama i kochaś byli na parterze; wszyscy mieliście telefony komórkowe. Daj spokój, miej trochę zaufania do mojej inteligencji.

- Więc co teraz zamierzasz?

- Twoja mama zawsze zmuszała mnie do robienia rzeczy, których nie chciałem robić. Ona nigdy do mnie nie wróci. I nie pozwoli mi zabrać ciebie. To nie fair, prawda? Więc co mogę zrobić? Nie mam wyboru.

Jestem zbyt przerażony, by drzeć.

- Zabijesz nas?

- Rodzina musi być razem, stary. A kochaś musi zapłacić za to, co zrobił. Kiedy zapłaci, będzie nas już tylko troje.

Farma jest coraz bliżej. Widzę wjazd na naszą drogę.

Tata ma teraz na twarzy ten obłąkany uśmiech.

- Twoja mama niewątpliwie będzie płakać, błagać. Zawsze starała się sprawić, żebym czuł się kimś złym. Zawsze usiłowała zwalić winę na mnie.

- Zostaw mamę w spokoju. Nie chcę widzieć, jak ją krzywdzisz.

- Nie martw się. Uważam, że chłopiec nie powinien oglądać śmierci swojej mamy. To nie byłoby w porządku. Więc zamiast tego każę ci stanąć przed nią, a kiedy już pożegnacie się ze sobą, zmuszę ją, aby patrzyła, do czego mnie zmusiła. Potem twoja mama i ja odbędziemy ostatnią rozmowę. To może być bolesne, ona zawsze czyniła nasze rozmowy bolesnymi, ale kiedy się skończy, będziemy wszyscy na zawsze razem.

## Czterdziesty czwarty

Tata skręca w naszą drogę dojazdową. Wciska pedał gazu, jakby nie mógł się już doczekać.

– Tato, nie możesz tego zrobić.

– A kto mnie powstrzyma?

– Ja!!

Rzucam się przez niego, łapię kierownicę i szarpię mocno. Samochód gwałtownie zjeżdża z drogi w pole.

– Panie Sinclair! – krzyczę.

Wykluczone, by mógł mnie usłyszeć. Naciskam jedną ręką klakson i trzymam.

Tata usiłuje zapanować nad pojazdem.

– Uspokój się, stary.

Podkurczam kolana i rzucam się nad dźwignią biegów na stronę taty. Uderza mnie pięścią w ucho. Widzę przed oczami gwiazdy. Nieważne. Wciąż trzymam kierownicę, klakson ryczy.

Wóz skręca ostro w kierunku lasu. Tata próbuje zahamować, ale wciskam nogę w pedał gazu. Wszystko zlewa się w jedno – pęd śniegu, wycieraczki, klakson, światła reflektorów, krzyk.

Nagle tuż przed nami pojawiają się krzaki na skraju lasu. Wpadniemy w nie. Rzucam się ku stronie pasażera.

Samochód wbija się w zarośla. Lecimy obaj do przodu. Uderzam ramieniem w skrytkę na rękawiczki. Tata wali głową w przednią szybę. Upada do tyłu, krwawiąc.

Pchnięciem otwieram drzwi od mojej strony. Tata chwytą mnie z tyłu za płaszcz. Ciągnie mnie z powrotem, ale płaszcz jest rozpięty i moje ręce wyslizgują się z rękawów. Najszybciej, jak potrafię, gramolę się z samochodu w krzaki.

– Stój! – wrzeszczy tata. – Nie utrudniaj tego, stary.

Oglądam się za siebie. Tata już wyszedł z samochodu. Jestem sam. Nie ma tu nikogo, by mi pomóc.

– Jacky! – wołam. – Jacky!

„Jestem tutaj, Cameronie”.

– Tata mnie zabije.

„Nie. Pamiętasz tę polanę? Pobiegnij do niej”.

Przedzieram się przez zarośla do lasu. Potykam się o leżące na ziemi uschłe gałęzie. Twarz zasypuje mi padający śnieg. Gdzie jestem?

– Stary, widzę twoje ślady! – woła śpiewnie tata; jego głos narasta i zanika na wietrze.

Co mam robić? Dokąd pójść?

„Nie poddawaj się, Cameronie”.

Oślaniam dłonią oczy. Przed sobą widzę zwalone drzewa przysypane cienką warstewką śniegu. Rozpoznaję to z korzeniami celującymi w niebo. Polana jest z przodu.

– Możesz uciekać, ale nie zdołasz się ukryć. – Głos taty brzmi teraz głośniejsze. Bliżej. – Znalazłem cię wcześniej, znajdę teraz.

Już po mnie. Już po mnie.

„Nie ustawaj”.

Idę dalej. Docieram do polany.

– Co teraz?

„Głazy. Arty i ja bawiliśmy się tam”.

Ruszam w kierunku głazów.

„Szybciej. Szybciej”.

Jeszcze parę metrów i jestem tam. Kucam za głazami i oglądam się w stronę skraju lasu. Nie widzę nic oprócz śniegu. W oczach mam łzy i śnieżne płatki. Szukam jakiegoś miejsca, w które mógłbym wpełznąć.

„Po prawej. Pomiedzy skałami jest szczelina”.

Tak, tutaj. Wciskam się do środka najgłębiej, jak mogę. Słyszę tylko wycie wiatru i bicie mojego serca. Nagle wszystko cichnie. Słyszę tylko cichy świst wiatru między skałami.

Gdzie jest tata? Czy śnieg zasypał moje ślady? Czy zgubiłem go w zamieci? Może minął mnie i poszedł dalej. Może już go tu nie ma. Tak, na pewno. Wyobrażam go sobie błąkającego się w lesie, zagubionego. Albo uciekającego. Będzie chciał się stąd wydostać. Wie, że dotrę do kogoś, kto wezwie policję. Może myśli, że policjanci już jadą.

Zamieć śnieżna znowu się wzmacnia. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak mi jest zimno i jak bardzo bolą mnie nogi i ramię. Nieważne. Jestem bezpieczny. Zamykam oczy. Przestaję czuć mrowienie w palcach dłoni i stóp. Wypełnia mnie dziwne ciepło. Zaczynam odpływać.

„Cameron, nie. Nie możesz zrezygnować. Jest ciemno. Pada śnieg. Zamarzniesz tutaj. A twoja matka i Ken? Oni nadal są uwięzieni. Twój ojciec, zanim ucieknie, może ich zabić. Musisz go powstrzymać”.

Mama. Ken. Zmuszam się, by potrząsnąć głową. Muszę ich uratować. Muszę wyczołgać się z mojej kryjówki. I wtedy tata chwyta mnie za nogi.

– Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek jesteś.

Boję się obejrzeć. Nie muszę. Wyobrażam go sobie na czworakach przed wylotem szczeliny. Na czole ma rozcięcie po uderzeniu w przednią szybę. Twarz pokrywa mu śnieg i krew, która spływa po szyi.

– Zawsze uwielbiałeś tę historię o trzech świnkach i wilku – mówi tata, ciągnąc mnie za nogi.

Zapieram się z całych sił łokciami. Wiatr wyje głośniejsze, miotając śniegiem pośród głazów.

– Powiedziałem „wyjdź”, stary. Nie wygrasz ze mną. To koniec. Jestem od ciebie silniejszy. I mam rewolwer.

– Więc mnie zastrzel! No, śmiało! Niech sąsiedzi usłyszą! Niech wezwą policję! Pozwól im się schwytać, ty pokrecony psycholu!

Tata ryczy i szarpie mnie za nogi tak mocno, że czuję, jakby wyrывało mi ręce ze stawów. Szarpie ponownie. Gdy moje ręce nie dają już rady, słyszę nagle gwizd, wysoki i przenikliwy. Czy to Jacky? Wiatr? Nie wiem. Wiem tylko, że ten gwizd przechodzi w wycie. Tak ogłuszająco głośne, że nie słyszę własnych myśli.

Czuję, że tata wyciąga mnie na zewnątrz. Zamykam oczy i czekam na nieuchronny koniec. To tylko wiatr... nie, to nie wiatr. To psy.

Widzę je biegnące między drzewami. Mają pochylone łby, zjeżoną sierść. Ich oczy płoną jak rozżarzone węgle.

Tata też je słyszy. Wciąż jest na czworakach. Odwraca głowę. Widzi psy gnające ku niemu z uszami położonymi po sobie, z wyszczerzonymi kłami.

Tata puszcza moje nogi. Zamiera z przerażenia. Psy skaczą.

Tata wrzeszczy.

## Czterdziesty piąty

Siedzę na sofie w salonie pomiędzy mamą i Kenem. Jest tu też pan Sinclair, a także policjanci i ratownicy medyczni.

To pan Sinclair wezwał policję. Usłyszał klakson, wyjrzał przez okno i zobaczył światła reflektorów samochodu, który gwałtownie wbił się w zarośla. Wziął śrutówkę, silną latarkę i wyszedł zobaczyć, co się dzieje. Kiedy się zorientował, że samochód jest pusty, skierował się do lasu. Usłyszał jakiś krzyk i znalazł mnie przy głazach.

Tata już nie żył.

„Tata nie żyje”. Powtarzam to sobie w duchu bez końca. Nie potrafię w to uwierzyć. „Tata nie żyje”.

Powiedziałem panu Sinclairowi o mamie i Kenie. Poszliśmy do samochodu. Klucz był nadal w stacyjce. W momencie gdy wydobyliśmy Kena z bagażnika, przyjechali pierwsi gliniarze w wozach z migającymi lampami.

Gliniarze wezwali posiłki i zaprowadzili nas do domu. Zanim zdążyli mi powiedzieć, żebym został na miejscu, pogałęm na dół po schodach i uwolniłem mamę z komórki na węgiel. Ona i Ken objęli mnie mocno i nie puścili aż do teraz, kiedy zjawili się ratownicy medyczni.

Sanitariusze nas badają. Mama ma skręconą nogę, Ken pokiereszowaną twarz, a ja mam siniec na ramieniu.

– Oprócz tego, jak się zdaje, nic wam nie jest – mówi jeden z nich. – Chcielibyśmy jednak na wszelki wypadek zabrać was do szpitala, żeby się upewnić. Mogą chcieć zatrzymać was tam na noc. Prawdopodobnie doznaliście szoku.

– Dobrze – odpowiada mama – ale dopiero gdy dokończycie to, co macie do zrobienia na zewnątrz razem z policją.

Ma na myśli tatę w lesie. Nie poczuje się bezpieczna, dopóki nie zyska pewności, że on jest w worku na zwłoki. Ja też nie.

Policjanci wychodzą z sanitariuszami, z wyjątkiem dwóch gliniarzy, którzy wpadli do nas tamtego wieczoru po incydencie w domu spokojnej starości. Ten krępy prosi każde z nas, żeby opowiedziało mu, co się stało; chudy siedzi na obrotowym stołku i notuje. Opowiadamy im, a potem czekamy otępiali na powrót pozostałych. Słyszę odgłos otwierania drzwi szopy i ciężki tupot ich butów na śniegu.

„Tata nie żyje. Tata nie żyje”. Dlaczego nic nie czuję?

Nasi znajomi gliniarze wychodzą wysłuchać raportu, a potem wszyscy wracają do pokoju.

– Więc to prawda? – pyta mama.

Krępy gliniarz kiwa głową.

– Wygląda na to, że jakieś zwierzę rozerwało mu gardło. Przychodzi nam na myśl tylko kojot, chociaż to prawie niemożliwe. Ale mężczyzna był na czworakach, krwawił w mroku, wyglądał i pachniał dla drapieżnika jak zdobycz. Jedno przegryzienie tętnicy szyjnej i skończył na miejscu.

Jego partner przytakuje.

– Cokolwiek to było, nie znaleźliśmy żadnych tropów; musiały zostać zasypane przez

śnieg. Z okręgu Hamilton przysłał nam policyjnego psa tropiącego, ale w leśnych jarach żyje tyle stworzeń, że kto wie, czy uda nam się odszukać zwierzę, które to zrobiło.

Mam ochotę powiedzieć im, że to nie był kojot, tylko psy, ale nie jestem głupi.

– Masz szczęście, że przeżyłeś – mówi do mnie krępy gliniarz.

Na chwilę zapada cisza. W rogu w skórzanym fotelu siedzi ze spuszczoną głową pan Sinclair.

– Czy mogę coś powiedzieć? – pyta szeptem, rzucając spojrzenie na mamę. – Coś osobistego.

– Oczywiście.

Pan Sinclair porusza się z zakłopotaniem w fotelu. Nigdy jeszcze nie widziałem go wyglądającego tak staro. W jego głosie i wzroku też jest coś innego niż zwykle.

– Chciałby pan pomówić tylko z tą rodziną? – pyta krępy gliniarz.

– Nie, zostańcie – odpowiada cicho pan Sinclair. – Chcę powiedzieć to przede wszystkim Cameronowi, ale nie obchodzi mnie, kto jeszcze usłyszy. – Spogląda mi w oczy. – Po tym, co przydarzyło się dzisiejszego wieczoru tobie, twojej matce, twojemu ojcu... ee... jest coś, o czym nie sądziłem, że kiedykolwiek powiem, ale masz prawo się o tym dowiedzieć.

Na poły boję się to usłyszeć.

– O czym?

– Od dnia, w którym się spotkaliśmy, stale rozmyślasz o Jackym McTavishu, tym chłopcu, który mieszkał tu, kiedy byłem w twoim wieku.

Przytakuję.

– Jego ojciec był taki jak twój. Widywałem u Jacky'ego sińce. McTavish twierdził, że syn siniaczy się trakcie zabaw. Ale to ja się z nim bawiłem i przy mnie nigdy się nie posiniaczył. – Pan Sinclair zamyka oczy, zwiesza głowę. – Ostatni raz widziałem Jacky'ego żywego na polanie. Mówił z płaczem, że jego matka uciekła z kimś, że go porzuciła i odtąd nie będzie mu wolno wychodzić z domu. Kazał mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. Powiedział, że stanie się z nim coś strasznego, jeżeli komuś wygadam. Wiedziałem, jaki jest jego ojciec. Przyrzekłem więc, że go nie zdradzę.

Później usłyszałem, jak moi rodzice szeptali, że matka Jacky'ego zabrała go i wyjechała z Matthew Fraserem. Mój ojciec powiedział: „To niestosowne”, ale matka odparła: „Nawet jeśli postąpiła niestosownie, to z pewnością słusznie. Tylko Bóg jeden wie, jak Evelyn zdołała aż tak długo wytrwać przy Franku”. Słyszałem, jak dzieciaki plotkowały w szkole. Mówiły różne rzeczy o matce Jacky'ego – że była kurwą i nic dziwnego, że Jacky to taki odmieniec. Ale one nie znały Franka McTavisha. I nie wiedziały, jaki Jacky był poza szkołą, w której stale mu dokuczano.

Pan Sinclair przerywa i kilkakrotnie odдыcha głęboko.

– Powinienem być komuś powiedzieć. Ale nigdy tego nie zrobiłem. Dotrzymywałem tej durnej obietnicy, ponieważ bałem się o Jacky'ego i o to, co się z nim stanie, jeżeli się wygadam. Potem McTavish wziął sobie psy, a po kilku miesiącach zginął. Kiedy Jacky'ego nie znaleziono na terenie farmy, uznałem, że matka musiała wcześniej wrócić i go zabrać.

Mój ojciec był wykonawcą testamentu McTavisha. Płacił podatki za farmę i pracował na niej. Mówił, że utrzymuje farmę, żeby pani McTavish albo Jacky mogli ją przejąć, kiedy wrócą. Z początku my wszyscy też myśleliśmy, że oni wrócą. Ale z czasem zaczęliśmy się zastanawiać, że być może żadne z nich nigdy nie wróci, a sprawy na farmie zostaną tak, jak są, i życie będzie się toczyć dalej. McTavish nie miał żadnych innych krewnych, a my

zyskaliśmy prawo własności farmy przez zasiedzenie, po co więc myśleć o najgorszym, nawet jeśli to prawda? Lepiej wyobrazić sobie szczęśliwe zakończenie.

W wieku dwudziestu kilku lat przeprowadziłem się z domu rodziców na tę farmę. Wyniosłem do piwnicy wszystkie rzeczy z parteru i piętra. Do tego czasu były to już rupiecie, ale wyobrażałem sobie, że nadal zachowuję je dla Jacky'ego; zresztą nigdy, nawet kiedy dobrze mi się powodziło, nie potrafiłem niczego wyrzucić. – Pan Sinclair zerka na mnie. – Nie wierzę w duchy. Nigdy nie wierzyłem i nigdy nie uwierzę. Ale to nie przeszkadza mi wyznać, że też miewałem sny o Jackym. Chciał w nich, żebyśmy się razem bawili, a po przebudzeniu myślałem o naszych dawnych czasach zabaw na polanie, o nim i tej przeklętej idiotycznej czapce, którą mu dałem.

Dziesięć lat po tym, jak się tutaj wprowadziłem, była wielka burza. Wiatr zerwał kilka gontów i pojąłem, że pora naprawić dach albo będzie jeszcze więcej przecieków niż dotychczas. Tak więc po raz pierwszy wszedłem na strych, aby od wewnątrz ocenić uszkodzenia. W głębi strychu stał kufer – jego matki, jak przypuszczałem. Otworzyłem go, żeby zobaczyć, co jest w środku; spodziewałem się, że może jakieś koce. Ale tam był on, Jacky, w ubraniu, które zawsze nosił, i tej czapce Davy'ego Crocketta. Biedny mały urwis. Przypuszczam, że wpełzł do środka, żeby uciec przed psami, a zamek kufra się zatrzasnął i Jacky nie mógł wyjść.

Przez pierwszych kilka tygodni po znalezieniu go nie wiedziałem, co robić. Co noc wchodziłem na strych i wpatrywałem się w małego Jacky'ego w kufrze. Wiedziałem, że jeśli czegoś z tym nie zrobię, popadnę w obłąd. Pewnego ranka podjąłem decyzję. Zaniósłem jego i kufer na dół, a klapę na strych zabiłem gwoździami i zamalowałem. – Pan Sinclair wypuszcza z płuc powietrze. – To moja wina. Gdybym tylko nie dotrzymał tej głupiej obietnicy, gdybym powiedział prawdę o tym, że Jacky nie wyjechał z matką, że jej list był kłamstwem, on mógłby dzisiaj żyć.

Zapada długa cisza.

– Co pan zrobił z ciałem? – pytam cicho. – Przecież nie było żadnego problemu z tym, że uprawia pan ziemię na tej farmie, nie miałyby pan żadnych kłopotów, więc dlaczego po prostu nie poinformował pan o znalezieniu zwłok Jacky'ego?

Pan Sinclair ociera oczy wierzchem rękawa.

– Obawiałem się, że zostanie pochowany na cmentarzu w rodzinnej kwaterze. Ponieważ list Evelyn był fałszywy, więc wiedziałem, że McTavish ją zabił. Jak mógłbym pozwolić, żeby Jacky został na wieczność uwięziony w grobie z potworem, który zamordował jego matkę, a wcześniej uczynił z ich życia piekło na ziemi? – Milknie. – Jacky nie żył od ponad dwudziestu lat. Nikt go nie szukał. Nikogo nie obchodził. No, mnie obchodził. Pochowałem go więc w kufrze jego matki na polanie przy głazach, w jedynym miejscu, w którym niegdyś był szczęśliwy.

Zaczynam drzeć, łzy napływają mi do oczu. Mama otacza mnie ramieniem.

– Być może nie wiedziałeś wszystkiego, o czym sądziłeś, że wiesz – mówi do mnie łagodnie pan Sinclair – ale jesteś naprawdę domyślny.

– Przypuszczalnie jedyne, czego nigdy się nie dowiemy, to, gdzie Frank McTavish ukrył ciała – odzywa się chudy gliniarz.

– Zakopał je w boksach dla krów – mówię.

Gliniarze wymieniają spojrzenia oznaczające: „On znowu zaczyna”. Ale ja mówię dalej, jasno i stanowczo:

– Pan McTavish wiedział, że musi je pogrzebać. Gdyby znaleziono te ciała albo choćby kości, byłby pierwszym podejrzanym. Ale w marcu ziemia była jeszcze zmarznięta. Poradziłaby z nią sobie tylko mechaniczna koparka, lecz to zwróciłoby uwagę i domyślono by się, że chodzi o groby. Jedynym miejscem wystarczająco ciepłym, w którym mógłby kopać potajemnie i gdzie nigdy przypadkiem nie znaleziono by zwłok, było klepisko w jego stodole.

Milknę. Kiedy policjanci byli tu poprzednio, chcieli mnie nastraszyć. Dzisiejszego wieczoru jak dotąd starali się podtrzymać mnie na duchu. W tym momencie po raz pierwszy spoglądają na mnie z szacunkiem.

– To z pewnością możliwe – mówi chudy gliniarz, stukając piórem w kolano. – Brian, co powiesz na to, żebyśmy sprowadzili zespół śledczy?



## Czterdziesty szósty

Mama, Ken i ja przechodzimy badania w szpitalu. Nic nam nie jest, jednak zatrzymują nas na noc na obserwację. Kiedy następnego dnia docieramy do domu, robotnicy już przekopują boksy dla krów. Inni pracują na leśnej polanie z koparką; pan Sinclair wskazuje im miejsce. Późnym popołudniem mają już zwłoki i wysyłają je do koronera w celu oficjalnego ustalenia przyczyn śmierci.

– Co się teraz stanie z Jackym? – pytam Kena.

– Będziemy musieli poczekać, by się tego dowiedzieć – odpowiada.

Przy obiedzie mama błądzi gdzieś myślami. Czeka, aż będziemy gotowi wstać od stołu, i oznajmia spokojnie:

– Zadzwoiłam do twojej ciotki Lorraine.

Słyszałem o ciotce Lorraine, ale nigdy jej nie poznałem. To młodsza siostra taty, najmłodsza w jego rodzinie. Oboje zerwali ze sobą kontakty, jeszcze zanim się urodziłem. Tata zawsze mówił, że jest wariatką, tak jak mówił o mamie.

– Ona zorganizuje pochówek twojego ojca – ciągnie mama. – Jego zwłoki zostaną przygotowane tutaj i pojutrze przetransportowane do domu pogrzebowego w jej okolicy. Nie będzie nabożeństwa żałobnego. Nie chcę cię zdenerwować, ale muszę zapytać... Czy chciałbyś go zobaczyć, zanim zostanie pochowany?

– Nie wiem.

– Zastanów się nad tym. Jakąkolwiek decyzję podejmiesz, uszanujemy ją.

Zmywamy naczynia, jakby nigdy nic, jakby mama niczego nie powiedziała. Potem idę do swojego pokoju i zadrezczam się myślami.

„Nie mogę go oglądać”.

Muszę.

„Dlaczego?”.

Był moim ojcem.

Czuję na czole dziwne mrowienie; jakby tata mi się przyglądał. Odwracam się i widzę na nocnym stoliku fotografię w ramce przedstawiającą mamę, mnie i dziadków – tę, pod którą jest ukryte zdjęcie taty. Rozsuwam ramkę, wydaję fotkę i patrzę na nią.

Na zdjęciu tata i ja siedzimy ze skrzyżowanymi nogami na plaży; właśnie zbudowaliśmy zamek z piasku. Tata obejmuje mnie ramieniem. Unoszę nad głowę plastikową łopatkę, niczym rycerz miecz. Wyglądamy na szczęśliwych. Czy byliśmy wtedy szczęśliwi?

Spoglądam tacie głęboko w oczy. Co myślał? Kim był? Wyobrażam sobie, że mówi do mnie ze zdjęcia: „Stary, to ja, twój tata. Kompletnie źle mnie zrozumiałeś”.

Drę zdjęcie na kawałeczki. Serce wali mi szaleńczo. To jedyna fotografia taty, jaką mam. A co, jeśli będę chciał go jeszcze kiedyś zobaczyć? Nie będę chciał. Powinienem spuścić w sedesie te strzępki zdjęcia, spalić je w kuchence gazowej, ale czuję zbyt wielkie wyrzuty sumienia. Zamiast tego więc wkładam je do koperty, zaklejam ją, zanoszę do piwnicy do komórki na węgiel i zamykam drzwi na klucz. To wszystko, co potrafię wymyślić.

Nazajutrz rano przy śniadaniu mówię mamie:

– Nie chcę go oglądać. – Twarz wykrzywia mi grymas. Ledwie mogę oddychać. – Nie

jestem taki jak on. Proszę, powiedz, że nie jestem taki jak on.

– Cameronie, nigdy taki nie będziesz. Masz uczucia. Troszczysz się o ludzi.

Płaczę.

Mama mówi, że mogę zostawać w domu i nie chodzić do szkoły, dopóki nie poczuję się gotowy, żeby znowu tam pójść. Weźmie od nauczycieli zadania domowe dla mnie. To dobrze. Za nic nie chcę stykać się z gromadą uczniów wypytyjących mnie o to, co się stało.

W środku dnia przyjeżdżają babcia i dziadek. Jechali samochodem całą noc. Dziwnie widzieć ich znowu na żywo. Napływają znów wszystkie radosne uczucia, jakie niegdyś ogarniały mnie na ich widok. Wąsy dziadka nadal mnie łaskoczą, kiedy pociera podbródkiem o moje czoło – co jest teraz trochę krępujące; babcia wciąż pachnie jabłkami i cynamonem.

Zostaną u nas przez kilka dni. Mama umieszcza ich w dużym pokoju, nieco bardziej w głębi korytarza niż moja sypialnia. Ken dzieli z mamą jej pokój. Moi dziadkowie natychmiast ogromnie polubili Kena. Zresztą opowiadałem im o nim w trakcie naszych kilku ostatnich rozmów telefonicznych. Drocą się z nim żartami z rodzaju tych, jakie starzy ludzie uważają za zabawne.

Przez następne dwa dni babcia i dziadek siadają razem ze mną przy stoliku do kart nad różnymi puzzlami, których przywieźli tonę. Zawsze uważałem układanie puzzli za głupie, ale miło jest przebywać z nimi i nie myśleć o niczym oprócz rozróżniania narożnych i zewnętrznych elementów i odgadywania, co do czego pasuje.

W piątek Ken przynosi do domu egzemplarz „Weekly Bugle” z tego tygodnia. Nagłówek na pierwszej stronie głosi: „Miejscowy chłopiec rozwiązuje zagadkę morderstw”. Artykuł jest opatrzony moim zdjęciem, a w tekście gliniarze nazywają mnie „błyskotliwym młodym detektywem” i mówią o mnie jeszcze inne rzeczy, które też napawają mamę dumą.

Tuż poniżej jest relacja o tym, jak tata chciał nas zabić i jak ja mu to uniemożliwiłem, a on zginął zagryziony przez kojota. „Psy policyjne niczego nie wytropiły – oświadcza ich przewodnik. – Biegały w kółko, jakby ścigały ducha”. Szef departamentu kontroli zwierząt mówi, że chociaż ataki kojotów zdarzają się niezwykle rzadko, jednak „przez jakiś czas osoby uprawiające jogging powinny trzymać się głównych traktów”.

Wewnątrz tygodnika znajduje się artykuł zatytułowany „Po pięćdziesięciu latach Hannah Murphy oczyszczona z zarzutów”. Zamieszczone zdjęcie przedstawia Cody’ego i jego rodzinę z prababką w domu spokojnej starości. W artykule przytacza się słowa dziadka Cody’ego, który mówi, jak bardzo wszyscy oni pragną mi podziękować za przywrócenie jej dobrego imienia i reputacji. Kiedy koroner zakończy swoje czynności urzędowe, pochowają Matthew Frasera w jego rodzinnym grobie.

Inna wiadomość dnia pochodzi od pana Sinclaira.

– Odbyłem wreszcie spotkanie z adwokatem w sprawie tej farmy – oznajmia nam. – Powiedział, że biorąc pod uwagę to, iż przez pięćdziesiąt lat moja rodzina zajmowała się nią i płaciła podatki, nie będzie problemu z uwzględnieniem moich roszczeń do tej posiadłości. Wiedziałem, że tak będzie, niemniej jednak kamień spadł mi z serca. Nie ma to jak pewność.

Pod koniec tygodnia zaczynam się niecierpliwić i mówię mamie, że chcę wrócić do szkoły. Dziwnie się czuję, wchodząc znowu frontowymi drzwiami. To nie znaczy, że wcześniej

miałem tam przyjaciół, ale cieszę się po prostu, że widzę ludzi.

Jak się okazuje, oni też się cieszą, że mnie widzą. Wszyscy wiedzą o artykułach w „Weekly Bugle”, nie mówiąc już o tym, że tę historię przedstawiono w lokalnych telewizji i radiu. Wszystko to plus publiczne podziękowania ze strony rodziny Cody’ego powoduje, że w szkole staję się sławny. W stołówce dzieciaki, których w ogóle nie znam, gapią się na mnie z podziwem. Kilka dziewczyn nawet kręci się koło mojej szafki. Jedna prosi mnie o autograf.

– Jesteś jakby bohaterem – mówi.

Akurat! Niemniej jednak – z wyjątkiem tego, że się czerwienię – czuję się całkiem super, składając jej swój podpis.

Podchodzi do mnie Benjie.

– Przepraszam, że byłem wobec ciebie podły.

– Nie musisz mnie przeproszać. To ja postąpiłem wobec ciebie podle. Okłamałem cię i wpakowałem w kłopoty. Przyjaciele nie powinni tak robić.

– Przyjaciele? – Benjie mruga dwa razy. – Czyli jesteśmy przyjaciółmi?

– Jasne.

Benjie śmierdzi i to jest dość irytujące. Jednak był dla mnie miły, kiedy wszyscy inni traktowali mnie jak śmieć. To ogromnie wiele znaczy. A jeżeli jedna z dziewczyn płaczących się przy mojej szafce wdaje się z nim w rozmowę, ponieważ on jest moim przyjacielem – no cóż, jestem mu to winien. Poza tym, być może ona nakłoni go, żeby mył zęby.

Wiem, że Cody jest mi wdzięczny za swoją prababkę, ale nic nie mówi; zresztą nie spodziewałem się po nim wylewności. Jednak on i jego gang rzucają mi na korytarzach kiwnięcia głowami w stylu twardzieli oznaczające: „Jesteś w porządku gość”. Prawdę mówiąc, cieszę się, że Cody nie próbuje się ze mną zakumplować. Komu potrzebne zadawanie się z takim łobuzem? Wystarczy mi wiedzieć, że nie będą już we mnie strzelać przezutymi kulkami papieru.

Drugą osobą, która się do mnie nie odzywa, jest Jacky. Czy jeszcze go kiedyś ujrzę? Nie wiem. Zjawia się i znika, kiedy chce. Teraz, gdy jego sekrety zostały ujawnione, może jest szczęśliwy, pozostając na polanie z psami.

Sekrety są takim ciężarem. Kiedy się ich pozbywamy, czujemy się lżejsi od powietrza. Może właśnie w tym rzecz. Może Jacky unosi się teraz wolny w przestworzach.

## Czterdziesty siódmy

Dziś spotykam się panią doktor Harrison, psychiatrą w Ramsay. Początkowo, kiedy mnie do niej skierowano, nie chciałem iść, ale teraz nawet na jawie miewam przelotne wizje taty. Na przykład, po drodze do doktor Harrison mijamy dworzec autobusowy i widzę tabliczkę „Elm Street”. Jakiś facet wysiada ze swojego samochodu, a ja przez chwilę wyobrażam sobie, że to tata wysiadający z pontiaca Matthew Frasera.

Doktor Harrison ma przytulny gabinet w klinice medycznej w Ramsay. Jest starsza od mamy, ma pociągłą twarz i długie paznokcie. Myślałem, że będę musiał leżeć na kozetce, ale ona wskazuje mi skórzany fotel. Siada na drugim naprzeciwko mnie i bierze ze stolika pióro i notes.

– A więc, o czym chciałbyś porozmawiać?

Uśmiecha się i czeka na moją odpowiedź.

Wzruszam ramionami i siedzę w milczeniu, mając nadzieję, że powie coś jeszcze. Nie mówi. W końcu ta cisza robi się już zbyt dziwaczna, więc się odzywam:

– Przypuszczam, że słyszała pani, co stało się z moim tatą?

Wiem, że musiała słyszeć, ale nie zdradza się z tym.

– Chciałbyś mi o tym opowiedzieć?

– Właściwie nie.

Znowu cisza. Patrzę na lampę biurową, na pudełko papierowych chusteczek i na dyplom medyczny wiszący na ścianie.

– No... on ścigał mamę i mnie, ponieważ uciekliśmy od niego – mówię wreszcie.

Dotykam palcami cienkich pęknięć skóry na prawej poręczy fotela. Potem stopniowo zaczynam jej opowiadać – w tym także o przypadkowych sprawach, o których nie pamiętałem, dopóki nie usłyszałem siebie mówiącego teraz o nich. Zanim się orientuję, słowa płyną rwącym potokiem; nie mogę ich powstrzymać, ale muszę – minęła godzina.

Mam się spotkać z doktor Harrison jutro i pojutrze, a potem dwa razy w tygodniu, dopóki nie uznam, że już tego nie potrzebuję.

– Jak było? – pyta mama, kiedy wsiamam znowu do samochodu.

– W porządku.

– O czym mówiłeś?

– Nie mówiłem wiele. – Uśmiecham się. – I nic o tobie, jeśli o to ci chodzi.

Mama oblewa się rumieńcem.

– Wybacz, nie powinnam była pytać.

Przez całą drogę powrotną na farmę patrzę na mijane pola i myślę o tej sesji. Dziś mówiłem o tacie. Jednak chciałbym wkrótce porozmawiać o Jackym. Właśnie opublikowano raport koronera. Tak jak przypuszczaliśmy, Jacky zmarł wskutek uduszenia się. Koroner stwierdził, że jego kości miały pięć zrośniętych pęknięć.

Jacky.

Kocham mamę, ale są sprawy, o których mógłbym powiedzieć doktor Harrison, ale nigdy nie potrafiłbym powiedzieć jej. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Wczesnym wieczorem zachodzi do nas pan Sinclair. Od spotkania z adwokatem w sprawie farmy jest w doskonałym nastroju, ale teraz mlaska językiem jeszcze częściej niż zwykle.

– Właśnie wracam z zebrania rady miejskiej. Wydano zgodę na to, żeby Jacky mógł zostać ponownie pochowany na polanie.

– To wspaniale.

– Dwoje radnych czepiało się, że nie podobają się im pochówki na prywatnym terenie, ale argumentowałem, że nie istnieją żadne okręgowe przepisy prawne, które by tego zabraniały, że Jacky leżał tam już trzydzieści lat oraz że ta polana znajduje się na uboczu i jest nieuczęszczana. Tak więc w końcu postanowili niczego nie zmieniać.

– Jacky bardzo by się z tego ucieszył.

Pan Sinclair przytakuje.

– Jest też coś jeszcze, co by go uszczęśliwiło: rada wydała pozwolenie na pochowanie matki obok niego. Zważywszy na wszystko, to jedyne słuszne rozwiązanie: oni dwoje spoczywający w spokoju razem na wieczność.

Mama zaprasza pana Sinclaira, żeby usiadł, i częstuje go jedzeniem.

– My też mamy nową wiadomość. Cameronie, chciałbyś powiedzieć o niej panu Sinclairowi?

– No pewnie.

I mówię.

Ta wiadomość jest najlepsza na świecie, nawet jeśli to właściwie nie niespodzianka.

To znaczy, zawsze wiedziałem, że mama przygląda mi się uważnie, kiedy uśmiecham się do Kena. Parę razy powiedziała: „Wydaje się, że między tobą i Kenem układa się lepiej niż na początku”.

Kiedy zarzucała takie haczyki, przewracałem oczami, wzdychałem i mówiłem tylko: „Mamo!” albo: „Jasne, czemu nie?”, no bo dajcie spokój, kto by rozmawiał o takich rzeczach? Ale to prawda i ona o tym wie. Ja też żartowałem z nich na temat tego, jak układa się między nimi: „Zamierzacie się pobrać czy co?”. Na to Ken uśmiechał się promiennie, a mama ciskała we mnie serwetką i mówiła: „Miałam już o jedno małżeństwo za wiele, nie sądzisz?”.

Jednak wszyscy wiemy, że Ken nie mógłby dalej tu mieszkać czy tym bardziej dzielić z nią pokoju, gdyby to coś między nimi nie było poważne. Tak więc, kiedy dziś rano przy śniadaniu zapytali, czy mam coś przeciwko temu, żebyśmy przeprowadzili się do domu Kena, zareagowałem entuzjastycznie.

– Czy mam coś przeciwko temu? Ależ od kilku tygodni jestem już spakowany.

Nadal nie wiem, czy mama i Ken kiedykolwiek się pobiorą. Wiem natomiast, że cokolwiek postanowią, odtąd jesteśmy już rodziną. Słyszę, jak ciągle rozmawiają o naszej przyszłości. To czyni mnie bardziej szczęśliwym niż kiedykolwiek uważałem za możliwe.

Ken to świetny facet. Nigdy wcześniej nie wiedziałem, czym jest prawdziwy ojciec. Teraz wiem. Prawdziwy ojciec to ktoś, kto kocha twoją mamę i dobrze ją traktuje, i troszczy się o was bardziej niż o kogokolwiek na świecie.

Moje torby są już spakowane i gotowe do wyjazdu. Jestem na polanie. Pokrywa ją dywan świeżego skrzypiącego śniegu sięgającego mi do połowy butów.

– Wyjeżdżam – mówię Jacky’emu. – Przyszedłem się pożegnać.

Gdyby to była powieść, powiedziałbym, że w tym momencie słońce wyjrzało zza chmury i w ten sposób Jacky oznajmił mi, że jest szczęśliwy, cieszy się z mojego powodu. Ale i bez tego wiem, że jest szczęśliwy. Jego duch uśmiecha się we mnie. Kiedy następnym razem

mocno zawieje wiatr i usłyszę psy, nie przestraszę się. One nie zrobią mi krzywdy. On im nie pozwoli.

## Podziękowania

Składam szczególne podziękowania Grahamowi Mahoodowi i Rogerowi Galliboisowi za rady w kwestiach testamentów i nieruchomości; moim redaktorom Charliemu Sheppardowi i Diane Kerner za ich znakomite uwagi; oraz Danielowi Legaultowi, Louise'owi i Christine Baldacchinom, Vickie Stewart, Alanowi Kingowi, Suzan Izumi i Elvie Mai Hoover za to, że byli pierwszymi oczami i uszami *Psów*.

## Wywiad z Allanem Strattonem

### **Skąd pochodzi pomysł powieści *Psy*?**

Z mojej rodziny. Ojciec bardzo brutalnie traktował mamę. Kiedy byłem niemowlęciem, zabierała mnie i mieszkaliśmy na farmie moich dziadków, a później w pobliskim miasteczku. Ta okolica była podobna do Wolf Hollow.

### **Ponieważ z wątkami tej powieści łączy Pana osobisty związek, to czy istnieją podobieństwa między panem i Cameronem?**

Oczywiście.

Przede wszystkim gorąca miłość do mojej mamy. Ona jest najdzielniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. A jej miłość do mnie była bezgraniczna. Myślę o mamie codziennie. Kiedy utknę, nie wiedząc, co zrobić, zadaję sobie zawsze pytanie: „Jak postąpiłaby mama?”.

Żywię też pogmatwane uczucia wobec mojego taty. Nie umiem mu wybaczyć tego, co robił mamie, i z trudem potrafię uwierzyć w inne fakty, o których wiem, że są prawdziwe. Jednak był moim tatą.

Och, i mówię do siebie, niemal bez przerwy. Nie na głos ani nic podobnego, ale poruszam ustami. Dawniej próbowałem formułować myśli tylko w głowie, ale to było zbyt trudne. Mam nadzieję, że ludzie uważają, iż po prostu rozmawiam przez komórkę wyposażoną w zestaw głośnomówiący.

### **W *Psach* nie unika Pan takich tematów, jak zastraszanie, rozpad rodziny i przemoc. Czy celowo je Pan porusza?**

Pisząc powieść, zastanawiam się zawsze tylko nad postaciami i fabułą. Tematy i idee same się z tego wyłaniają.

Myślę o moich czytelnikach jako o przyjaciółach, a o moich książkach jak o rozmowach między nami. Osobiste doświadczenie każdego czytelnika wpływa na to, co słyszy i co odpowiada w trakcie tej rozmowy.

Sądzę, że jest to prawdą zwłaszcza w odniesieniu do *Psów*. Niektórzy czytelnicy pomyślą, że duch Jacky'ego istniał. Inni uznają, że Cameron uroił go sobie z własnych lęków i wewnętrznych konfliktów.

Ta niejednoznaczność jest zamierzona. Kiedy ludzie pytają mnie, czy rzeczywiście był tam duch, uśmiecham się tylko i mówię: „Cameron tak myśli”.

### **Czy rozpoczyna Pan obmyślanie powieści od charakteru bohaterów, czy od fabuły?**

Te dwa elementy są nierozdzielne. W realnym życiu oceniamy charaktery ludzi na podstawie ich postępowania. W powieściach postępowanie bohaterów tworzy fabułę.

### **Zaczynał Pan jako dramaturg. Dlaczego i jak przeszedł Pan od sztuk do powieści?**

Jako dramaturg czułem się ograniczony wielkością obsady. Na szczęście powieściopisarz nie musi wykarmić swoich bohaterów.



Przejście od sztuk teatralnych do powieści przebiegło gładko. Zawsze wyobrażam sobie szczegółowo scenerię każdej sceny. Kiedy już wiem dokładnie, gdzie jestem, wcielam się kolejno w każdą postać i niejako będąc nią, pytam: „Czego chcę? Co zrobię, aby to osiągnąć?”.

Jeżeli jesteśmy otwarci i uczciwi, możemy wyobrazić sobie siebie nawet w niebie albo w piekle.

### **Jaka była w młodości Pana ulubiona książka?**

Kiedy miałem mniej więcej dziesięć lat – *Cue for Treason* („Sygnał do zdrady”) Geoffreya Trease’a. To wspaniała powieść przygodowa, której akcja rozgrywa się w teatrze szekspirowskim Globe. Odkąd skończyłem pięć lat, mama zabierała mnie na sztuki Szekspira. Oszalałem na ich punkcie. Właśnie dlatego musiałbym powiedzieć, że już od trzynastego roku życia moją ulubioną książką są *Dzieła zebrane* Szekspira. Wiem, jestem dziwakiem. Nic na to nie poradzę.

---

<sup>1</sup> „4-H” to „Head, Heart, Hands, Health”.

Przekład: Janusz Mańczak  
Redakcja: Jerzy Wachowski  
Korekta: Anna Jagiełło, Ilona Siwak  
Projekt okładki: James Fraser  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Jakich | Dreamstime.com; © L Hill | Dreamstime.com; © TERADAT  
SANTIVIVUT/istockphoto.com  
Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3279-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**